KULISY ROZŁAMU W PIS

Kim są politycy, którzy wolą Morawieckiego od Kaczyńskiego



Mychajło Fedorow – nowy, groźny rywal Zełenskiego



Czy Kościół schował Jezusa Chrystusa

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 32/692 3–9 SIERPNIA 2026
CENA **14,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)

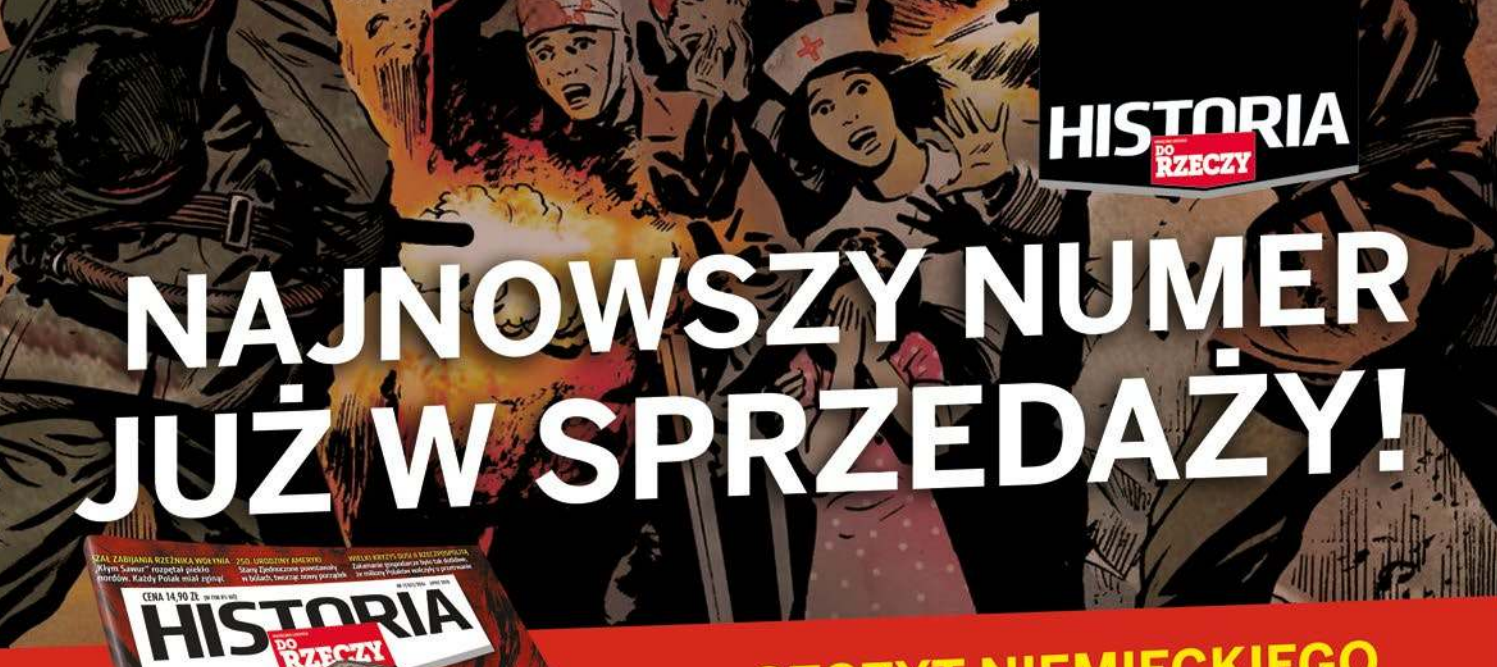
DLACZEGO TAK IM UFAJĄ?

ZAGADKA FENOMENU MARTY I KAROLA NAWROCKICH

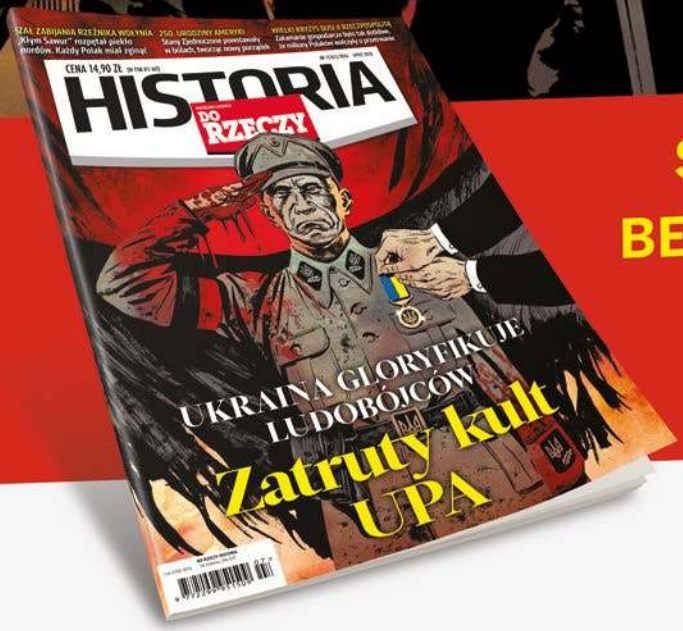


ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

eprasa.pl 944c8c46b0



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



SZCZYT NIEMIECKIEGO BESTIALSTWA: MASAKRY POWSTAŃCZYCH SZPITALI

Czerwony krzyż w ogniu – W trakcie powstania warszawskiego Niemcy i ich kolaboranci bezlitośnie mordowali polskich chorych, rannych i personel medyczny

Majańska tajemnica – Badacze wciąż głowią się nad rozwikłaniem wielu zagadek tego niezwykłego ludu

Stygmaty o. Pio – Cuda dziejące się wokół tego świętego zakonnika ściągały do San Giovanni Rotondo tłumy pielgrzymów

Największy błąd Putina – Rosyjska armia była pewna swego. Ukraińcy byli jednak w stanie wykorzystać to, że wróg „opuścił gardę"

UPA i Żydzi – Ukraińscy nacjonaliści pomagali Niemcom w mordowaniu Żydów, wykazując się przy tym dużą inicjatywą

Polak, który pokonał Bank Francji – Banknoty podrobione przez Czesława Bojarskiego uznawane są dziś za dzieła sztuki. Na aukcjach numizmatycznych osiągają ceny wyższe od oryginałów

Ucięta „prawa ręka" Stalina – Malenkow wydawał się murowanym następcą generalissimusa. Brakowało mu jednak talentów politycznych, którymi wykazywał się jego rywal – Chruszczow

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 944c8c46b0

Prawdziwy cel rozłamu w PiS



PAWEŁ LISICKI

Jeśli ktoś wierzył w aksamitny rozwód Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego, to musiał się szybko rozczarować. Zamiast spokojnego rozstania można bowiem obserwować coś, co przypomina karczemną bójkę. Doskonale pokazał to występ Jacka Kurskiego, który to miał tę zaletę, że jego bohater po prostu nie gryzł się w język. Według niego Morawiecki „realizuje niemiecki plan podboju Europy". Dodatkowo działa na zlecenie Tuska: „Tutaj mamy do czynienia z ordynarną akcją na zlecenie Tuska, na zlecenie koalicji 13 grudnia, rozbicia jedynej realnej machiny politycznej i wyborczej, która może odebrać im władzę".

Ponoć za te wypowiedzi prezes PiS ukarał Kurskiego nakazem milczenia. Jedno jest pewne: nawet jeśli w potoku oskarżeń wobec Morawieckiego kryje się racjonalne jądro, to całość uderza tak naprawdę w Jarosława Kaczyńskiego. Jak to bowiem możliwe, że prezes PiS nie tylko wykreował na najważniejszą osobę w swojej partii właśnie tego, kto działał i działa na zlecenie Niemiec? I że tego przez osiem lat nie zauważył? Gdyby wyciągnąć z rozumowania Jacka Kurskiego ostateczne konsekwencje, to trzeba by uznać, że prezes PiS całkowicie stracił kontakt z rzeczywistością, a polityka jego własnego rządu była prowadzona… bez jego wiedzy. Atakując w ten sposób Morawieckiego, Kurski ośmiesza PiS.

Co nie zmienia faktu, że główny jego zarzut – Morawiecki dokonał rozłamu, na którym najbardziej skorzysta partia Donalda Tuska – wydaje się słuszny.

Po pierwsze, pokazuje to prosta arytmetyka. Dwie słabsze partie – PiS i Rozwój Plus (zakładając, że tak się będzie nazywać ugrupowanie Morawieckiego) – razem mogą mieć w 2027 r. mniej mandatów niż jeden PiS.

Po drugie, i jest to znacznie ważniejsze, pojawia się pytanie o przyszłość ugrupowania Morawieckiego. On sam od jakiejkolwiek współpracy z Donaldem Tuskiem się odżegnuje. Przeciwnie, twierdzi, że właśnie z obecnym premierem chce skutecznie walczyć. Jednak jak miałby to zrobić?

Realnym powodem wyjścia Morawieckiego z PiS było jego przekonanie, całkiem słuszne, że w rysującej się po 2027 r. koalicji prawicowej nie ma dla niego miejsca. A przynajmniej, że jedyne, na co może liczyć, to pozycja mało istotna. Powód jest prosty – to właśnie w Morawieckim elektorat tak Konfederacji, jak Korony Grzegorza Brauna upatruje źródło wszystkich błędów i słabości ośmioletnich rządów PiS. To Morawiecki był twarzą zamordystycznej polityki covidowej, uległości wobec Unii Europejskiej, to on przyjął zasadę „pieniądze za praworządność" i to on podpisał się pod rezolucjami Rady Europejskiej, wprowadzającymi Zielony Ład. To także Morawiecki przygotował i wprowadził Polski Ład, tak powszechnie odrzucany przez ogół polskich małych i średnich przedsiębiorców. Wreszcie, rzecz nie bez znaczenia, to on firmował bezwarunkowo proukraińską politykę Warszawy – z czego zresztą ostatnio próbował się wycofać w dość, trzeba przyznać, żałosny sposób, ogłaszając, że prowadził politykę na miarę Józefa Piłsudskiego, a Ukraińców wykorzystał cynicznie i bezlitośnie.

Musiałby zatem były premier pogodzić się z odsunięciem na tor boczny i na okres karencji – aż, jak to zwykle bywa na tym łez padole, po pewnym czasie wróciłby do gry. Tylko że Morawiecki czekać nie chciał. Dlatego początkowo próbował doprowadzić do przejęcia całego PiS – w ten sposób mógłby narzucić swoją kandydaturę potencjalnym partnerom. Gdy to się nie udało, chciał przynajmniej utworzyć sobie w PiS własną partię. Na to z oczywistych powodów nie mógł się zgodzić Jarosław Kaczyński. W tej sytuacji Morawieckiemu pozostało doprowadzenie do rozłamu.

Jeśli ta analiza jest słuszna, to łatwo zauważyć, że ostatecznie jego ugrupowanie skazane jest, jeśli przetrwa i utrzyma poparcie powyżej progu wyborczego, na sojusz z Koalicją Obywatelską i Donaldem Tuskiem. Odejście z PiS na pewno nie uczyniło go bardziej atrakcyjnym dla wyborców Konfederacji i Korony. Podobnie nie może już liczyć na zaufanie Jarosława Kaczyńskiego. Może natomiast – to jest cel realny – zastąpić w roli przybudówki KO Szymona Hołownię.

Pierwsze znaki, że tak będzie, już się zresztą pojawiły – jak powiedział Radosław Sikorski, wicepremier i minister spraw zagranicznych, Morawiecki „nie był eurofobem", chciał dla Polski pieniędzy z KPO i gdyby nie „szaleństwa Ziobry", to by je dostał. To retoryka, która idealnie nadaje się jako podstawa dla powstającego w przyszłości sojuszu odpowiedzialnych, „proeuropejskich sił". Będą mu zgodnie patronować z jednej strony UE, z drugiej Waszyngton. Ameryka za pośrednictwem swojego ambasadora wyraźnie wskazała na byłego premiera jako na swojego człowieka w Warszawie, podobnie, nie mniej jednoznacznie, ogłosiła, że w przyszłej koalicji nie ma miejsca dla Grzegorza Brauna.

Wiele wskazuje na to, że na naszych oczach rodzi się właśnie polska wersja „wielkiej koalicji". ©℗

eprasa.pl 944c8c46b0



TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
DLACZEGO TAK IM UFAJĄ?
Zagadka fenomenu Marty i Karola Nawrockich

19 WOJCIECH GOLONKA
WYWIAD BEZ SPARINGU. PREZYDENT Z KRWI I KOŚCI?

OPINIE

48 ŁUKASZ WARZECHA
KTO MOŻE BYĆ POLAKIEM?
Różne podejścia do migracji

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
CZY KOŚCIÓŁ SCHOWAŁ CHRYSTUSA?

52 ROZMOWA Z JAKUBEM CHABIKIEM
MĘSKA TWARZ WYKLUCZENIA

HISTORIA

56 JACEK KOMUDA
KTO ROBIŁ INTERESY NA ROZBIORACH POLSKI?
Awanturnicy i lobbyści wroga

60 RAFAŁ ADAMUS
CZY WARSZAWA MOŻE SAMA DOCHODZIĆ ROSZCZEŃ ODSZKODOWAWCZYCH?

ŚWIAT

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
NOWY GROŹNY RYWAL ZEŁENSKIEGO
Kim jest Mychajło Fedorow

67 TERESA STYLIŃSKA
NA PREZYDENCKIM TRONIE. SUKCESJA PO RECEPIE TAYYIPIE ERDOĞANIE

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
KRAJOBRAZ PO ROZŁAMIE
Przyszłość nowego projektu Mateusza Morawieckiego

25 ROZMOWA Z JANUSZEM KOWALSKIM
KOLEJNY PREMIER BĘDZIE Z KONFEDERACJI

28 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
KIM SĄ POLITYCY, KTÓRZY WOLĄ MORAWIECKIEGO OD KACZYŃSKIEGO

31 ROZMOWA Z MACIEJEM ŚWIERZYŃSKIM
WAŻNE DZIEŁA WYMAGAJĄ OFIAR

KULTURA

34 ROZMOWA Z MARIUSZEM URBANKIEM
POETA O WARIACKIM TALENCIE
Gałczyński bez lukru

38 FILIP MEMCHES
WENECKI BUNT MUZUŁMANINA

40 PIOTR GOCIEK
PERŁY Z LAMUSA

43 KRZYSZTOF MASŁOŃ
PAN MINISTER TAŃCZY

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

EKONOMIA

70 CEZARY ZAWALSKI
NORWESKI MODEL POD LUPĄ
Sukces planowania czy niewykorzystany potencjał rynku?

WAKACJE Z „DO RZECZY"

74 JACEK PAŁKIEWICZ
MIASTO, KTÓRE NIE CHCE BYĆ POCZTÓWKĄ
Przewodnik Jacka Pałkiewicza: Samarkanda



FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (7), JASTRZĘBOWSKI (8), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (62), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 944c8c46b0

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Paweł Wodzyński/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratapraswy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Wdowi podatek

Co miesiąc płacę wdowi podatek. Powtarzam – płacę ten wdowi podatek co miesiąc, a w ciągu roku zbiera się z tego niezła suma. Wyjaśnię, bo niesłusznie tylko ja go tak nazywam. Płacę go, jak wiele kobiet w Gdyni, w których domach dzieci wyfrunęły z gniazda, a mężowie zmarli. Płacę go, bo od 1 lipca 2013 r. Gdynia wprowadziła system opłat za wywóz posegregowanych śmieci powiązany z powierzchnią mieszkania, więc co miesiąc, po kolejnej podwyżce, z mojego portfela znika 101 zł. I proszę mi nie mówić, że mogę się przeprowadzić do kawalerki (już to słyszałam), bo z różnych powodów nie chcę i nie mogę tego zrobić. Więc płacę, znacznie więcej niż rodziny zajmujące mniejsze mieszkania niż moje i generujące więcej śmieci. Postanowiłam się przyjrzeć problemowi z bliska. Wyszło mi, że to moje miasto tak mnie traktuje. A kto zarabia? Odpowiedź nie jest jednoznaczna i w gruncie rzeczy niczego nie zmienia, ja także niczego nie jestem w stanie zmienić.

Od początku. Odkąd nastał obowiązek segregowania śmieci, umieszczam je w małych wiaderkach mieszczących się w szafce pod zlewem. W każde z nich wkładam 15-litrowy worek na tyle duży, że można go zawiązać po zapełnieniu. Oczywiście, muszę kupować woreczki, także te – biodegradowalne na BIO. Wyrzucam je średnio raz w tygodniu, właściwie nie ja, tylko dzieci albo wnuki, kiedy mnie odwiedzają, bo z chodzeniem, zwłaszcza po schodach, jest mi coraz trudniej.

Wszystko, co teraz napiszę o procederze związanym ze śmieciami, oparłam na informacjach uzyskanych z Internetu, a także od AI. Wywóz śmieci jest usługą, za którą trzeba zapłacić. To jasne. Oprócz pojemników, które ustawiono na zewnątrz, każdy mieszkaniec musiał wygospodarować miejsce na mniejsze pojemniki w swoich mieszkaniach. Pozbywając się posegregowanych w mieszkaniach śmieci, wykonuje usługę, wstępną selekcję, której firma już wykonać nie musi. To tak, jakby fryzjer kazał mi przyjść na strzyżenie z umytymi, mokrymi włosami, po czym mnie ostrzygł, ale zapłatę wziął za wszystko, łącznie z umyciem. Więc może za tę wstępną segregację mamy upust? Oto odpowiedź wygenerowana przez AI. Cytuję za AI: „Mieszkańcy Gdyni nie otrzymują »upustu« za samą segregację śmieci, ponieważ jest ona bezwzględnym obowiązkiem prawnym. Urząd Miasta stosuje system kar i nagród oparty na stawkach podstawowych oraz specjalnych zniżkach celowych". (Mogę powalczyć jako emerytka o 15 zł zniżki albo dostać „po łapach", jeśli pomylę pojemniki).

To do kasy Urzędu Miasta Gdyni wpłacam co miesiąc mój wdowi podatek, zakładam, że to połowa tej sumy, którą płacę za wywóz śmieci, co wynika z porównania opłat liczonych od osoby w innych miastach, chyba że UM oddaje wszystko Saniporowi. Cytuję za AI: „Przedsiębiorstwo jest całkowicie prywatną firmą komunalną […] i nie jest własnością miasta, lecz realizuje zadania publiczne na jego zlecenie w ramach wygranych przetargów […]. Gdynia nie zarabia na wywozie śmieci, natomiast prywatne firmy wywozowe – takie jak Sanipor – generują na tym swój zysk biznesowy". To jak to tak? UM lekką ręką oddaje wdowi grosz Saniporowi, sam nic z tego nie mając? No, nie rozumiem…

Irena Kucz

Nawet nie było blisko

Ruska rakieta spadła sobie na Polskę, a pan premier Tusk uspokaja, że wszystko było pod kontrolą, że nasze systemy nie dały się zaskoczyć, że byliśmy gotowi do zestrzelenia rakiety w każdej chwili. Każdy, kto pamięta ambitne plany obrony Rzeczypospolitej przed agresją ze wschodu (do Wisły bierzcie, dalej może będziemy się bronić), musi przyznać, że uderzanie w alarmistyczne tony jest nie na miejscu. Przecież rakieta spadła na ziemię, którą i tak można oddać bez żalu, kto wie, może nawet na terenach, „gdzie z.eby są". Pan premier mógł spać spokojnie. Nawet do Wisły było daleko, nie mówiąc już o Odrze czy Sprewie…

Michał, Wielkopolska

eprasa.pl 944c8c46b0

NA PIERWSZY OGIEŃ

Straszne efekty nieudanego



PIOTR SEMKA

Niemiecka opinia publiczna zbulwersowana jest szczegółami śledztwa w sprawie sprawcy zamachu na festynie LGBT w berlińskim parku Tiergarten. Abdul B., syn imigrantki z Libanu, wjechał furgonetką w tłum ludzi zgromadzonych na trasie parady równości niemieckich organizacji homoseksualnych. Ten brutalny atak zakończył się śmiercią jednej kobiety, nawiasem mówiąc – obywatelki Polski, a dodatkowo 29 osób zostało rannych.

Sprawca uciekł z miejsca ataku, ale po paru godzinach została namierzona jego kryjówka na terenie ogródków działkowych w niemieckiej dzielnicy Spandau. Otoczony przez policję próbował ruszyć w kierunku funkcjonariuszy z nożem w ręku, ale w rezultacie został zastrzelony na miejscu. To jednak nie te dramatyczne okoliczności sprawy wywołują najwięcej wzburzenia.

Okazuje się, że Abdul B. znany był od lat władzom jako groźny ekstremista islamistyczny i był nawet prawnie zakwalifikowany do kategorii osób, które po wyroku za przestępstwo terrorystyczne zostają uznane za zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego. Jednak z tych mocno brzmiących definicji nie wynikła jakaś forma ścisłego monitorowania tego, co Abdul B. robi i co zamierza zrobić.

Dlaczego? Było to możliwe w wyniku oceny sądu, że nie stanowi on bezpośredniego zagrożenia. Młodego człowieka skierowano na kurs przystosowawczy do zaakceptowania zasad demokratycznego wolnego społeczeństwa. I okazuje się, że sporą część osób, które miały zmienić światopogląd „problematycznego" kursanta, stanowiły radykalne feministki i wyznawczynie lewicowego światopoglądu. Nikt nie uznał, że akurat w wypadku wojującego islamisty – wyznawcy ideologii obciążonej spora dawką mizoginizmu – perswazja ze stron postępowych pań zadziała raczej jak płachta na byka.

Casus Abdula B. przypomniał Niemcom o jeszcze jednym problemie. Był pełnoprawnym obywatelem RFN. Jego libańska matka otrzymała niemieckie obywatelstwo w 2002 r. A on sam z racji tego, że urodził się na terenie RFN, automatycznie otrzymał obywatelstwo niemieckie.

To efekt fundamentalnej zmiany w niemieckim prawie, która była przeprowadzona w 1999 r. przez ministra sprawiedliwości z SPD Ottona Schilego, który unieważnił dawne prawo krwi, czyli zasadę, że obywatelstwo związane jest przede wszystkim z przynależnością do społeczności żyjącej od wielu pokoleń na terenie Niemiec lub związanych z niemiecką grupą etniczną.

Schily w okresie fali lewackiego terroryzmu lat 70. w zachodnich Niemczech był obrońcą terrorystów z Frakcji Czerwonej Armii (RAF). Po latach przeszedł długą drogę od przyjaciela uczestników rewolty do polityka partii Zielonych i człowieka, który zreformował niemieckie prawo. Dziś z jego zmian wynikają takie przypadki, jak sprawa Abdula B. I któż może zaprzeczyć, że „długi marsz przez instytucje" zapowiedziany przez innego rewolucjonistę, Rudiego Dutschkego, nie zmienił Niemiec? ©℗



FOT. KRÓLOWA POKOJU - MEDUGORJE/FACEBOOK

PROFANACJA W MEDZIUGORIE

„Diabeł w spódnicy" – taki napis w kilku językach, w tym po polsku, wymazany czarną farbą pojawił się na figurze Matki Bożej w Medziugoriu. W sercu jednego z najpopularniejszych miejsc pielgrzymkowych Europy podłożono również ogień w pobliżu ołtarza polowego przy Kościele św. Jakuba. Bośniacka policja ujęła sprawcę uciekającego w stronę granicy z Chorwacją. To 31-letni Polak z Krakowa. Ślady profanacji szybko usunięto. ***(raw)*** ©℗

TRAGICZNE TRZĘSIENIE ZIEMI

Co najmniej 30 ofiar śmiertelnych pochłonęło trzęsienie ziemi, które 28 lipca nawiedziło japońską prefekturę Kumamoto. W wymagającej akcji ratunkowej wzięły udział tysiące funkcjonariuszy. Działania komplikowały upały sięgające 39 st. C oraz ponad 100 odnotowanych wstrząsów wtórnych. Ewakuowano ok. 9 tys. osób, a 30 tys. gospodarstw domowych jeszcze pod koniec ubiegłego tygodnia pozostawało bez prądu. ***(raw)*** ©℗

eprasa.pl 944c8c46b0



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Nowa liber chamorum

Robert Kropiwnicki to z woli Donalda Tuska członek „odzyskanej" KRS. Skoro go Partia rzuciła na ten odcinek, postanowił zdobyć tytuł naukowy – i zdobył. Na uczelni SWPS – tej samej, gdzie swego czasu otrzymał tytuł doktora minister Myrcha – złożył pracę habilitacyjną, opartą na swej monografii „Pozycja ustrojowa posła w Polsce". I habilitację otrzymał. Teraz jest już nie tylko doktorem, jak Myrcha, lecz także doktorem habilitowanym.

Przypominam sprawę Myrchy nie przypadkiem, bo podobnie jak w tamtym wypadku mamy do czynienia z przekrętem. Nie pozostawia co do tego wątpliwości artykuł dr. Macieja Pacha w „Rzeczpospolitej". Pach co prawda tylko prosty doktor bez habilitacji, a więc w hierarchii intelektualnego szlachectwa szczebel niżej – ale dużo cytuje. Bardzo konkretnie wykazuje tymi cytatami, że praca habilitacyjna Kropiwnickiego jest zwykłą hucpą, nie spełnia elementarnych wymogów formalnych (brak w niej np. jakiejkolwiek hipotezy badawczej), „usiłuje odpowiedzieć na trywialne pytania potoczną i niepoprawną polszczyzną" i roi się w niej od szkolnych błędów – np. obca jest „habilitantowi" fachowa prawnicza terminologia, którą notorycznie myli. A mimo to została bardzo pozytywnie oceniona przez recenzentów.

Jacyż to recenzenci? Dobrane grono, sami doktorzy habilitowani i wszyscy związani z Partią. Dwóch – Ryszard Balicki i Konrad Składkowski – zostało z rekomendacji PO członkami Państwowej Komisji Wyborczej. Joanna Juchniewicz przygotowała dla ministra Adama Bodnara (dziekana wydziału SWPS, gdzie doktoryzowano Myrchę i habilitowano Kropiwnickiego) „opinię prawną", że może aresztować Marcina Romanowskiego mimo europejskiego immunitetu, a Anna Rakowska – analogiczną opinię, że może odsunąć prokuratora krajowego Barskiego i zastąpić bez zgody prezydenta swoim mianowańcem.

„Elita, sapristi!" – jak rzekłby hrabia Żorż Ponimirski z „Kariery Nikodema Dyzmy". ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Tajemnica „lex szarlatan"

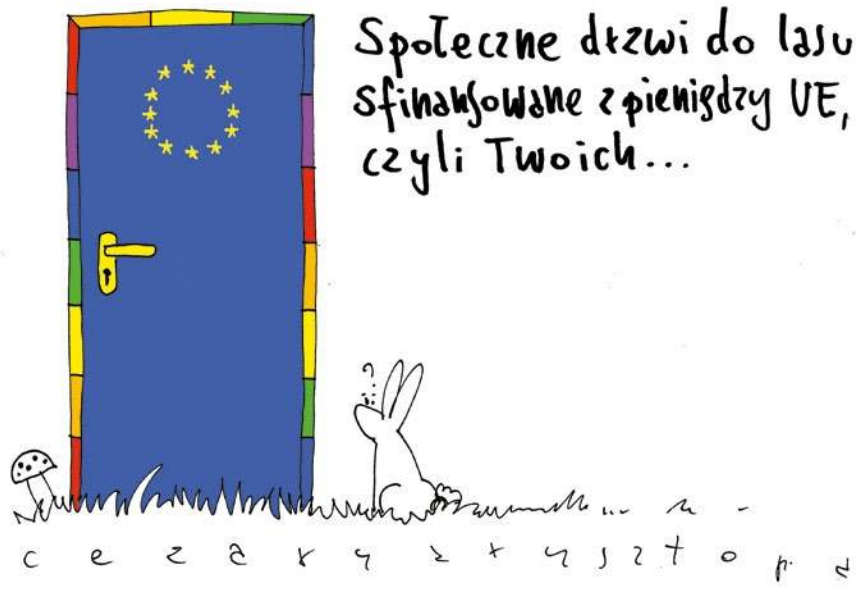
Standardy legislacyjne rządu Tuska i obecnej większości sejmowej u początku kadencji wyznaczyła afera wiatrakowa. Przypomnijmy: ustawa o zamrożeniu cen energii zawierała kilkadziesiąt stron „wrzutki" bardzo profesjonalnie zaprojektowanych przepisów ułatwiających stawianie wiatraków i fotowoltaiki. Ustawa umożliwiała m.in. uchylenie planów zagospodarowania przestrzennego zwykłą uchwałą gminy(!) albo stawiania wiatraków w parkach krajobrazowych (!). Na szczęście nacisk opozycji i opinii publicznej spowodował wycofanie najbardziej kontrowersyjnych regulacji.

Według tych samych standardów tworzona jest teraz nowelizacja ustawy o Rzeczniku Praw Pacjenta zwana „lex szarlatan". Rzekoma ochrona pacjentów przed oszustem ma przykryć wrzucone do ustawy drakońskie regulacje, ograniczające wolność działalności gospodarczej, wolność słowa i prawo obywatela do wyboru metody leczenia. Wbrew konstytucji ustawa w jednym organie administracji publicznej koncentruje ogromną władzę. Rzecznik Praw Pacjenta ma prowadzić postępowania, dobierać ekspertów, decydować, czy publikowane treści są zgodne z „aktualną wiedzą medyczną", wydawać tymczasowe decyzje przed zakończeniem postępowania, nakładać sankcje z rygorem natychmiastowej wykonywalności (np. 1 mln zł grzywny) itd.

Jest jeszcze jedna wspólna cecha ustawy wiatrakowej i „lex szarlatan" – okryte tajemnicą autorstwo ustaw. Otóż adwokat Arkadiusz Tetela w maju br. skierował do Ministerstwa Zdrowia i Rzecznika Praw Pacjenta zapytania: „Kto jest rzeczywistym autorem ustawy? Którzy eksperci i doradcy uczestniczyli w pracach? Czy ujawnili swoje konflikty interesów i relacje z branżą farmaceutyczną? Według jakiej metodologii RPP będzie ustalał granice „prawdy medycznej"? Mimo że terminy już dawno minęły, zarówno ministerstwo, jak i rzecznik nie udzielili odpowiedzi. ©℗

eprasa.pl 944c8c46b0

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Kotula najostateczniejsza



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Rosyjska rakieta wleciała do Polski, leciała, leciała, tak ok. 100 km leciała i sobie spadła. Stop. Nikt ani nic rakiety nie strąciło, nikt ani nic nie ostrzegło mieszkańców województwa lubelskiego, że oto leci sobie rosyjska rakieta. Stop. Na szczęście spadła na pole z dala od budynków. Stop. Zrobiła wielki krater o średnicy 10 m. Stop. Władysław Kosiniak-Kamysz, minister obrony narodowej i wicepremier, w związku z tym... podziękował gen. Nowakowi „i wszystkim, którzy dziś koordynowali, obserwowali, analizowali i reagowali na wydarzenie nad Ukrainą i w naszej przestrzeni powietrznej". Stop. W sumie niby elegancko tak podziękować, ale kryje się tu ciekawostka, bo mamy jednak wzorcową kompromitację: rakietę, która wlatuje nieniepokojona, spada na teren Polski, cudem nikt nie ginie, a minister dziękuje wojsku? Stop. Gdyby tak spadło z 10 (co niech nigdy się nie zdarzy), to Kosiniak-Kamysz musiałby ordery i awanse szykować.

Ech, a tyle było gejradości, tęczowości. I co? Stop. W marcu tego roku Naczelny Sąd Administracyjny kazał kierownikowi Urzędu Stanu Cywilnego wpisanie i uznanie, że dwaj homoseksualiści polscy, którzy wzięli ślub w Berlinie, są małżeństwem też w Polsce, choć wojewódzkie sądy administracyjne mówiły wcześniej, że nie. Stop. Tyle było gejradości i tęczowości i te dwa chłopaki uwierzyły, że są małżeństwem (ludzie to są tacy łatwowierni). Stop. Lecz nadszedł czas próby: „Trybunał Konstytucyjny uznał za niezgodne z konstytucją rozporządzenie ministra cyfryzacji w sprawie transkrypcji zagranicznych aktów małżeństw osób tej samej płci". W orzeczeniu akcentowano, że polski porządek prawny definiuje małżeństwo wyłącznie jako związek kobiety i mężczyzny, czyli klapa. Stop. Wyroki TK na mocy samej konstytucji są ostateczne i powszechnie obowiązujące. Stop. Chyba że niemagister Katarzyna Kotula, kiedyś w randze ministra równości, stwierdzi inaczej. Stop.

Redaktor Gmyz zauważył, że polska policja rejestruje w statystykach przestępstwa z nienawiści przeciw Żydom, Arabom, Cyganom, muzułmanom, homoseksualistom, ale nie rejestruje z przestępstw z nienawiści przeciw Polakom. W sumie czemu? Stop. Odpowiedzi dostarczył redaktor Ziemkiewicz. „No bo musieliby zarejestrować Grossa, Grabowskiego, Engelking, Michnika, pół „Wyborczej", Springera i TVN-u, aż po samego Tuska... Strach!". ©℗

eprasa.pl 944c8c46b0



GWIAZDOBZDUR

SAMA TEGO CHCIAŁAŚ

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

Celebrytka Julia von Stein, znana głównie z tego, że jest znana (oraz z programu „Królowe życia"), w wieku zaledwie 29 lat dokonała głębokiego liftingu twarzy. Zabieg niemal zupełnie zmienił jej naturalne rysy. Z młodej, ładnej kobiety Julia stała się kolejną, chodzącą kopią współczesnych (anty)kanonów urody. Jednak początkowo von Stein zachwycała się nowym wizerunkiem, choć większość internetowych obserwatorów zauważała bijącą po oczach sztuczność. Być może sama nie chciała przyznać, że oczekiwała innych rezultatów. Teraz celebrytka postanowiła wrócić do tematu. No i cóż, Internet się nie mylił.



FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/FAST NEWS

Jak się bowiem okazuje, von Stein żałuje liftingu i... ma w planach kolejną operację. – Zrobiłam operację plastyczną, bo chciałam wyglądać lepiej. Liczyłam na cud. Liczyłam, że wszystko się zagoi. Liczyłam na profesjonalizm lekarza. Wierzyłam, że jeżeli wydaje się wór pieniędzy na jednego z najlepszych lekarzy w tym kraju, to wystarczy. Ale ten cud się nie zdarzył – stwierdza w swoim nagraniu. Julia von Stein wspomina, że operacja trwała dziewięć godzin. – Miałam zrobione deep plane, czyli lifting dolnej partii twarzy, częściowo też szyi. Miałam piłowanie brody, bo wymarzyłam sobie prostą brodę na końcu. Miałam zrobione endoskopowy lifting brwi i oczu. Miał być zrobiony Foxy Eye. Miałam wyprostowane czoło, żeby się nie marszczyć [...]. Miałam wypełnione skronie, tłuszczem i przeszczep tłuszczu pod oczy. Miałam zrobiony lip lift przy skrzydełkach i w kącikach ust. To była potężna operacja plastyczna, trwała ponad dziewięć godzin – opowiedziała. Influencerka z przykrością przyznała, że efekty nie odpowiadają oczekiwaniom. – Chcę wam o tym opowiedzieć głównie dlatego, że wiem, jaka fala krytyki spłynie po mnie za kilka dni, kiedy przejdę kolejną operację. Mam nadzieję, że tym razem udaną operację – kontynuuje. – Będę poprawiała część twarzy, oczywiście u innego chirurga plastycznego. Na dzień dzisiejszy tylko modlę się, żeby ta operacja się udała. Bo nie mam pojęcia, co się stanie, kiedy położę się na stół operacyjny, kiedy lekarz otworzy moją twarz i kiedy zobaczy, co w środku się wydarzyło. I czy się na pewno jej podejmie, czy jej nie przerwie. Więc tym razem naprawdę jedyne, co mi pozostało, to liczyć na cud – podsumowała. Trochę szkoda dziewczyny, ale z drugiej strony – chcącemu nie dzieje się krzywda.

OD CELEBRYTÓW – Z DALA

W swoim wyznaniu Julia wymieniała z imienia i nazwiska lekarza, który podjął się wykonania liftingu twarzy. Gdy obwieściła całemu Internetowi, że nie jest zadowolona z efektów jego pracy, wobec lekarza zaczęto formułować zarzuty. Niektórzy podkreślają, że powinien był odmówić wykonania operacji u tak młodej osoby. Janik postanowił przedstawić swoją perspektywę. W instagramowym oświadczeniu zapewnił, że operacja została wykonana zgodnie z procedurami. On sam nie zamierza komentować sprawy, powołując się na tajemnicę lekarską. „W związku z materiałem opublikowanym w mediach społecznościowych dotyczącym wykonanego przeze mnie zabiegu liftingu informuję, że zabieg został przeprowadzony zgodnie z aktualną wiedzą medyczną, obowiązującymi standardami oraz z należytą starannością. Ze względu na obowiązującą mnie tajemnicę lekarską nie mogę odnosić się do szczegółów indywidualnego przypadku ani prowadzić polemiki w mediach społecznościowych" – czytamy w oświadczeniu. Na koniec wskazał, że sprawą zajmą się prawnicy. „Jednocześnie informuję, że podjąłem działania prawne w celu ochrony mojego dobrego imienia. Z uwagi na prowadzone działania prawne nie będę udzielał dalszych komentarzy w tej sprawie" – zakończył. I tak się właśnie kończy współpraca z celebrytami.

MASOWA ŻAŁOBA PO MATCHY

Modelka Sandra Kubicka budzi w sieci skrajne emocje. Niektórzy ją uwielbiają i cenią za niewyczerpane pokłady pomysłów na siebie i nowe biznesy, inni postrzegają jako rozkapryszoną gwiazdkę, która nie potrafi pogodzić się z porażką. Jedną z tych biznesowych była z pewnością matcharnia w centrum Warszawy, którą Sandra otwierała z wielką pompą. Jednak po kilku miesiącach lokal został zamknięty – najzwyczajniej w świecie nie przyciągał klientów. W podcaście Doroty Szelągowskiej Kubicka w swoim stylu stwierdziła, że to nie jej matcha była kiepska, ale stała się ofiarą hejtu. – Dalej robię ten tour z matcharnią. Zamknęłam po prostu punkt stacjonarny w Warszawie, bo uznałam, że tu jest stolica tego hejtu – wyjaśniała. Podkreśliła, że duża grupa jej fanek bardzo źle odebrała wiadomość o zamknięciu lokalu. Według Kubickiej informacja ta wywołała wręcz zbiorową histerię. – Kiedy ogłosiłam, że zamykam matcharnię, pojawiło się tyle samo osób co na otwarciu – przekonuje Sandra. – Wiesz, ile kobiet płakało? Oni mi marzenie spalili. Ja mam masę wspierających mnie kobiet – czy jestem w Poznaniu, we Wrocławiu, czy w Łodzi, to tysiące kobiet przychodzi, płaczą, z dziećmi, piszą mi listy. Ja mam to wsparcie w mediach społecznościowych – podsumowała. ©℗

eprasa.pl 944c8c46b0



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak pewnie wiecie, jesteśmy z Krakowa, a nie Warszawy, stąd też u nas wszystko jest nieco mniejsze i tańsze. I ze zdziwieniem przyjęliśmy niedawno informację, iż osoby w Warszawie potrafią wydać kilkadziesiąt złotych na jagodziankę albo poziomczankę i stoją po nie w długich kolejkach. Wygląda więc na to, iż w Warszawie ludziom bardzo się powodzi, ale of kors nie mamy intencji krytykować tego. Dobrze, że przynajmniej w stolicy nie ma tego polskiego biedackiego mindsetu, który sprawia, iż większą popularnością cieszą się suche bułki z Biedry niż porządna kraftowa jagodzianka.

Z zawstydzeniem musimy dodać, iż w Krakowie nie odnotowaliśmy tak porządnych cen albo po prostu nasz kolektyw nie jest odpowiednio up-to-date z trendsettującymi miejscówkami na słodkie przysmaki.

W ogóle pewnie to może być dla niektórych nowość, ale poziomki można spróbować wyhodować sobie na balkonie tuż obok doniczki z kiełkami sushi. Co więcej, podobno dostęp do poziomek na wsiach bywa nielimitowany, iż janusze uprawiają je w swoich ogródkach. Interesujące z punktu widzenia optymalizacji domowego budżetu, ale rozumiemy, że jednak co kraftowe i z modnego miejsca, to kraftowe i z modnego miejsca, prestiżu na grządce u babci się nie wyhoduje.

Straszną bekę ze zjawiska miał Nowy z Tarnowa, który twierdzi, że jak jedzie na weekend do osób płodzących, to idzie do lasu, nazrywa tyle jagód, ile uniesie w kobiałce, a osobomatka potem napiecze domowych jagodzianek. Kiedyś nawet przyniósł ich trochę do korpo i częstował, ale nie wiedzieliśmy, w jakich warunkach higienicznych zostały przygotowane, czy osobomatka ma ważną książeczkę sanepidowską i czy podczas wyrabiania ciasta miała na głowie czepek, a na twarzy maseczkę. Nie chcieliśmy też dopytywać, czy do ciasta używała zwykłej mąki, bo odpowiedź mogłaby nas emocjonalnie obciążyć.



Nowy po swojemu nas wyśmiał, iż to dobrze, że nie chcemy, że będzie więcej dla niego, na naszą słuszną skądinąd uwagę, iż odzieranie lasu z runa leśnego jest przemocą i przejawem antropocentrycznej dominacji nad naturą, powiedział, że chyba jesteśmy durni. Na takim poziomie dyskusji prowadzić nie będziemy, więc postanowiliśmy oddalić się i pomedytować nad naruszoną strukturą lasu, wysyłając dobrą energię równoważącą grabież wyrządzoną przez Nowego.

W ogóle jakoś tak niepostrzeżenie minęła już połowa wakacji. Sami chyba czujecie, iż początek sierpnia jest takim symbolicznym momentem, w którym człowiek zaczyna rozliczać się z tego, czy odpowiednio wykorzystał letni sezon.

Kiedy tak obserwujemy konta na insta, oglądamy rolki na fejsie czy wpisy na LinkedInie o rozwoju, to mamy poczucie, iż zmarnowaliśmy wakacje – nie odwiedziliśmy przynajmniej 18 z 20 najpiękniejszych plaż w Europie, nie zapisaliśmy się na warsztaty robienia tiramisu podczas city breaku w Treviso, nie nagraliśmy rolek z testowania street foodu w Maroku, nie zrobiliśmy przynajmniej pięciu certyfikatów z obsługi AI, którymi moglibyśmy się pochwalić na portalu dla profesjonalistów ani nawet – wstyd przyznać – nie zrobiliśmy nic w ramach wolontariatu dla żadnej z mniejszości.

A tu już niedługo sezon na dyniowe latte, zdjęcia w szalikach i jesieniarskie klimaty z książką i kotem. Strasznie szybko to wszystko leci :(. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Niech poczeka i niech postoi

Donald, przyszedł Mateusz.
Jaki Mateusz? Janek, daj mi spokój, nie widzisz, że mecz oglądam?

Ale mówi, że się znacie.
Niby skąd?

Mówi, że doradcą twoim był kiedyś.
A bo to ja miałem jednego doradcę?

Ale on mówi, że ma ciekawe informacje o Kaczorze.

I tylko w cztery oczy powie.
No...
To może trochę zmienia postać rzeczy.

Wpuścić?
Nie. Niech poczeka do przerwy. Żeby sobie nie myślał.
Aha, i krzesło z poczekalni zabierz. Niech postoi. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[...] w sferze publicznej będzie istniała tylko jako manekin dla swoich kostiumów i sukienek".

PROF. MAGDALENA ŚRODA, *filozof, na Facebooku o pierwszej damie Marcie Nawrockiej*

eprasa.pl 944c8c46b0

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 944c8c46b0

dwaj panowie g

Jest spór. Wszyscy sobie zadają pytanie, jak właściwie nazwać to, co się zdarzyło. Prezes naczelnik Kaczyński utrzymuje, że Morawiecki i jego ludzie zrezygnowali z członkostwa w PiS. Oni zaś utrzymują, że żadnej rezygnacji nie składali. Nowogrodzka twierdzi, że nikogo nie wyrzucała, tylko zatwierdziła decyzję odchodzących. Odchodzący uważają, że zostali wypchnięci. A media – że wyrzuceni. No i bądź tu mądry. Mamy propozycję kompromisową. Uznajmy po prostu, że ojciec Mateusz i jego ludzie jednocześnie odeszli i zostali wyrzuceni. Mamy na to nowe określenie: zostali z partii odejdnięci.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Od razu podrzucamy komentatorom chwytliwe zdanie do powtarzania, ale pamiętajcie, zachowujemy copyright. Otóż mamy teraz na prawicy w Polsce partię Morawieckiego oraz trzy Konfederacje. Największa z nich, nazywająca się dla niepoznaki PiS, jest jednocześnie Konfederacją najmniej wiarygodną, bo nawróconą na konfederacjonizm świeżo i nieszczerze.

Uwaga, opowieść o dwóch nieświadomościach. Otóż łazi po mieście niejaki Mastalerek, znany jako Masta, i opowiada, że będzie łącznikiem między STROP Morawieckiego a prezydentem w stanie spoczynku Andrzejem Sebastianem. Zasięgnęliśmy więc informacji u źródeł i odpowiadamy – nie będzie.

Druga rzecz. Plotka, którą rozpowiadają z kolei „maślarze". Że podobno niejaki Agatowski zrobił badania i wyszło mu, że STROP ma poparcie na poziomie 2 proc. Dla „maślarzy" to miód na uszy, bo Agatowski trafnie przewidywał w przeszłości wyniki wyborcze. Jest tylko jeden problem – otóż Agatowski nic nie wie, żeby przygotował taką analizę. To ta druga nieświadomość.

Wybiła godzina prawdy, maski opadły. I wreszcie wszyscy mogą się dowiedzieć, kim są ci inni wszyscy. Takie przynajmniej efekty przyniosło nam odejdnięcie morawian z PiS. Jak się okazało, Morawiecki to właściwie Tusk. Co wprawiło nas w konfuzję. Bo przecież Tusk to Putin. No ale z drugiej strony Putin to PiS. A skoro tak, to znaczy, że Morawiecki to jednak PiS. Co było do udowodnienia.

Postawiono też tezę, że Morawiecki właściwie to był w PiS takim kretem, bo wcześniej był doradcą Tuska. A pamiętacie, co się stało potem z Tuskiem? Stracił władzę! Ha! Tak mu sprytnie doradzał! A teraz uwaga: osiem lat później władzę stracił PiS, z którego ramienia premierem był Morawiecki. Ludzie! To nie doradca, to nie kret – to Jonasz!

Ciekawe są skutki odejdnięcia grupy Morawieckiego w terenie. Na przykład w Dolnośląskiem z 15 posłów PiS w partii zostało sztuk pięć. A w okręgu wałbrzyskim – zero. Cała trójka poszła do ojca Mateusza. Co oznacza, że PiS aktualnie nie ma posła w okręgu wałbrzyskim. No i do kogo teraz mają iść po pomoc ludzie prześladowani przez tuskową władzę?

Niespodziewanie rekordzistą, jeśli idzie o wynalazczość w sobaczeniu STROP, okazał się Tobiasz Bocheński, który publicznie użył wobec Mateusza sformułowania „Zdradzeusz". Ma w tym własny interes. Przypomnijmy: już tydzień temu ujawniliśmy, iż ci sami ludzie, którzy forowali Czarnka na kandydata na kandydata na premiera, żeby odbierał Konfederacji, teraz forsują Bocheńskiego, żeby odbierał Morawieckiemu. Czekamy z niecierpliwością na kandydata, który będzie odbierał Platformie.

Bardzo ciekawi nas, czy odejdnięte ugrupowanie utrzyma nazwę STROP (Stowarzyszenie Rozwój Plus) czy może lekko ją zmodyfikuje (jak podpowiada nieoceniony Ziemkiewicz: na PROP – Partię Rozwój Plus), a może po prostu zmieni nazwę na całkiem nową. Jako że ojciec Mateusz chce szukać wyborców w centrum, od dawna podpowiadamy, że powinno nazywać się po prostu: Porozumienie Centrum.

Na razie nowy klub parlamentarny ma się nazywać Rozwój Plus, czyli w skrócie ROP. Co nas rozrzewniło, bo pamiętamy prawdziwy ROP, czyli Ruch Odbudowy Polski, ten od Jana Olszewskiego. Natomiast wedle Marka Jakubiaka nowa partia ma nazywać się Sprawy Polskie. SPRAP? Jednak wątpimy.

Wielką karierę w mediach społecznościowych zrobił uroczy screen, który podała Joanna Miziołek, pokazujący, jak z grupy komunikacji wewnętrznej PiS usuwane są kolejne nazwiska. Znacie te nazwiska: Morawiecki, Dworczyk, Buda, Müller itd. Nas najbardziej zaciekawiło, że wśród tych bardzo znanych nazwisk był też użytkownik, który nazywał się po prostu „Grzegorz od Dworczyka". Zwykle gdy historia przyspiesza, ofiary z drugiego szeregu pozostają bezimienne. Tym razem choć jedna z nich ma imię. I brzmi ono: „Grzegorz".

Teutońska gazeta „Die Tageszeitung", komentując rozłam w PiS, wyraziła opinię, że najlepiej byłoby, gdyby obydwa ugrupowania zniknęły. To samo mówiliśmy zawsze o obydwu państwach niemieckich.

Jeszcze o sprawach zagranicznych. Szef resortu dyplomacji, znaczy pan z gmachu na Szucha, znaczy Radek, wzorem swoich poprzednich rządów przygotowuje się do likwidacji dwóch ambasad, czyli w Trypolisie i Damaszku. Owszem, placówki od dłuższego czasu nie funkcjonują ze względu na sytuację w regionie. Ale zaczyna się ona uspokajać i inne kraje raczej przygotowują się do wznowienia działalności placówek. Gdyż i Syria, i Libia to kraje absolutnie kluczowe. Ale cóż: Radek wie lepiej. ©℗

eprasa.pl 944c8c46b0

30 LAT LEGENDY

CIEMNOGRÓD

KONCERT URODZINOWY

1996-2026

WRACAMY DO OSIEKA PO 30 LATACH!

WYSTĄPIĄ

PAWEŁ BĄCZKOWSKI/MEGA SUPPORT

MILO ENSEMBLE

GRUPA FURMANA/TROJAK

ALICJA BONCOL & KOALICJA

CEZARY MAKIEWICZ & KOLTERSI

MARIACHI LOS AMIGOS



22 SIERPNIA 2026

OSIEK

POMORZE / KOCIEWIE

Z INICJATYWY

śp. STANISŁAWA CEJROWSKIEGO

TWÓRCY PIERWSZEGO CIEMNOGRODU 1996

WOJCIECH CEJROWSKI ZAPRASZA

WWW.CIEMNOGROD.PL

eprasa.pl 944c8c4b6b



FOT. ORSYBRONI.PL



ROSYJSKA RAKIETA SPADŁA NA LUBELSZCZYŹNIE

W czwartek nad ranem polską przestrzeń powietrzną naruszyła rosyjska rakieta manewrująca Ch-101. Pocisk przeleciał kilkadziesiąt kilometrów w głąb naszego terytorium i spadł w miejscowości Tarnawa-Kolonia na Lubelszczyźnie. Prokuratura potwierdziła, że rakieta przenosiła znaczną ilość materiału wybuchowego. Mierząca 7,45 m rakieta Ch-101 może przenosić nawet 400 kg materiału wybuchowego, a w innej wersji – głowicę jądrową. Dowództwo Operacyjne odnotowało obiekt i natychmiast uruchomiono procedurę SPO-13, a mieszkańców wyrwał ze snu dźwięk syren alarmowych. Na szczęście nikt nie ucierpiał.

Wiceminister obrony narodowej Cezary Tomczyk zdradził w jednym z wywiadów, że tej nocy w kierunku Polski leciało znacznie więcej rakiet. – To był jeden z największych ataków rakietowych na Ukrainę. Właściwie od początku wojny przeważnie śledzimy kilkaset obiektów, które zazwyczaj są dronami uderzeniowymi. Zazwyczaj Rosjanie atakują 10–20 rakietami, a w tym przypadku mówiliśmy w sumie o ok. 70 rakietach, z czego ok. godz. 3 w nocy 20 rakiet leciało w kierunku Polski – mówił. Ostatecznie zmieniły tor lotu. – Wojsko Polskie śledziło cały tor zdarzeń, jeżeli chodzi o to wszystko, co działo się w Ukrainie – zapewnił Tomczyk. ***(raw)*** © ℗

FOT. KOMENDA WOJEWÓDZKA PAŃSTWOWEJ STRAŻY POŻARNEJ W LUBLINIE



Rafał A. Ziemkiewicz

Człowiek z blokowiska



Obecny prezydent jest w historii III RP pierwszą postacią publiczną, która nie uległa charakterystycznemu dla naszych elit, jak to określił Witkacy, „puszeniu się". Nie ma on w sobie nic ani z geremkowej przemądrzałości dawnego „salonu" Adama Michnika, ani z nowobogackiej pogardy cwaniackiej formacji Donalda Tuska

Po roku sprawowania urzędu Karol Nawrocki cieszy się większą popularnością niż w chwili wyboru, a deklarujących nieufność wobec prezydenta jest zdecydowanie mniej niż tych, którzy mu ufają. To daje Karolowi Nawrockiemu pozycję najpopularniejszego polskiego polityka i jedynego, któremu ufa więcej niż połowa Polaków. Wciąż nie jest to poparcie miażdżące, ale widać w sondażach, że stale rośnie, i – co najważniejsze – widać, że zaczyna przekraczać przepaść pomiędzy obozami „patriotów" i „Europejczyków", mimo zdecydowanego spozycjonowania prezydenta w tym pierwszym. Wszystko to pomimo zajadłych nagonek medialnych, prowadzonych przeciwko niemu przez maszynę propagandową obozu postępowo-liberalnego. A może, przewrotnie, właśnie dzięki nim?

„Moja sąsiadka powiedziała: i przystojny, i doktor, i w mordę dać potrafi" – takim cytatem podsumowała jakiś czas temu fenomen prezydenta Nawrockiego dr Ewa Pietrzyk-Zieniewicz. W tej dosadnej formie popularna politolog zawarła bardzo istotną cechę Nawrockiego: jest to pierwszy przywódca polityczny w 37-letnich dziejach III RP, który nie podkreśla swej „elitarności", nie stylizuje się na inteligenta, choć ma przecież ku temu wszystkie formalne tytuły.

Z jednej strony nie ma problemu z pokazaniem się w bejsbolówce czy koszulce „żonobijce", w zajrzeniu do kebabowni i spotkaniu się tam z młodymi wyborcami. Donald Tusk czy Bronisław Komorowski także od czasu do czasu sięgali po kibicowskie szaliki, ale to, co u innych było wyraźnie rekwizytem lub zagrywką, u Nawrockiego wygląda naturalnie.

Z drugiej strony, wizerunek „chłopaka z blokowiska" Nawrockiego nie ma nic wspólnego z nielicznymi w naszej polityce „trybunami ludowymi", w której to roli występowali np. Andrzej Lepper czy wcześniej Lech Wałęsa. W Polsce nie ma już takiego „ludu", jaki oni prezentowali. Wielkoprzemysłowa klasa robotnicza, z którą kojarzył się Wałęsa, praktycznie już nie istnieje, a wieś to coraz bardziej habitat przedsiębiorców rolnych i ich pracowników. Nawrocki to co innego: to ucieleśnienie uwieńczonego sukcesem awansu społecznego. Przywódca, który z blokowiska wyrósł, ale gdy wykształcił się i odniósł sukces, wciąż pamięta, „skąd mu nogi wyrastają" (jak to się jędrnie ujmowało w sferach społecznych, z których pochodzę ja sam). Właśnie tym brakiem inteligenckiego „napuszenia" różni się od Donalda Tuska, który przecież pochodzi z takiego samego i nawet niedalekiego blokowiska oraz chodził na takie same kibicowskie ustawki, ale w pogoni za

eprasa.pl 944c8c46b0



FOT. MARCIN OBARA/PAP

akceptacją salonu zagonił się w do dziś mu wypominane „polskość to nienormalność" w ankiecie dla „Znaku" czy cokolwiek żenujące mądrzenie się na temat malarstwa, muzyki i literatury w książce o samym sobie.

SPÓR O DYSTRYBUCJĘ SZACUNKU

To sprawa kluczowa, ponieważ rozrywający Polskę wewnętrzny konflikt, potocznie ujmowany jako „wojna politycznych plemion", to w istocie konflikt klasowy, a mówiąc ściśle – klasistowski, mający swe korzenie w fakcie, że, w przeciwieństwie do Zachodu, nie „przerobiliśmy" w polskiej historii wojny chłopskiej ani rewolucji, które tam nauczyły „lud" szacunku dla samego siebie, a szlachtę i burżuazję – „moresu" wobec ludu. Mentalnie więc wciąż tkwimy we wzorcach Polski dworów i chałup, inteligenckiej elity i ciemnego ludu, które nałożyły się na wywołany niesprawiedliwościami „transformacji ustrojowej" podział na „ustawionych" i „oszukanych". A jednocześnie te tkwiące w umysłach stereotypy „pana" i „fornala" straciły po wojnie i okupacji sowieckiej realne podstawy: dawne elity praktycznie wyginęły, na nowych zaś ciąży grzech pierworodny pochodzenia z nominacji zaborcy. To sprawia, że znowu, podobnie jak w polityce dwudziestolecia międzywojennego, tak jak opisał ją Melchior Wańkowicz w sławnym „Kundlizmie", głównym przedmiotem zajadłego sporu jest dystrybucja szacunku, to, kto ma kogo słuchać i kto przed kim zdejmować czapkę. Przy czym, jak mówił o tym prof. Jarosław Flis i co zaświadczają kolejne badania socjologów z Uniwersytetu Warszawskiego, to nie aspirujący „lud", ale „wielkomiejski, wykształcony patrycjat najsilniej nakręca spiralę nienawiści i demonizuje przeciwników".

Emocje wynikające z awansu społecznego, z aspiracji i z potępienia dla aspirujących przysłoniły wszystko inne, kwestię „jaka Polska" odłożyła nasza polityka na czas po rozstrzygnięciu kluczowego „czyja Polska". A jedynym dotychczas sposobem przekraczania przez postaci publiczne społecznego podziału była dotąd „liber chamorum", czyli przejście na stronę „ustawionych" poprzez z jednej strony kooptację, z drugiej – mimikrę. Karol Nawrocki jest pierwszym, który, choć niewątpliwie mu się powiodło wspiąć spomiędzy prostych ludzi na wyżyny, nie uległ owemu charakterystycznemu dla naszych elit „puszeniu się", jak je nazwał Witkacy, nie ma w sobie nic ani z geremkowej przemądrzałości dawnego „salonu" Adama Michnika, ani z nowobogackiej pogardy cwaniackiej formacji Donalda Tuska.

Ważnym elementem tej historii, którą uosabia w oczach Polaka Karol Nawrocki, jest jego żona. „Pierwsza dama" jest zawsze postacią ważną dla wizerunku prezydenta, może mu bardzo pomóc, jak w wypadku Aleksandra Kwaśniewskiego, albo bardzo zaszkodzić, jak to było z Bronisławem Komorowskim. Ale znaczenie Marty Nawrockiej dla wizerunku wykracza poza tę podstawową rolę prezydenckiej żony, która ma być ładna, zadbana, aktywna w działalności społecznej i godnie reprezentować Polskę na tle innych pierwszych małżonek.

Dopiero razem stanowią bowiem Nawroccy tę opowieść, która ma wszelkie znamiona pięknej bajki, na dodatek w stu procentach prawdziwej. Gdyby główne media w Polsce, także te „lajfstajlowe", nie były tubą tej wspomnianej wyżej nowobogackiej pogardy, bajka ta opowiadana by była na dziesiątki sposobów na ekranach i okładkach kolorowych pism. Dziewczyna z blokowiska, taka jak tysiące innych, „wpadła" jako nastolatka z kimś, nieważne z kim, kto szybko z tej historii znika. Jest wierząca, więc podejmuje heroiczny wybór: nie zabija dziecka, wychowuje je. I los ją za to nagradza, znajduje tego właściwego chłopaka, który kocha ją i przyjmuje jej syna jak własnego. Pobierają się, mają kolejne dzieci, on, żeby zarobić na studia, pracuje jako ochroniarz w hotelu, kończy też studia, broni doktoratu, robi karierę naukową, w końcu zostaje prezesem IPN; ona też zdobywa wykształcenie, awansuje do stopnia specjalistki w Krajowej Administracji Skarbowej. W końcu zostają pierwszą parą.

WIELKA KOMPROMITACJA

Polityczna nienawiść sprawiła, że historię tę opowiedziano i nadal opowiada się Polakom na opak, starając się wszystko opaskudzić i odwrócić znaczenia – ale mimo to, między wierszami, dociera do odbiorców jej prawdziwa wersja. Media „obozu demokratycznego" najpierw próbowały zohydzić Karola Nawrockiego oskarżeniem, że zrobił dziecko nieletniej. Gdy uświadomiły sobie, że przestrzeliły, rozpętały akcję „kawalerka" opartą wyłącznie na zeznaniach skazanej za oszustwo Anny Kanigowskiej (obecnie wyrok jest już prawomocny, a ona sama została osadzona w więzieniu). Każdy dziennikarz i każde medium dbające choćby o pozory rzetelności musieliby uznać, że zeznania skazanej oszustki, z natury sprawy potrzebującej w swych kłopotach życzliwości władzy, należy traktować ostrożnie. W tym wypadku tak nie było.

Co więcej, na jeszcze słabszych podstawach, właściwie tylko na luźnym

eprasa.pl 944c8c46b0

skojarzeniu, że w hotelu bywają prostytutki, zmontowano oszczerstwo o „sutenerze" (do dziś ta obelga, wymiennie z „alfonsem", króluje w przemyśle nienawiści wobec prezydenta, prowadzonym przez zaplecze Tuska). Oskarżenie urągało zdrowemu rozsądkowi – człowiek, który w czasie studiów wkręcił się w sutenerski biznes, co przecież wiąże się z dużymi i łatwymi pieniędzmi, wraz ze studiami kończy też przestępczą działalność na rzecz kariery naukowej, mimo braku jakiejkolwiek wpadki (bo w zainteresowaniu odpowiednich wydziałów policji nazwisko przyszłego prezydenta nie znalazło się ani razu), by przejść na pensyjkę muzealnika? Doprawdy, trudno wymyślić coś głupszego. Ale uporczywie starano się tę absurdalną opowieść uprawdopodobnić – bokser Dariusz Michalczewski opowiedział w wywiadzie dla Kanału Zero, jak jego środowisko, łatwe do medialnego połączenia z gangsterką, penetrowane było przez „emisariuszy" władzy w poszukiwaniu kogoś, kto by się pod nią podpisał, i że jego samego także nagabywano do opowiedzenia mediom czegoś o rzekomych związkach Nawrockiego z przestępcami. Skądinąd wiadomo, że podobnie szukano intensywnie prostytutki gotowej opowiedzieć, że była przez Nawrockiego doprowadzana do klienta. Wszystkie odmówiły. To niezwykle charakterystyczne dla naszych czasów, że pogardzane i określane wulgarnym słowem na „k" kobiety okazały się bardziej moralne od redaktora naczelnego wpływowego, opiniotwórczego portalu i jego „dziennikarzy śledczych".

Ostatecznie Donald Tusk poszedł do Polsatu uzbrojony jedynie w zeznanie „frikfajtera" Jacka Murańskiego, a i to asekuranckie (Murański twierdził jedynie, że słyszał o „hakach" na Nawrockiego od „Wielkiego Bu", gangstera, wobec którego trwa proces ekstradycyjny z Holandii). Efektem była wielka kompromitacja, która być może przyczyniła się do tego, że w drugiej turze na Karola Nawrockiego, kandydata prawicy, oddało głos 400 tys. wyborców, którzy w pierwszej turze poparli kandydatów lewicowych. Rozmiar nikczemności, do jakiej spanikowany obóz rządzący posunął się w kampanii, i pozytywna opowieść o prezydenckiej parze, którą tą nikczemnością usiłowano wywrócić na nice, wciąż pozostają obecne w świadomości, przesączając się do kolejnych zaczadzonych propagandą umysłów i przyczyniając do ich trzeźwienia.

Polityczna nienawiść sprawiła, że historię o pierwszej parze opowiedziano i nadal opowiada się Polakom na opak, starając się wszystko opaskudzić i odwrócić znaczenia – ale mimo to, między wierszami, dociera do odbiorców jej prawdziwa wersja

Na pewno do takiego wyniku przyczyniło się oparcie całej kampanii przeciwko Nawrockiemu na wytykaniu mu, że pochodzi ze społecznych nizin, i – wprost tego tak nie formułowano, ale taki był sens – nie wstydzi się tego, nie odcina od „kibolstwa", nie stara się naśladować progresywno-liberalnych trendsetterów. To dyskurs, zbudowany jeszcze w latach 90.: z jednej strony zawstydzanie wrogów „elit" wskazywaniem „słoma ci z butów wychodzi", z drugiej – nieustanne oburzenie tychże elit, że „co ta hołota wyprawia", nie szanuje lepszych od siebie, nienawidzi uchodźców, Żydów, w ogóle „wstyd przed światem". Przez wiele lat to działało, prosty Polak chciał być taki, jak pokazywane mu jako wzór elity, i wstydził się, że jeszcze nie jest. Ale kompleksy, na których oparła swój „rząd dusz" liberalna lewica, wygasają, a wraz nimi polityczna skuteczność moralnego i estetycznego pouczania przez salony.

POWTÓRKA Z MORALNEGO ROZGĘGANIA ELIT

Mimo to, może z braku innych pomysłów, Tusk, który postanowił nienawiść wobec Nawrockiego rozegrać jako swój główny atut, wciąż po ten dyskurs sięga – np. sugerując prezydentowi, że to przez niego, a nie przez bezczelne zachowanie prezydenta Ukrainy „Polska brunatnieje" i dochodzi do incydentów agresji słownej czy nawet fizycznej wobec przybyszów ze Wschodu. To powtórka z moralnego rozgęgania elit w czasach, gdy PiS budował płot na granicy przeciwko „biednym ludziom, szukającym swojego miejsca na świecie". Wtedy Tusk z dnia na dzień pozostawił moralizatorów od Agnieszki Holland i Janiny Ochojskiej na lodzie, zmieniając zdanie diametralnie, i zapewne tak samo zrobi teraz, ale na razie wzmacnia tę właśnie narrację, którą niechcący „obóz demokratyczny" sam Nawrockiego zbudował.

W odbiorze społecznym nie jest to bynajmniej narracja „Nawrocki stwarza atmosferę nienawiści", bo w to nie wierzą sami propagandyści, którzy tę kolejną powtórkę z „dusznej atmosfery rządów PiS" kultywują. Jest to narracja: prezydent to facet, który nie ma wobec „nich" kompleksów i potrafi powiedzieć zdroworozsądkowo to, co wszyscy uważają, nie oglądając się na ichnie poprawności. Nie przypadkiem symboliczny gest asertywności wobec Wołodymyra Zełenskiego, bardzo przecież wyważony, ale jaskrawo kontrastujący z dotychczasowym tchórzliwym nadstawianiem Ukrainie coraz to kolejnych policzków, zaowocował skokowym poparciem dla prezydenta. Z tej samej przyczyny nieskuteczna okazuje się strategia nieustającego atakowania prezydenta, w której pokładał Tusk wszystkie nadzieje. Problem, jaki premier ma z prezydentem, polega na tym, że ten drugi, jak na boksera przystało, zdaje się nie mieć nerwów. Nie reaguje na twitterowe zaczepki Tuska, a wetując konkretnie i zdroworozsądkowo, wyjaśnia, co w przysłanych mu ustawach jest nie do przyjęcia, często przedstawiając od razu własny, poprawiony projekt. W dłuższej perspektywie buduje to obraz człowieka silnego, a siła budzi zaufanie.

W sytuacji, gdy coraz wyraźniej kruszy się dotychczasowe poczucie bezpieczeństwa Polaków, gdy sytuacja międzynarodowa napawa coraz większą niepewnością, a jedynym zauważalnym skutkiem „przywracania praworządności" przez Tuska jest coraz bardziej narastający chaos, opinia polityka, który, by wrócić do cytowanej „sąsiadki", i, jako doktor, wie, co robić, i, jako człowiek silny, w razie czego, będzie umiał to przeforsować, znaczy coraz więcej i coraz lepiej wróży na przyszłość. W końcu przed Karolem Nawrockim jeszcze dziewięć lat, a co najmniej cztery lata prezydentury.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 944c8c46b0



Wywiad bez sparingu

Wojciech Golonka

To, co z wywiadu z Karolem Nawrockim wybrzmiewa najbardziej, to rzadko spotykane u polityków otwartość i autentyzm. Trudno jednak nie odnieść wrażenia, że książka powstała dla osób oczekujących bardziej patynowania jego wizerunku niż poddania go serii wymagających pytań

FOT. PIOTR POLAK/PAP

Wywiad biograficzny „Skąd się wziął Karol Nawrocki", przeprowadzony z prezydentem RP przez prof. Andrzeja Nowaka, ukazał się w tym samym czasie co wyniki bardzo korzystnego dla Karola Nawrockiego sondażu, w którym, na tle osób publicznych, cieszy się on rekordowym zaufaniem Polaków w wysokości przeszło 55 proc. Ta koincydencja nie jest tylko chronologiczna – to, co z wywiadu z Karolem Nawrockim wybrzmiewa bowiem najbardziej, to stosunkowo rzadko spotykane u polityków otwartość i autentyzm, stanowiące podstawy budowania zaufania, niezależnie zresztą od zachodzących między ludźmi różnic światopoglądu czy afiliacji politycznych. Ten wydźwięk wywiadu, w którym obecna głowa państwa okazuje się zwykłym człowiekiem z krwi i kości, naznaczonym trudami i wyzwaniami życiowymi, które nie są obce szeregowym Polakom, jest moim zdaniem największą zaletą tej obszernej rozmowy, zresztą niejedyną. Nie oznacza to jednak, że sama książka wolna jest od wad, w tym poważniejszych.

Z punktu widzenia czytelnika z zacięciem ideowym naprawdę straconą okazją wydaje się fakt, że wywiad prof. Nowaka nie wydobywa i nie pogłębia zasad i perspektyw, z którymi Karol Nawrocki objął urząd prezydencki. Postaram się ten wątek rozwinąć za chwilę, natomiast trudno nie odnieść w ogóle wrażenia, że książka, która natychmiast stała się wakacyjnym bestsellerem, zważywszy na popularność samego prezydenta, powstała w zasadniczej mierze dla osób mocno – by nie powiedzieć: ślepo – przekonanych do Karola Nawrockiego, być może oczekujących nawet bardziej patynowania jego wizerunku niż poddania go serii wymagających pytań na temat roli prezydenta, dobra wspólnego, głównych pryncypiów cywilizacyjnych (których stał się siłą rzeczy strażnikiem) czy realiów polskiej polityki partyjnej, znacznie bardziej złożonych, niż wynika to z dualistycznego sporu PiS-PO (który zdaje się mechanizmem napędzającym dynamikę tej książki). W każdym razie autor wywiadu – znakomity historyk – nie tylko zasadniczo nie polemizuje ze swym rozmówcą, co może być zrozumiałe, choć niekoniecznie twórcze dla końcowego efektu, lecz także – takie miałem odczucie

eprasa.pl 944c8c46b0

– dopasowuje Karola Nawrockiego do pewnej własnej, już nieco pomnikowej wizji jego osoby, tak jakby ten „obywatelski" kandydat nie wymagał choć trochę „obywatelskiego" osądu. Na szczęście to sam wspomniany już autentyzm Nawrockiego i pewna naturalna prostota jego wypowiedzi w dużej mierze wymykają się zero-jedynkowej klasyfikacji, pozostawiając czytelnikowi sposobność dość indywidualnych i w sumie niebagatelnych wniosków z tej lektury.

DRAŻNIĄCA PRÓBA

Zaczynając jednak od początku, a nawet od „zewnątrz": książka wywiad „Skąd się wziął Karol Nawrocki", atrakcyjnie wydana nakładem Białego Kruka, liczy 376 stron w dużym formacie, z wieloma ilustracjami, choć trzeba zaznaczyć, że część książki właściwa dla podtytułu o nazwie: „Rozmowy z Prezydentem RP" liczy w rzeczywistości, razem ze wstępem prof. Nowaka, jedynie 263 strony. Reszta to przedruki dwóch innych wywiadów prof. Nowaka, dokonanych aż 26 i 17 lat temu, tj. jego rozmów z Anną Walentynowicz i Lechem Kaczyńskim, które ukazały się ongiś na łamach czasopisma „Arcana", odpowiednio w 2000 r. i 2010 r. Wpisując się w raczej irytujący trend wydawniczy poszerzania jakby na siłę druków o rozmaite aneksy i dodatki – w tym wypadku chodzi wprawdzie o materiały interesujące same w sobie, choć zasadniczo bez związku z głównym tematem – rozbudowa książki o te dodatkowe 30 proc. objętości rodzi oczywiste pytanie o cel tego zabiegu. Nie tyle jednak warto doszukiwać się odpowiedzi na to pytanie, ile wskazać, jaki efekt, wrażenie wydobywa się tym samym z całości wraz z ewidentną insynuacją, że Karol Nawrocki to swego rodzaju nieco dalszy pokoleniowo, ale wciąż owoc gdańskiej Solidarności, strażnik jej spuścizny oraz kontynuacja prezydentury Lecha Kaczyńskiego, mitycznie urastającej dla środowiska PiS do rangi niedoścignionego wzoru w III Rzeczypospolitej. (Ta kolosalna emfaza położona na osobę Lecha Kaczyńskiego skądinąd jeszcze bardziej marginalizuje stosunkowo rzadkie w tej książce odwołania do prezydentury Andrzeja Dudy, czyniąc przez stworzony kontrast jego 10 lat pobytu w Belwederze czymś nieznaczącym).

Ten efekt wpisywania na siłę Karola Nawrockiego, urodzonego bądź co bądź dopiero w 1983 r., w fenomen Solidarności z lat 70. jest najbardziej odczuwalny w pierwszej części książki. W moim odbiorze czytelnika – a jestem akurat z pokolenia pana prezydenta – próba ta jest drażniąca, choć jednocześnie swą przesadą popadającą w komizm paradoksalnie ułatwia lekturę tej ściśle biograficznej części wywiadu z Karolem Nawrockim, pozbawionej dynamiki właściwej konfrontacji politycznej, która pojawia się na dobre dopiero wraz z objęciem przez niego funkcji dyrektora Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Ta mniej wartka część wywiadu jest jednak najcenniejsza, jeśli chodzi o wydobycie elementów naprawdę ciekawego portretu psychologicznego Karola Nawrockiego, byle nie zatrzymywać się tak po prostu na jego czasem lakonicznych odpowiedziach, byle czytać przedstawiane fakty z właściwym zrozumieniem ich znaczenia, czasem niedomówionego. Aby ten temat nie umknął, podam od razu bodajże najmocniejszy przykład: Karol Nawrocki wielokrotnie, bez retuszu, podkreśla w wywiadzie swą relację z ojcem, jej pozytywy, ale i ograniczenia, oraz kilkukrotnie zaznacza możliwe „zniknięcia" ojca z domu na długo, jakby nieoczekiwane, za chlebem na utrzymanie rodziny, nie zamykając jednak pola do spekulacji nad pewną niestabilnością osobowości ojca czy problemów rodzinnych.

OTWARTOŚĆ PREZYDENTA

Otóż taka otwartość właśnie punktuje autentyzmem, Karol Nawrocki nie tyle rozbudza wyobraźnię czytelnika do zbyt bujnej egzegezy, ile daje na wielu kartach tego wywiadu jasno i bez ukrycia do zrozumienia, z jak trudną dla nastolatka (a być może już i dziecka) rzeczywistością musiał się mierzyć, dzięki czemu stał się tym, kim się stał – choć tego nie mówi, ale to po prostu z tego wynika: człowiekiem odpowiedzialnym za powierzonych mu ludzi, zadania oraz zahartowanym wobec przeciwności losu. Nie zamierzam tego rozwijać w formie panegiryku, ale podkreślę: największą zaletą tego wywiadu jest wiarygodne wydobycie prawdy o przedwczesnej dojrzałości Karola Nawrockiego na drabinie trudnych obowiązków życiowych oraz pogłębionego hartu ducha w twardych realiach świata, gdzie naprawdę „life is brutal...". Otóż nastoletni Karol Nawrocki, pracujący jako ochroniarz dryblas, by utrzymać siebie i bliskich, podejmujący (i kończący z sukcesem!) wymagające studia dzienne przy jednoczesnej nieustannej pracy nocnej – to musi rodzić sympatię u ludzi, którym nie dano w życiu wszystkiego na tacy, tj. u większości Polaków.

Warto tu dodać, że tekst wywiadu nie został, najwyraźniej, poddany wyczuwalnym próbom retuszu ani nie jest wolny od fragmentów, które uważny PR-owiec wygładziłby lub nawet wyciszyłby we wtórnej redakcji. Zadufani w sobie inteligenci, „Warszawka", „salon" – wszyscy oni mogą dusić się do woli z pogardy z powodu rekordowego zaufania Polaków do Nawrockiego, nie zmieni to faktu, że to Nawrocki, będąc sobą, mimo swych ograniczeń dociera do swych krajan bardziej niż oni.

Karol Nawrocki, pracujący jako ochroniarz, by utrzymać siebie i bliskich, podejmujący wymagające studia dzienne przy jednoczesnej nieustannej pracy nocnej – to musi rodzić sympatię u ludzi, którym nie dano w życiu wszystkiego na tacy

Ta swego rodzaju prostoduszność prezydenta, który, choć zdolny do dyplomacji, raczej nie cierpi na pokrętność i fikołki wypowiedzi właściwe zawodowym politykom, okazała się moim zdaniem nie w pełni wykorzystaną szansą wywiadu prof. Nowaka. Przy tej złotej okazji historyk idei przemieliłby (choć uprzejmie) umysł swego rozmówcy na okoliczność jego poglądów i ich genezy, bo akurat to pozostaje najistotniejszym i najważniejszym elementem pytania: „Skąd się wziął Karol Nawrocki?". Tak się bowiem składa, że został on prezydentem wszystkich Polaków w nieco nietypowej konfiguracji polityki zarówno krajowej, jak i światowej. Tymczasem wybitny historyk dziejów z pewną tendencją do

eprasa.pl 944c8c46b0



ANDRZEJ NOWAK „SKĄD SIĘ WZIĄŁ KAROL NAWROCKI"
BIAŁY KRUK
2026

patynowania pomników akurat właśnie za bardzo poświęca uwagę w tej rozmowie samym pomnikom – i tym materialnym, i tym ludzkim – z którymi Karol Nawrocki mógł mieć kiedykolwiek jakąkolwiek styczność. W konsekwencji tego podejścia dowiadujemy się np., że w trakcie kampanii Karol Nawrocki był w stanie wygłosić bez kartki ponaddwugodzinne przemówienie na konwencji wyborczej, ale nic z tego przemówienia nie jest w ogóle przytoczone. Ba, i to jest w sumie już mocno zastanawiające: w wywiadzie ani razu nie pada samo hasło zwycięskiej kampanii Karola Nawrockiego: „Po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy". Bynajmniej nie sugeruję przez to, że hasło to stało się Nawrockiemu obce wraz z objęciem urzędu prezydenckiego, natomiast autor wywiadu ewidentnie w ogóle nie wycisnął ze swego rozmówcy warstwy metapolitycznej, spłycając tym samym, i to dość mocno, jego portret. Oto kilka przykładów tego zaniechania pogłębiania rzeczywistości, również tej stricte politycznej.

Karol Nawrocki kilkakrotnie wymienia książki, które w jakiś sposób ukształtowały jego myślenie lub przynajmniej na nie wpłynęły. Najczęściej wymienia twórczość Waldemara Łysiaka, którego odznaczył zresztą Orderem Orła Białego, dwa razy wymienia „Reglamentowaną rewolucję" Antoniego Dudka, wspomina także dzieła Pawła Jasienicy. Ma się rozumieć, rozmówca prof. Nowaka czasem – jak w przypadku Łysiaka – objaśnia, w jakich aspektach cenił te dzieła, ale tu akurat, przy dość szeroko otwartej już furtce do świata idei, autor wywiadu wolał od razu przejść… do pasji sportu u Karola Nawrockiego. Czy się bezpodstawnie czepiam? Kiedy ktoś pokroju Karola Nawrockiego mówi komuś pokroju prof. Nowaka, że Jasienica miał na niego ogromny wpływ, to od razu powinna się tu wywiązać dyskusja – niezainicjonowana przez prof. Nowaka – czy w takim razie Nawrockiemu bliżej do mitycznego w kręgach PiS idealizowania wielokulturowej i wielonarodowej Rzeczypospolitej Jagiellonów czy może – na co właśnie zwracał uwagę Jasienica w opozycji do tego ideału – do monoetnicznej i jednolitej cywilizacyjnie „Polski Piastów", który to wzorzec odnajdujemy z kolei w endecji Romana Dmowskiego. Podobnie kiedy na pytanie: „Pracował pan zarobkowo przez całe studia?" Karol Nawrocki zaskakująco opowiada w krótkim, a treściwym akapicie o ideowym bakcylu, który połknął na studiach, tj. o pismach św. Augustyna i św. Tomasza z Akwinu oraz Arystotelesa, mówiąc nawet, że obcowanie z tymi autorami było dla niego autentyczną radością, to autor wywiadu ponownie nie korzysta z tej otwartej bramy… tylko chce się upewnić kolejnym pytaniem, że na studiach Karol Nawrocki interesował się jednak najnowszą historią!

Jedynym wyjątkiem w tym naprawdę rażącym braku dyskusji metapolitycznych jest kwestia sojuszu euroatlantyckiego, a raczej naszego bezpieczeństwa opartego na sojuszu Polski z USA, którą to kwestię prof. Nowak porusza przy okazji pierwszej wizyty Karola Nawrockiego w Białym Domu, jeszcze w trakcie kampanii wyborczej (co było akurat świetnym ruchem PR-owskim). Tyle że wybrzmiewa przy tej okazji jednogłos obu rozmówców, myślących tu wręcz dogmatycznie, co uniemożliwia im obu zmierzyć się z oczywistymi faktami, choćby po to, by z nimi polemizować lub przynajmniej zniuansować swą zero-jedynkową wizję pro- lub antyamerykanizmu (skądinąd wizję obcą samym amerykańskim konserwatystom ochoczo poddającym krytyce międzynarodowe poczynania własnego państwa – czy oni też są rzekomo „antyamerykańscy"?!). Otóż te pomijane fakty nie są błahe i są do bólu aktualne. Wymieńmy tylko dwa z nich: ogłoszony przez Biały Dom plan cesji odpowiedzialności za obronność Europy na Niemcy (a nie na żadną wschodnią flankę NATO); brak skutecznego zapewnienia bezpieczeństwa swym strategicznym partnerom na Bliskim Wschodzie podczas amerykańsko-izraelskiej awantury z Iranem (której być może czeka nas druga runda) – a wręcz przeciwnie, wciągnięcie ich do cudzej wojny.

ANI SŁOWA O BRAUNIE

Poruszę ostatnią, moim zdaniem istotną, wadę tego wywiadu, przeinaczającą rzeczywistość pozytywnie zaskakującego fenomenu politycznego Karola Nawrockiego. Całe zwycięstwo Karola Nawrockiego nad Rafałem Trzaskowskim jest przedstawione, jakby dokonało się ono już w pierwszej turze, bez całego napięcia pomiędzy obiema turami w kwestii przepływów elektoratu prawicowych kandydatów Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna, których nazwisk próżno szukać na łamach tej książki, a bez poparcia których – Mentzen zrobił to pośrednio przez „deklarację toruńską" podpisaną przez Nawrockiego, Braun bezpośrednio deklarując, na kogo i dlaczego zagłosuje – tej prezydentury najprawdopodobniej by nie było.

Otóż jako prezydent RP Karol Nawrocki w ogóle nie zachowuje się tak, jakby tych elektoratów nie było, przejawia publiczne kontakty z przedstawicielami przynajmniej jednej z tych dwóch Konfederacji, a przede wszystkim ma świadomość, że bez jego osobistego wkładu niwelującego partyjne bruzdy być może w ogóle nie dojdzie w przyszłości, przynajmniej za jego kadencji, do sfederowania w Polsce prawicowego rządu. Dlaczego zatem tej trudnej i wymagającej rzeczywistości politycznej, która ewidentnie zachodzi w Polsce od czasu utracenia przez PiS samodzielnej władzy, nie poświęcić choć minimum uwagi, tym bardziej w kontekście oczywistych realiów bynajmniej niesamodzielnego pokonania Rafała Trzaskowskiego w wyścigu wyborczym? Jedyna sensowna odpowiedź, która przychodzi mi na myśl, to właśnie przypuszczenie, że chodziło o wywiad pod wybraną publikę, z silnym stosunkiem emocjonalnym do osób Anny Walentynowicz czy Lecha Kaczyńskiego, z troską o niewzbudzanie wśród tej publiki czy to niepokojów, czy to heterodoksyjnych względem partii matki zainteresowań.

Czytelnikom, którzy nie bez korzyści sięgną po tę książkę, pozostawiam weryfikację, czy to „pomnikowanie" okrajanej z mniej wygodnych faktów rzeczywistości zachodzi w wywiadzie prof. Nowaka. Doceniając obiektywne autobiograficzne zalety tej pracy, z mej strony dzielę się odczuwanym niedosytem i irytacjami – bo niewykorzystanie złotych okazji do umysłowego poboksowania się w rozmowie z zawodnikiem tej rangi irytację budzić musi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 944c8c46b0



FOT. SZYMON PULCYN/PAP

Krajobraz po rozłamie



Piotr Semka

Były premier jest z jednej strony w sytuacji kogoś, kto ma ugrupowanie mające spory potencjał, ale z drugiej – o tym, czy jego fronda będzie miała dostatecznie dużo wyborców, by dać mu silną pozycję negocjacyjną, przekonamy się dopiero późnią jesienią, gdy ostatecznie będzie można ocenić sondaże z ostatnich paru poprzedzających ją miesięcy

Na moim dziecięcym placu zabaw krzyczało się kiedyś: „Pobite gary!". To dawne powiedzenie podwórkowe oznaczało koniec zabawy, a jednocześnie swoisty protest z powodu łamania zasad w trakcie zabawy w chowanego lub w berka.

W wypadku sporu o przyczyny odejścia grupy Mateusza Morawieckiego z Prawa i Sprawiedliwości obie strony konfliktu krzyczały: „Pobite gary!". I obie od dawna były przygotowane mentalnie na rozejście się. Oczywiście nie wszyscy, ale po obu stronach byli zagończycy, którzy stali na stanowisku, że lepiej się rozejść, niż wzajemnie się kłócić. I była też duża grupa, która do tego rozejścia próbowała nie dopuścić. Z jednej strony sam Morawiecki równolegle do swoich, przyznajmy, sporych ambicji wolał raczej zostać w partii i czekać na sukcesję po Jarosławie Kaczyńskim, niż iść na swoje. Ale z drugiej strony byli też wśród jego „harcerzy" ci, którzy od dawna argumentowali, że trzeba zacząć jakiś nowy rozdział na własny rachunek. A w wypadku PiS frakcja „maślarzy", na czele z Jackiem Sasinem, Patrykiem Jakim i Tobiaszem Bocheńskim, od paru lat reagowała na Morawieckiego – delikatnie mówiąc – bardzo źle. Ale byli też tacy politycy jak Beata Szydło, Adam Bielan, Jarosław Sellin, Radosław Fogiel, Małgorzata Wassermann czy Stanisław Karczewski, którzy do końca wskazywali, że podział największej partii opozycji to coś, czego trzeba uniknąć za wszelką cenę.

Sam Jarosław Kaczyński w pewnych momentach sprawiał wrażenie człowieka, który chce, żeby Morawiecki nie odchodził, a jednocześnie coś, o czym pewnie dowiemy się po latach, skłoniło go, aby poprzeć podsunięty przez „maślarzy" projekt likwidacji wszystkich stowarzyszeń, który de facto oznaczał zderzenie czołowe z morawiecczykami. Teraz, gdy już „gary są pobite", obie strony kreują się na ofiary, a tych drugich wskazują jako winnych podziału.

Trzeba przyznać, że sprawniejsi medialnie w tej grze byli ludzie Morawieckiego, którzy – jak się zdaje – byli do tego

eprasa.pl 944c8c46b0

dobrze przygotowani zawczasu. To oni wylansowali bądź co bądź zdarzającą się w życiu partii politycznych deklarację dyscyplinującą – chwytliwą nazwę „lojalka", która od razu ubrała ich w kostium ofiar prześladowań. Sam Morawiecki z patosem nawet w samym szczycie sporu poskarżył się: „Nie chcę podpisywać lojalki. Proszono mnie już o to w latach 80.". Na tym tle sztywna deklaracja na portalu X Kaczyńskiego, że do końca podejmował próby porozumienia, była mocno spóźniona i mało efektowna. Niestety, Mateusz Morawiecki ewidentnie miał w głowie swój własny plan polityczny realizowany na bazie rozłamu PiS. Ludziom Morawieckiego pomogły też zbyt jaskrawe ataki przeciwników na ich lidera. Swoistym przykładem takich strzałów kulą w płot było wypominanie przez Jacka Sasina byłemu premierowi, że był w czasie katastrofy smoleńskiej doradcą Donalda Tuska. Internauci natychmiast przypomnieli wypowiedź Sasina, gdy jako minister aktywów państwowych i podwładny Morawieckiego przekonywał, że mówienie o jego ówczesnym szefie jako doradcy Tuska to nieporozumienie. Ale ponieważ duża część mediów po cichu wspierała Morawieckiego, znacznie mniej uwagi poświęcano np. atakom ze strony „harcerzy". Oto w czasie kryzysu europoseł Piotr Müller wskazywał w trakcie wizyty w Polsat News na Patryka Jakiego jako człowieka, który postuluje wyjście Polski z Unii Europejskiej, powołując się przy tym na trudne do zweryfikowania wewnętrzne dyskusje w partii.

Ale traktując problem szerzej, swoisty „weekend" oskarżeń ukazał w nienajlepszym świetle część politycznej młodzieży z obu stron tego sporu. Jak np. nazwać sytuację, w której formalny wiceprezes PiS Tobiasz Bocheński, wymieniany niekiedy jako kandydat na premiera, a wcześniej na prezydenta, nie może powstrzymać się przed napisaniem na X złośliwego tweetu „Zdradzeusz", który jest przytykiem do imienia Morawieckiego? No ale to wszystko już przeszłość. Gdy przy pisaniu tekstu wykonałem przynajmniej z 30 telefonów do przedstawicieli obu stron, to po ogłoszeniu powstania klubu poselskiego Rozwój Plus i jedni, i drudzy dawali wyraz przeżywaniu tego, co bardzo często przeżywają rozwiedzeni małżonkowie po rozstaniu. Mieszanka zaskoczenia, że coś się nagle skończyło (choć niekiedy możliwość tego była przyjmowana do wiadomości od dawna), z jednoczesnym niepokojem, jak wyglądać będzie nowa egzystencja osobno.

„HARCERZE" I ICH NOWA WYPRAWA

Jaka jest zatem pozycja obu obozów po „trzaśnięciu drzwiami"? W pierwszym sondażu uwzględniającym osobny start grupy Morawieckiego, wykonanym przez United Surveys by IBRiS dla Wirtualnej Polski, Rozwój Plus zdobył 7,5 proc. Ważnym jednak elementem oceny tego badania jest to, że aż 80 proc. respondowanych, którzy chcieli poprzeć nowe ugrupowanie, to wyborcy PiS, a tylko 20 proc. ci, którzy popierali dotąd Konfederację Sławomira Mentzena. To zła wiadomość dla PiS, ale też sygnał dla Morawieckiego, że wszelkie kroki w kierunku PSL czy Polski 2050 mogą być bardzo źle przyjmowane przez dotychczasowych wyborców Kaczyńskiego. Morawiecki wydaje się to dobrze rozumieć, gdyż na dodatek musi się on liczyć z opiniami zarzucającymi mu, że jego secesja z PiS to dywersja na rzecz Tuska.

Ale, co ciekawe, Konfederacja zaczęła zachowywać się tak, jakby obawiała się przejścia swoich wyborców pod nowe sztandary. Konfiarze natychmiast umieścili w sieci film pod hasłem: „Nie daj się zwieść! »Rozwój Plus« to w praktyce kolejna odsłona PiS". Filmik przekonuje, że jeżeli widz chce odsunąć Donalda Tuska od władzy, to potrzebuje konsekwentnej i ideowej prawicy. Notabene w całym okresie kryzysu rozwodowego liderzy Konfederacji też wykazali się stylem złośliwego nastolatka szydzącego ze sporów rozwodowych obu rodziców. Krzysztof Bosak tonem mentora pouczał obie strony sporu: „Jeśli się macie rozejść, to się rozejdźcie. Przedłużanie tego spektaklu nie tylko przyprawia o ciarki żenady, ale [...] ośmiesza w oczach społeczeństwa, szczególnie jego młodszej części, cokolwiek nazywanego »prawicą«". Z kolei Sławomir Mentzen szyderczo radził PiS, by zamiast spierać się, kto ma być przyszłym premierem, wybrali sobie likwidatora partii. Konfederacja bierze zatem pod uwagę, że ludzie Morawieckiego mogą być dla niej konkurentem łowiącym w tych samych obszarach. Rozwój Plus staje więc teraz przed tymi samymi problemami, przed którymi stawali niegdyś inni liderzy nowych formacji. Początki są zawsze atrakcyjne: ogromne zainteresowanie mediów, obiecujące sondaże, analizy zaciekawionych politologów. Zawsze słyszymy przy takich okazjach, że „lider rusza w objazd po Polsce", a jego akolici zaklinają się, iż nowe ugrupowanie spotyka się z ogromnym zainteresowaniem w terenie. Potem jednak przychodzą realia kolejnych miesięcy, które ustalają realny poziom wsparcia sondażowego.

Morawiecki swoim życiorysem bardzo przeczy ustalonym liniom podziału. Dotąd po prawej stronie znajdowali się politycy, którzy widzieli w nim piątą kolumnę Tuska, a w razie jakiegoś kursu w kierunku koalicji 13 grudnia zawsze znajdą się ludzie, którzy będą wypominać mu okres jego premierowania

Wydaje się więc, że Morawiecki podejmując decyzję o odejściu, wybrał raczej ucieczkę do przodu i ryzyko zamiast pozostanie w partii za cenę jakichś koncesji, np. rozwiązania stowarzyszenia. Mógł uznać, że albo sondaże pójdą nieco w górę i z wynikiem 10 proc. ma szansę znaleźć się w przyszłym Sejmie, a jeżeli wyniki będą na poziomie 6–7 proc., to zawsze zdąży podjąć jakieś rozmowy z PiS na temat wspólnego startu w wyborach lub wreszcie być może doczeka się jakiegoś patronatu prezydenckiego. Faktem jest, że wybrał ryzyko i pod tym względem dostosował się do grupy młodych wilków, takich jak Marcin Horała, Piotr Müller, Waldemar Buda czy Michał Dworczyk. Ten ostatni zresztą jest jednym z najmniej docenianych polskich polityków, ale idealnie nadaje się na sekretarza przyszłej partii, który będzie w niezmordowany sposób objeżdżać wszystkie regiony i tworzyć lokalne struktury ugrupowania.

eprasa.pl 944c8c46b0

Wiadomo już z grubsza, jak wyglądać będzie kształt klubu Rozwój Plus w Sejmie. Przewodzić będzie mu oczywiście sam Mateusz Morawiecki, a jego zastępcą został Łukasz Schreiber. I teraz przekonamy się, czy Morawiecki oprócz doświadczenia ekonomicznego oraz ośmiu lat premierowania będzie równie zręcznym liderem ugrupowania. Są zresztą w Polsce rejony, w których Rozwój Plus jest bardzo mocny, tak jest w bliskim Michałowi Dworczykowi Wałbrzychu, na Pomorzu, gdzie działają Piotr Müller i Marcin Horała, czy w Poznaniu, gdzie twarzą przyszłej nowej partii jest Szymon Szynkowski vel Sęk. Ale są rejony takie, jak np. Pomorze Zachodnie – tam rozłamowcy nie mają prawie nikogo, a do lokalnych struktur oprócz nowych odkryć pchać się będą rozmaici pieniacze i osobowości toksyczne pousuwane z innych partii. Ktoś dziesiątki takich kwestii spornych będzie musiał rozwiązywać. Czy Mateusz Morawiecki, dotąd przekonany, że swój czas powinien poświęcać na rozgryzanie najważniejszych problemów Europy i świata, będzie miał na to czas?

NA DWORZE JAROSŁAWA WIELKIEGO

A co w PiS? Prezes znów pokazał, że lider jest tylko jeden. Tyle że w odróżnieniu od poprzednich secesji pozycja partii jest inna niż 10 czy 15 lat temu. Wtedy nie było z prawej strony dwóch pewnych siebie Konfederacji. A poprzedni secesjoniści nie odchodzili w tak silnym składzie.

Okazją do zwarcia szeregów miało być wyjazdowe posiedzenie Klubu Parlamentarnego PiS 30 lipca. Gdy piszę te słowa, jeszcze nie wiemy, jak przebiegło, ale zapewne była to okazja do konsolidacji partii i wezwanie do jeszcze solidniejszej pracy.

Jarosław Kaczyński zawsze rządził swoją partią, grając skrzydłami. Skoro przed chwilą jedno ze skrzydeł opuściło jego ugrupowanie, to będzie starał się wytworzyć jakąś alternatywę dla „maślarzy". Już pojawiają się pierwsi kandydaci. Do równoważenia Sasina, Jakiego i Bocheńskiego. Wśród plotek wspomnieć warto o dowartościowaniu przez prezesa Daniela Obajtka jako najbardziej rozpoznawalnej postaci kojarzącej się z pomysłami na ekonomię, z rolą ekonomicznego guru. Innym sprytnym posunięciem Kaczyńskiego było zaproponowanie, by wicemarszałkiem z ramienia PiS został były wiceminister obrony narodowej, 41-latek Marcin Ociepa. Wybierając akurat tego polityka, Kaczyński chce uzyskać dwie zdobycze za jednym razem. Po pierwsze pokazuje, że w partii tzw. młodzi mają znowu szansę na awans, a po drugie w dyskretny sposób rezygnując z kandydatury Elżbiety Witek na wicemarszałka PiS, dając do zrozumienia starszym działaczom, że pora przesunąć się na dalszy plan.

Dość labilną postawę w ostatnim konflikcie zajmował Przemysław Czarnek. Wypowiadał się mało i bardzo ostrożnie. Na pewno nie zrobił nic, aby próbować załagodzić konflikt na linii Kaczyński – Morawiecki. Ale trudno mu się dziwić, że nie pałał jakąś miłością do „harcerzy", skoro ci od dawna po cichu krytykowali bilans jego paromiesięcznego aspirowania do roli przyszłego premiera z ramienia PiS. Czarnek jednak zaskoczył niedawno wszystkich, bardzo ostro reagując, gdy reporter jednej ze stacji prawicowych dość lekceważąco wyraził się o Morawieckim. Kandydat PiS na premiera kwaśno pouczył dziennikarza, by nie używał swobodnej formy „Morawiecki". „Pan premier Morawiecki to był premier przez sześć lat bardzo dobrego rządu w Polsce, więc proszę o trochę kultury" – powiedział Czarnek. Ale cały konflikt wizerunkowo kosztować będzie PiS bardzo dużo. Na dodatek jeżeli sondaże partii spadną w okolice 15–17 proc., to obie Konfederacje zaczną przyjmować wobec PiS wyższościowy ton. Już zresztą Tomasz Sommer z dwutygodnika „Najwyższy Czas!" ogłasza, że teraz wobec podziału PiS karty rozdawać będzie już tylko duet KK, czyli Konfederacja i Korona.

LIBERAŁOWIE W KROPCE

Ale temu nastrojowi samozadowolenia z okolic dworów Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna towarzyszą też mieszane uczucia obozu liberalnego. Tam oprócz radości, że rozłupał się wielki prawicowy dąb PiS-owski, pojawiają się też ciekawe refleksje. Piotr Pacewicz z portalu OKO.press przestrzega koalicję 13 grudnia, że spór wśród czterech już ugrupowań prawicowych będzie przyciągać uwagę wyborców i może skupić zainteresowanie polityką w kierunku prawej strony. Według Pacewicza jest to możliwe zwłaszcza przy marazmie ideowym, który panuje w obozie Tuska. Z kolei na łamach „Gazety Wyborczej" w dużym materiale na temat ludzi Morawieckiego Arkadiusz Gruszczyński załamuje ręce nad, w jego opinii naiwnymi, nadziejami w koalicji 13 grudnia.

W ostatnich dniach słyszałem od wielu osób interesujących się polityką – od dziennikarzy, publicystów, politologów i parlamentarzystów strony liberalnej – powtarzające się zaklęcie: a może Morawiecki przyzna się do błędów, odetnie od zamordystycznej partii i – kiedy przyjdzie czas próby – dołoży swe szable do wielkiego zwycięstwa obozu demokratycznego w 2027 r. Z jednej strony więc Morawiecki jest w sytuacji kogoś, kto ma ugrupowanie mające spory potencjał, ale z drugiej – o tym, czy jego fronda będzie miała dostatecznie dużo wyborców, by dać mu silną pozycję negocjacyjną, przekonamy się dopiero późnią jesienią, gdy ostatecznie będzie można ocenić jego sondaże z ostatnich paru poprzedzających ją miesięcy. Problemem Morawieckiego jest jednak, że w każdej konfiguracji zawsze wywołuje u części potencjalnych partnerów uczucie podejrzliwości. Tak bardzo swoim życiorysem przeczy ustalonym liniom podziału, że dotąd po prawej stronie znajdowali się politycy, którzy widzieli w nim piątą kolumnę Tuska, a w razie jakiegoś kursu w kierunku koalicji 13 grudnia zawsze znajdą się ludzie, którzy będą wypominać mu okres jego premierowania. Gdzieś między tymi dwoma podejrzliwościami Morawiecki próbuje swoją pracowitością i umiejętnością kreowania team spirit wywalczać dla siebie pozycję. O tym, czy jego plan się powiedzie, będziemy w stanie prognozować dopiero późną jesienią. Na razie Rozwój Plus ożywiany jest nadziejami tych, którzy są wewnątrz tego obozu, i blokowany nieufnością tych, którzy przyglądają się nowej inicjatywie.

„Mateusz to dziwne skrzyżowanie robota i idealisty" – mówi jeden z polityków, którzy przyglądają się jego karierze od ponad dekady. I dodaje: „Jego licznym zaletom towarzyszą idiosynkrazje, które go blokują".

Jednak w ostatecznym rozrachunku ze sceny politycznej od ponad dekady nie daje się zepchnąć. Czy to wystarczy do uzyskania silnej, samodzielnej pozycji po epoce Kaczyńskiego i Tuska?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 944c8c46b0



Z Januszem Kowalskim, posłem niezależnym
rozmawia Ryszard Gromadzki

Kolejny premier będzie z Konfederacji

RYSZARD GROMADZKI: Patrząc na żenujący spektakl, który rozgrywa się w Prawie i Sprawiedliwości w związku z frondą grupy posłów skupionych wokół Mateusza Morawieckiego, ma pan poczucie gorzkiej satysfakcji? Kiedy rozmawialiśmy prawie rok temu, przewidywał pan scenariusz, który właśnie się realizuje w PiS.

JANUSZ KOWALSKI: Przestrzegałem, że brak refleksji po utracie władzy przez PiS po wyborach w 2023 r., etatyzm wielu posłów, zanik aktywności Prawa i Sprawiedliwości na poziomie lokalnym, do tego bezsensowne ataki na Konfederację Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka doprowadzą do ostrego kryzysu. Dzisiaj z dużą dozą prawdopodobieństwa mogę nakreślić to, co może dziać się w najbliższych miesiącach, bo dynamika zmian na prawicy jest gigantyczna. Dla prawicowego wyborcy sprawą absolutnie priorytetową jest wiarygodność. Ten wyborca chce, żeby Polską rządzili politycy, którzy potrafią nie tylko celnie zdiagnozować sytuację, lecz także wdrożyć właściwe działania. Tymczasem PiS wciąż nie zamknął debaty nad błędami popełnionymi w latach 2019–2023. Chodzi o zgodę na politykę klimatyczną UE w grudniu 2019 r., zaniechanie przez Orlen budowy Elektrowni Ostrołęka i realizację zielonoładowej polityki stawiania wiatraków przez Orlen przy jednoczesnej bezsensownej prywatyzacji jednej piątej sektora paliwowego, zgodę na centralizację UE poprzez powołanie KPO, zgodę na kamienie milowe, na warunkowość, na redukcję CO_2 do poziomu 55 proc. do 2030 r. i w końcu politykę migracyjną.

Ta lista jest o wiele dłuższa. Wspomnę tylko o polityce wobec Ukrainy kosztem polskiego interesu narodowego czy opresyjnym sanitaryzmie w okresie COVID-19.

Pamiętam, jak z grupą posłów zablokowaliśmy w styczniu 2022 r. absurdalny projekt zmuszania pracowników do szczepień. Miesiąc później po inwazji Rosji na Ukrainę nagle zagrożenie COVID cudownie zniknęło. Niestety, słowo „przepraszam" wciąż jest słowem deficytowym. A przecież wystarczy powiedzieć, że w tych sprawach się myliliśmy, a teraz szukamy dobrego rozwiązania.

Nie za późno? Wyborcy prawicy chyba nie są aż tak naiwni, żeby przyjąć za dobrą monetę taką wymuszoną okolicznościami ekspiację.

Dlatego twierdzę, że o ile po wyborach w 2027 r. powstanie prawicowy rząd, w co mocno wierzę, o tyle przyszły premier będzie z Konfederacji. Konfederacja miała wiele racji. Ugrupowanie Mentzena i Bosaka, które konsekwentnie walczy o elektorat 20-, 30- i 40-latków, w sytuacji braku strategii powrotu do źródeł sukcesu przez PiS stoi wobec nadzwyczajnej szansy zajęcia pozycji numer jeden na polskiej prawicy.

A co stanie się z PiS? Ostatecznie się „posypie"?

Życzę Prawu i Sprawiedliwości jak najlepiej, dlatego że jest to partia, która musi mieć silną pozycję, żeby prawica wygrała wybory z koalicją 13 grudnia. Aby tak się stało, PiS musi przestać zajmować się innymi partiami, a zainteresować się własnymi wyborcami. Czyli przestać oceniać Konfederacje i przestać atakować Bosaka, Mentzena czy Brauna. Trzeba sobie powiedzieć wprost: bez paktu senackiego wszystkich ugrupowań prawicowych, który zaproponowałem już 2 czerwca 2025 r., Tusk wygrywa.

Jak prawica ma zawrzeć pakt senacki, skoro jest totalnie skłócona, a Kaczyński nie chce słyszeć o jakiejkolwiek współpracy z Braunem?

Jeśli ktoś nie chce paktu senackiego, to znaczy, że godzi się na zwycięstwo Donalda Tuska. To sprawa zero-jedynkowa. Dziś tendencje na prawicy są takie, jak trafnie opisuje to Kacper Kita w swojej książce „Epoka chaosu. Dlaczego świat skręca w prawo". Ugrupowania, które mają ofertę dla wyborców wykluczonych, antysystemowych, zyskują. Niewykluczone, że Konfederacja Korony Polskiej uzyska w wyborach 15 proc. poparcia, choć równie dobrze może to być 5 proc. Model zwycięstwa został skutecznie przetestowany w wyborach prezydenckich. Ten model pokazuje dokładnie to, co jest istotą paktu senackiego. Chodzi o merytoryczną konkurencję na prawicy. Karol Nawrocki i Sławomir Mentzen konkurowali ze sobą ad rem, a nie ad personam.

To przeszłość. Dziś PiS i obie Konfederacje raz po raz odpalają salwy w swoją stronę...

Uważam, że błędem ze strony PiS było ogłoszenie wymyślonej przez Patryka Jakiego tzw. Deklaracji Polskiej, co de facto oznaczało wypowiedzenie wojny Konfederacji i zanegowanie modelu kampanii Karola Nawrockiego. PiS nie zyskał na tym nic, za to napędziło to poparcie dla Grzegorza Brauna. Przyjęcie konfrontacyjnej strategii przez PiS wynikało z niezrozumienia, czym jest Konfederacja i jaką ofertę ma ona dla pokolenia 20-, 30- i 40-latków. Próba „nakładania okularów PiS" na Konfederację pokazała

eprasa.pl 944c8c46b0



tylko, jak bardzo PiS rozmija się z rzeczywistością. Powtórzę: bez zamknięcia etapu własnych błędów PiS nie otworzy sobie pola do ofensywy.

Projekt Morawieckiego to szansa na nową jakość na prawicy czy tylko gra pozorów, która ma zmylić konserwatywnych wyborców? Przecież to Morawiecki ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za błędy popełnione przez PiS, które doprowadziły do utraty władzy przez tę formację.

Bez wątpienia Mateusz Morawiecki jest politykiem, który ciężko pracuje. To trzeba docenić. Grupa osób, które zgromadził wokół siebie, to ludzie, z którymi toczyłem merytoryczny spór w kluczowych sprawach, jak KPO, mechanizm warunkowości, EU ETS, rezygnacja z polskiego węgla czy relacje z Ukrainą i polityka covidowa. Mogę spokojnie spojrzeć w lustro i powiedzieć, że w tym sporze to ja miałem rację. Dziś oczywiście PiS mówi głośno moim językiem lat 2020–2023, że trzeba wycofać się z EU ETS i wrócić do polskiego węgla. To dobrze. Morawiecki ma świadomość, że jest jeszcze jakaś grupa wyborców umiarkowanej prawicy, która wobec dramatycznej słabości i lenistwa PiS w terenie będzie do przejęcia. Fakt, że Klub Parlamentarny PiS kierowany przez Mariusza Błaszczaka pracuje znakomicie, nie ma na to wpływu, skoro tolerowane są lenistwo i „tłuste koty" w regionach. Umówmy się, że na poziomie Wrocławia, Opola, Lublina czy Białegostoku nie widzę ze strony PiS konfrontacji z baronami Koalicji Obywatelskiej. W dużych miastach nie widzę referendów inicjowanych przez PiS przeciwko złej władzy liberałów. Nie widzę „gryzienia trawy" w powiatach.

Myślę, że można powiedzieć więcej. W lokalnej Polsce często dochodzi do politycznego „porozumienia ponad podziałami". W brudnych układach taplają się tam razem ludzie Koalicji Obywatelskiej, PSL i PiS i nikomu to nie przeszkadza...

Przestrzegam od dawna przed takimi patologiami. PiS traci na rzecz Konfederacji na wschodzie Polski, np. na Lubelszczyźnie. W Zamościu czy Biłgoraju ludzie Prawa i Sprawiedliwości współpracują wprost z liberałami, PSL i postkomunistami. Nie dość, że na takie praktyki nie ma żadnej reakcji ze strony władz partii, to wręcz jest to nagradzane. Podam konkretny przykład. Absolutorium dla lewicowego prezydenta Zamościa, który niedawno chciał wieszać w mieście tablicę ku czci Róży Luksemburg i gorliwie wspiera koalicję 13 grudnia, przeszło w dyscyplinie partyjnej głosami PiS. Za kilka stołków w samorządzie. To modelowy przykład, jak zamiast tworzyć ofertę, która pozwoliłaby odzyskać Zamość, PiS za sprawą tamtejszych „tłustych kotów" i ich układów oddaje to Konfederacji i Koronie Grzegorza Brauna. Takie sytuacje będzie też wykorzystywał Morawiecki, który ma pełną świadomość tego, że PiS w terenie nie działa.

Morawiecki, polityk bez charyzmy, typ kostycznego technokraty, jest w stanie porwać istotną grupę wyborców dla swojego ugrupowania?

Proszę zauważyć, że w sytuacji, kiedy PiS wykazuje się całkowitą indolencją, jeśli chodzi o pozyskiwanie jakichkolwiek grup wyborców, jest w tzw. terenie martwy od dwóch lat, nie robi nic choćby na Opolszczyźnie, którą bardzo dobrze znam. Ani w Nysie, ani w Brzegu, ani w Opolu, ani w Kędzierzynie-Koźlu nie ma Prawa i Sprawiedliwości. Jest po prostu pustynia. W tej próżni jakakolwiek aktywność Morawieckiego spowoduje przejście struktur, które jeszcze chcą coś robić. Jestem przekonany, że działacze, którzy chcą zaistnieć na poziomie lokalnym, przejdą do stowarzyszenia Rozwój Plus, co będzie miało dla PiS... pozytywny skutek. Być może skończy się tolerowanie nieróbstwa i nieudaczników na poziomie lokalnym, da to partii ożywczego kopa. Na prawicy powinna obowiązywać żelazna zasada: jeśli pracujesz – idziesz do przodu, jeśli nie – wypadasz z gry. To dotyczy całego systemu, zarówno na poziomie lokalnym, jak i rządu, gdzie oprócz bardzo pracowitych ministrów byli też tacy, którzy się nie przemęczali. Ale czasy się zmieniły. Prawica się zmieniła. Elektorat Konfederacji stanowią ludzie, którzy nie tyle wymagają, ile żądają od polityków aktywności, żądają tego, żeby państwo polskie przestało działać w systemie badziewiarskim. To grupa wyborców, która żąda profesjonalnej służby zdrowia, poszanowania własności, nieprzeszkadzania przedsiębiorcom, wytępienia układów w administracji i rozdawnictwa z budżetu dotacji kosztem polskich firm i przedsiębiorczości. To bardzo istotna zmiana. Elektorat Konfederacji podnosi wysoko poprzeczkę w polskiej polityce.

W tym sensie, z powodu rozmijania się z oczekiwaniami społecznymi, PiS jest partią anachroniczną, której czas w polskiej polityce minął?

Największym atutem PiS cały czas jest Jarosław Kaczyński. To prawdziwy mąż stanu i należy się mu szacunek. Gdyby nie jego decyzja o nominowaniu Karola Nawrockiego, nie mielibyśmy dziś prezydenta, który jest dumą Polski. To była jedna z najlepszych decyzji Jarosława Kaczyńskiego w całej jego karierze poli-

eprasa.pl 944c8c46b0



FOT. GRZEGORZ WAJDA/ZUMA PRESS/FORUM

tycznej. W mojej ocenie prezes Kaczyński jest profesjonalnym pragmatykiem.

Mimo alergii na Brauna?

Ufam, że Jarosław Kaczyński będzie otwarty na walkę o większość konstytucyjną w 2027 r., czyli na pakt senacki całej prawicy i wprowadzenie zasad: nie ma wroga na prawicy. Prawica musi mieć wyłącznie alergię na Donalda Tuska – to Tusk jest zagrożeniem dla polskiej niepodległości.

Prezes Prawa i Sprawiedliwości jest gotowy do odrzucenia sugestii Waszyngtonu, że jakikolwiek udział Grzegorza Brauna w przyszłym rządzie jest nie do zaakceptowania dla USA?

To polski naród wybiera posłów i rząd. Kropka. Nie wolno dopuścić do zwycięstwa Tuska. Jest oczywiste, że Tusk pójdzie do wyborów z hasłem wielkiego budżetu UE dla Polski, co jest ściemą. Prawdopodobne są też wymiana premiera na Sikorskiego trzy miesiące przed wyborami w 2027 r. i wielka lista do wyborów całego obozu brukselczyków. Na to wszystko musi być odpowiedź ze strony PiS. A PiS milczy dziś w najważniejszej sprawie, czyli w kwestii budżetu UE na lata 2028–2034. PiS dzieli się na poziomie europejskim w wielu sprawach. Wyborcy to widzą. PiS musi pilnie uporządkować szeregi, jeśli chodzi o swoją reprezentację w Parlamencie Europejskim. PiS podzielił się w tak ważnej sprawie jak Chat Control. Dramat.

W PiS brakuje polityków w typie Karola Nawrockiego? Prezydent ma cechy, które pozwalają mu posprzątać bałagan po rozłamie w PiS?

Mam wielki szacunek dla prezydenta Karola Nawrockiego. Ale Karol Nawrocki dostał mandat od ponad 10 mln Polaków, żeby dbać o interesy Rzeczypospolitej i zajmować się Polską, a nie partiami politycznymi. Niech robotą polityczną zajmują się politycy. Biorąc przykład z Karola Nawrockiego, jego profesjonalizmu, tego, w jak asertywny sposób potrafi mówić „nie" złym ustawom. Nawrocki jest przeciwieństwem Dudy, który podpisywał wszystkie ustawy Tuskowi „jak leci". Pozwólmy prezydentowi Nawrockiemu jak najlepiej dbać o interes Polski. Prawica musi wreszcie zaakceptować formułę „nie ma wroga na prawicy". Niech partie zajmą się swoimi, a nie cudzymi wyborcami. Szczególnie dotyczy to PiS, którego wyborcy są opuszczeni. Priorytetem powinien być pakt senacki wszystkich trzech formacji polskiej prawicy, bo to podstawa do zwycięstwa. Wystarczy zacząć od tego, żeby nie atakować się wzajemnie. Nie rozumiem, dlaczego Marek Suski wychodzi i publicznie zarzuca Mentzenowi jakieś związki z WSI. To jest dokładnie to, z czego cieszy się Tusk. W PiS są politycy profesjonalni, potrafiący łączyć, emanujący pozytywną energią. Kimś takim jest Paweł Szefernaker.

> **Nie rozumiem, dlaczego Marek Suski wychodzi i publicznie zarzuca Mentzenowi jakieś związki z WSI. To jest dokładnie to, z czego cieszy się Tusk**

Szefernaker to dobry kandydat na przyszłego premiera, jeśli nie zostanie nim polityk Konfederacji, co pan prognozuje?

O tym zdecydują liderzy partii, które zdobędą większość. Dla mnie Paweł Szefernaker jest jednym z brylantów polskiej polityki. Gdyby nie dobra współpraca z PiS i konkurencja fair play ze Sławomirem Mentzenem i Bartoszem Bocheńczakiem, szefem sztabu Mentzena, wynik 1 czerwca 2025 r. mógłby być inny. PiS musi postawić na takich ludzi jak Paweł Szefernaker czy Zbigniew Bogucki, którzy przyciągają i kipią polskością. Jak obserwuję Mentzena, to dostrzegam w tym, co robi, pasję do naprawy finansów publicznych; jak słyszę Bosaka, widzę profesjonalny sposób uprawiania polityki międzynarodowej; jak patrzę na Katarzynę Sójkę, to widzę determinację do reformy służby zdrowia. Pamiętajmy, że to głos kobiet w 2027 r. będzie decydujący, a PiS ma cały czas niewykorzystany potencjał w tym segmencie. Małgorzata Golińska czy Magdalena Filipek-Sobczak mogą być prawdziwymi lokomotywami wyborczymi prawicy obok świetnych polityków Konfederacji: Anny Bryłki, Ewy Zajączkowskiej-Hernik czy Klaudii Domagały.

A co pan widzi, kiedy patrzy na działania Grzegorza Brauna?

Grzegorz Braun miał rację w kontekście Wołynia i wiele racji w kontekście COVID-19. Braun nie zajmuje się innymi partiami, tylko Polakami, którzy chcą powrotu do tradycyjnych wartości. Braun i jego ludzie wykonują gigantyczną pracę w terenie, komunikują się z tymi odrzuconymi na poziomie powiatów i gmin. Dzisiaj każdy atak na Brauna tylko go wzmacnia. Oczywiście życzyłbym Koronie więcej pragmatyzmu, wejścia w myślenie o pakcie senackim, szczególnie jeśli chodzi o pewne personalia, które są nieakceptowalne. Jeśli nie będzie paktu senackiego, to nie będzie zwycięstwa nad Tuskiem. Od czego zacząć? Od Krakowa. Przetestujmy „pakt krakowski", czyli czy np. Bartosz Bocheńczak jako przedstawiciel nowej fali w polskiej polityce nie może być poparty przez całą prawicę we wrześniowych wyborach.

Do kogo dziś panu bliżej: wciąż do PiS czy już do Konfederacji?

Jestem prawicowym symetrystą. Będę wspierał zarówno Prawo i Sprawiedliwość, jak i Konfederację. Jestem neutralnie nastawiony także do projektu Mateusza Morawieckiego i Grzegorza Brauna. Wszyscy powinni się skupić na walce o własnych wyborców. Dla mnie najlepszym wariantem byłaby koalicja PiS i Konfederacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 944c8c46b0



Morawiecki i „rozłamowcy”



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

„Harcerze”, M&M’sy, morawiecczycy – grupa polityków skupionych wokół Mateusza Morawieckiego, wbrew pozorom, nie jest jednorodna. Chociaż wielu to młodzi działacze, postrzegani jako technokraci, to nie brakuje bardziej doświadczonych polityków z „jądra” PiS

Trzech europosłów, 40 posłów, jeden senator. Tak wyglądał parlamentarny „urobek” stowarzyszenia Mateusza Morawieckiego w ubiegłym tygodniu. Nie wykluczył, że PiS porzucą też kolejni parlamentarzyści. W środę były premier poinformował o powołaniu nowego klubu parlamentarnego pod szyldem Rozwój Plus. – Będzie to nasze forum polityczne do działania na przyszłość. W ramach stowarzyszenia prowadzimy dużo inicjatyw o charakterze eksperckim, thinktankowym, a tu będziemy mieli polityczną płaszczyznę do działania – powiedział Morawiecki.

Podkreślił, że stało się to, co od paru dni ogłaszało kierownictwo PiS. – Dwa kroki do przodu, potem do tyłu. Nie chcemy wdawać się w tego typu gierki, bo one nikomu nie służą – ocenił, odnosząc się do wtorkowej decyzji komitetu politycznego. Nie zdecydowano, wbrew ogólnemu oczekiwaniu, o wyrzuceniu z partii grupy Morawieckiego, ale skierowano sprawę do rzecznika dyscyplinarnego partii, którym jest Karol Karski. – Ci prawdziwi intryganci będą postępowali tak, żebyśmy zajmowali się sami sobą. Grają na naszą porażkę […]. My chcemy zwrócić ostrze ataku na bardzo zły rząd Donalda Tuska. Chcemy zwrócić uwagę Polaków na to, jakiego typu błędy, przekręty robi ten rząd. Chcemy pokazać, jakie szanse na rozwój tracimy – przekonuje były premier.

Mateusz Morawiecki zaznacza, że „nie interesują go wszczęte procedury partyjne”. – Nas interesuje obrona Polaków

eprasa.pl 944c8c46b0



Trzech europosłów, 40 posłów, jeden senator. Tak wyglądał parlamentarny „urobek" stowarzyszenia Mateusza Morawieckiego w ubiegłym tygodniu

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

i obrona krzyża, który wisi w Sejmie. To nasze credo – podkreśla. Były szef rządu mówi, że jego stowarzyszenie ma wiele ciekawych propozycji. – Niektóre z nich, w formacie niepartyjnym, pokażemy na naszym pikniku pod hasłem „Rozwój plus Wy" 31 lipca. Śmiało, z odwagą, chcemy zmieniać Polskę i będziemy robić to w ramach klubu parlamentarnego Rozwój Plus – poinformował.

PACZKA M&M'S

Obok Morawieckiego wystąpiła tego dnia była wiceminister edukacji (2017–2023) Marzena Machałek. – Tworzyłam PiS, wierząc, że z tą partią będę mogła zmieniać Polskę, i tak działo się przez prawie 25 lat. To dla mnie ogromne przeżycie, że po latach lojalnej pracy ktoś oczekuje ode mnie potwierdzenia lojalności. To było dla mnie nie do przyjęcia […]. Otrzymałam informację, że jestem wykluczona z klubu PiS. Usunięto mnie ze wszystkich grup związanych z PiS – przekazała.

Do Morawieckiego w ostatniej chwili dołączył też poseł Piotr Uściński – należący do grupy bardziej konserwatywnych światopoglądowo, nienależący do żadnej z partyjnych frakcji działaczy. W latach 2021–2023 był wiceministrem rozwoju i technologii. – Do tej pory nie byłem ani w stowarzyszeniu Mateusza Morawieckiego, ani Jacka Sasina. Moje działania były nakierowane na jedność PiS – zaznaczył. – Po decyzji prezesa [o wykluczeniu „rozłamowców" z partii – przyp. red.] miałem nadzieję, że będzie jakaś refleksja. To nie nastąpiło. Pan prezes postawił mnie w sytuacji wyboru. Wybrałem Mateusza Morawieckiego, najlepszego premiera najlepszego rządu, jaki Polska miała. Pamiętam współpracę w rządzie i to, jak była ona merytoryczna – wyjaśnił Uściński.

Zaskoczeniem nie było wystąpienie Marcina Horały, który opowiada się za Morawieckim od dawna. – Rozłam już się dokonał, zostaliśmy wypchnięci z partii i klubu […]. Nie chcemy zajmować się adwersarzami, ale sprawami ważnymi dla Polaków. Zapraszamy, u nas nie potrzeba lojalek. Nawet nie trzeba się ze wszystkim zgadzać, trzeba tylko mieć Polskę w sercu – mówił w Sejmie pełnomocnik rządu Mateusza Morawieckiego do spraw CPK.

„Statut PiS mówi, że wystąpienie z klubu parlamentarnego PiS prowadzi do usunięcia z partii. Słowem: członkowie Rozwoju Plus, ogłaszając chęć powołania klubu, de facto wychodzą z PiS. Sformalizowanie tego to kwestia czasu" – zauważa dziennikarz Wirtualnej Polski Michał Wróblewski. Jeszcze w miniony wtorek, gdy kierownictwo PiS opóźniło decyzję o wyrzuceniu nieposłusznych parlamentarzystów z klubu, mogło się wydawać, że jest szansa na porozumienie. Środowa decyzja „harcerzy" o powołaniu klubu przekreśliła tę możliwość.

Kto, obok wymienionych wcześniej polityków, dołączył do byłego premiera? W tej grupie liczne grono stanowią osoby, które piastowały wysokie stanowiska rządowe i partyjne, gdy premierem był Morawiecki. Janusz Cieszyński w 2015 r. został doradcą Morawieckiego w Ministerstwie Rozwoju i Ministerstwie Finansów, a w latach 2016–2017 kierował Departamentem Małych i Średnich Przedsiębiorstw w Ministerstwie Rozwoju. To też były wiceminister zdrowia (2018–2020) i były minister cyfryzacji. Grzegorz Puda w rządach Morawieckiego był od 2019 r. (sekretarz stanu w resortach inwestycji oraz funduszy); później objął funkcję ministra rolnictwa i rozwoju wsi oraz funduszy i polityki regionalnej. W stowarzyszeniu Rozwój Plus jest też Paweł Jabłoński, były doradca premiera i wiceminister spraw zagranicznych. Kolejny wiceszef MSZ u boku Morawieckiego to Szymon Szynkowski vel Sęk. Do byłego premiera dołączyli też Olga Semeniuk-Patkowska, była wiceminister rozwoju i technologii, oraz Krzysztof Kubów, były wiceminister energii i aktywów państwowych, były szef gabinetu politycznego premiera Morawieckiego. W mediach brylują europosłowie z Rozwoju Plus. Wśród nich Waldemar Buda, były minister rozwoju i technologii, odpowiedzialny za wynegocjowanie pierwotnego Krajowego Planu Odbudowy; Michał Dworczyk, były szef kancelarii premiera Morawieckiego, oraz Piotr Müller, były sekretarz stanu w KPRM i rzecznik prasowy rządu Morawieckiego. PiS na rzecz Rozwoju Plus porzucili także m.in. Anna Gembicka, Łukasz Schreiber oraz Krzysztof Szczucki.

„HARCERZE" KONTRA „MAŚLARZE"

Określenie „harcerze Morawieckiego" pojawiło się już w 2017 r. Choć sam były premier przygodę z harcerstwem zakończył na etapie zuchów, to ludzie, z którymi współpracował na samym początku, byli głęboko zakorzenieni w ruchu. Tygodnik „Polityka" opisywał w 2018 r., że najbliżej szefa rządu są Patrycja Klarecka, Agata Górnicka i Tomasz Fill, których łączy Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej. Ten ostatni za pierwszych rządów PiS był dyrektorem Departamentu Komunikacji w PGNiG. Po 2016 r. Morawiecki zatrudnił go w Polskim Funduszu Rozwoju, gdzie Fill nadzorował Strategię Odpowiedzialnego Rozwoju – najważniejszy dokument gospodarczy Zjednoczonej Prawicy, projekt firmowany przez Morawieckiego.

eprasa.pl 944c8c46b0

„Większość z nas w bardzo młodym wieku brała na siebie odpowiedzialność za różnorakie projekty oraz po prostu za innych ludzi, często jeszcze młodszych […]. Prawdopodobnie ludzie, którzy pełnili funkcje instruktorskie w harcerstwie, mają pewne cechy, jak umiejętność współpracy czy zdolności organizacyjne. To sprawia, że wielu z nich łatwiej niż ludzie niezaangażowani społecznie odnajduje się w biznesie, polityce czy innych aktywnościach publicznych" – opowiadał Tomasz Fill w wywiadzie dla „Polska The Times". Dziś jest wiceprezesem zarządu spółki Communicus, która – jak opisywała w 2024 r. „Gazeta Wyborcza" – świadczyła usługi organizacyjne dla Lepszej Polski, stowarzyszenia związanego z grupą Polsat.

Wiele emocji wzbudził fakt, że do Rozwoju Plus dołączył postrzegany jako jeden z najbliższych współpracowników prezesa PiS, Ryszard Terlecki. W przeszłości wicemarszałek Sejmu, szef klubu PiS, a do teraz jego wiceszef uznawany był za tego, który mówi to, czego Jarosławowi Kaczyńskiemu powiedzieć nie wypada. Faktem jest, że Terlecki ma bardzo napięte relacje z politykami od Zbigniewa Ziobry, a grupa Morawieckiego wśród zarzutów pod adresem partii wymienia właśnie m.in. „suwpolizację PiS". „Jarosław Kaczyński pozostaje najwybitniejszym politykiem 35 lat, ale »maślarze« prowadzą PiS do klęski. Myślę, że nadejdzie taki dzień, gdy Prezes ich pogoni i razem pójdziemy po zwycięstwo" – napisał Terlecki na Facebooku. „Konflikt wewnątrz Prawa i Sprawiedliwości nasilał się od jesieni zeszłego roku. Wielu posłów PiS krytykowało styl medialnych występów (także w Internecie) oraz sejmowych debat, jaki udało się narzucić partii przez tzw. ziobrzystów, czyli byłych członków partii Solidarna Polska. Różnice dotyczyły też strategii, jaką PiS powinien przyjąć przed wyborami. Ścierały się dwa poglądy: jeden, sugerowany przez tzw. maślarzy (Jacek Sasin, Tobiasz Bocheński i Patryk Jaki), że należy iść daleko na prawo, ścigać się z partią Brauna i stać się trzecią Konfederacją; drugi, prezentowany przez Mateusza Morawieckiego i jego zwolenników, że należy wrócić do patriotycznego i konserwatywnego centrum sceny politycznej i przyciągnąć tych, którzy na PiS, zdominowany przez ziobrzystów, nie zagłosują" – zauważa.

Terlecki zaznacza, że od wyborów w 2023 r. „trwał bezpardonowy atak na Mateusza Morawieckiego i dokonania jego rządu, a następnie usilne próby pozbawienia go znaczenia oraz wypchnięcia z partii". Wspomina, że początkowo prezes zgodził się na koncepcję „dwóch płuc" – konserwatywnego, pod auspicjami kandydata na premiera Przemysława Czarnka, oraz bardziej rozwojowego, z Morawieckim na czele. „Początkowo była zgoda na »dwa płuca« lub dwa skrzydła partii, sprzeciwiała się jednak frakcja »maślarzy«, którzy namówili prezesa do radykalnych działań i likwidacji stowarzyszenia. Przez parę tygodni trwały jeszcze rozmowy, w czasie których Morawiecki deklarował, że stowarzyszenie nie będzie konkurencją dla partii, ale prezes domagał się zamrożenia Rozwój Plus na czas do wyborów, a następnie zażądał podpisania »lojalki« wykluczającej udział w stowarzyszeniu. W takich okolicznościach nastąpił dramatyczny finał: posłowie, którzy razem z Morawieckim nie podpisali żądanej deklaracji, zostali usunięci z partii" – pisze Ryszard Terlecki.

Ryszard Terlecki nie wyklucza, że oprócz klubu parlamentarnego może powstać nowa partia

Były wicemarszałek nie wyklucza, że oprócz klubu parlamentarnego może powstać nowa partia, „nawiązująca do tradycyjnego programu PiS, ale wolna od intryg i kłótni (zwłaszcza w tzw. terenie), paraliżujących polityczną działalność. Partia, której uda się pozyskać młodszych zwolenników, mieszkańców dużych miast i samorządowców wszystkich szczebli". Według niego takie ugrupowanie byłoby naturalnym koalicjantem dla PiS po wyborach parlamentarnych w 2027 r.

Do stowarzyszenia Morawieckiego zapisali się też m.in. poseł Anna Kwiecień (w PiS od 2006 r.) oraz poseł Andrzej Kryj (w partii od 2014 r.). To, jak niejasne są obecnie podziały między „rozłamowcami" a „starym PiS", celnie opisał w serwisie X Piotr Trudnowski z Klubu Jagiellońskiego. „Ciekawym elementem rozłamu w PiS jest to, że u prezesa Jarosława Kaczyńskiego zostało co najmniej kilkanaście osób bardzo bliskich premierowi Mateuszowi Morawieckiemu i jego sposobowi myślenia, a z kolei w Rozwój Plus jest też pewna dość przypadkowa grupa. Tych transferów w obie strony może być jeszcze cała masa" – przewiduje.

Do stowarzyszenia byłego premiera dołączył też Marek Jakubiak, funkcjonujący dotąd jako poseł niezrzeszony.

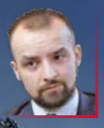
SZYDŁO WZYWA DO JEDNOŚCI

Wielu czekało na głos byłej premier Beaty Szydło. Chociaż stosunki obecnej europoseł z Mateuszem Morawieckim, który zastąpił ją w fotelu premiera dość niespodziewanie w grudniu 2027 r., nie należą do najprostszych, to Szydło wypowiada się w sposób znacznie bardziej koncyliacyjny niż większość „maślarzy". – Powinniśmy cały czas pamiętać o naszych wyborcach, ludziach, którzy nam zaufali. Tego zaufania nie możemy zawieść – wskazała w wywiadzie dla stacji wPolsce24. Szydło przypomniała, że była premierem, a Morawiecki wicepremierem w jej gabinecie. Następnie to on objął fotel szefa rządu. – Przypominam wszystkim, bo czasami niektórzy zapominają, że to nie był rząd Beaty Szydło czy Mateusza Morawieckiego. To był rząd Zjednoczonej Prawicy, Prawa i Sprawiedliwości. Zrobiliśmy bardzo dużo dobrych rzeczy […]. Czasami trzeba było podejmować trudne decyzje, kontrowersyjne, ale w tamtym momencie, w określonej sytuacji i czasie, te decyzje, które podejmowaliśmy, były najlepsze, jakie można było podejmować. Były zgodne z naszym programem i interesem Polski – zaznaczyła europoseł PiS.

Była premier mówi, że udało się wygrać w latach 2015 i 2019, bo „rzeczywiście tworzyliśmy drużynę". – Jeżeli my nie będziemy potrafili wrócić do idei uspokojenia emocji i pójścia razem, to będziemy odpowiedzialni później za to, co będzie się działo w Polsce, a to nie będą dobre rzeczy. Wyborcy na pewno nam tego nie zapomną – dodała Beata Szydło.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 944c8c46b0



Z Maciejem Świerzyńskim, reżyserem dokumentalistą i producentem filmowym

rozmawia Michał Murgrabia

Ważne dzieła wymagają ofiar

Kapliczka przy Bazylice Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Gietrzwałdzie FOT. ADOBE STOCK

MICHAŁ MURGRABIA: Trzy lata temu odbyła się premiera filmu „Ukryty skarb Kościoła". Na prowadzonym przez pana i pańską żonę kanale „Trudno być katolikiem" na YouTube film uzyskał ponad 650 tys. odsłon i liczba ta wciąż rośnie. Można powiedzieć, że jako reżyser odniósł pan sukces. Jakie pozytywne lub negatywne reakcje zapadły panu najbardziej w pamięć? Co działo się przed rozpoczęciem zdjęć do filmu?

MACIEJ ŚWIERZYŃSKI: Dla wielu osób może to brzmieć niewiarygodnie, ale przez lata nosiłem w sobie głębokie przeczucie, że mam do opowiedzenia ważną historię. To wewnętrzne przynaglenie nie dawało mi spokoju. Gdy Ania powiedziała: „Zróbmy film o Mszy wszech czasów", wiedziałem, że to jest właśnie to, na co czekałem kilka ostatnich lat – nie miałem żadnych wątpliwości.

A przeszkód nie brakowało. Był rok 2020, brak pieniędzy, zniewalający kraj lockdown, śmierć Jakuba, brata mojej żony w 2021 r., a także mur niechęci ze strony kościelnych modernistów. Najtrudniejsza bitwa rozegrała się jednak w zaciszu montażowni. Zazwyczaj proces twórczy zaczyna się u mnie od obrazów „pod powiekami" – widzę gotowe ujęcia i całe sekwencje, i te obrazy towarzyszą mi przez cały proces twórczy, można to porównać do swego rodzaju snów na jawie. Na montażu zderzyłem się jednak z totalną pustką, najgorszą zmorą twórcy, ciszą i ciemnością. Nie potrafiłem scalić tego materiału w historię, która oddałaby przesłanie filmu. Nic mi się nie kleiło. Czułem się bezsilny, potem przyszły zniechęcenie, kryzys weny i potworny lęk przed porażką.

Kiedy pokazałem pierwszą wersję Ani, pamiętam do dzisiaj jej przerażony wyraz twarzy, że to wszystko poszło na marne, że zawiedziemy naszych patronów. Świadomość, że trzymam w rękach dzieło nieskończone i niespełniające moich własnych oczekiwań, w połączeniu z reakcją żony, postawiła mnie pod ścianą. Miałem do wyboru: poddać się i ponieść porażkę albo podjąć rzuconą rękawicę i zawalczyć o ten film. Dzięki Bogu wybrałem to drugie.

Zacząłem od podstaw – od scenariusza, który po konsultacjach z Anią napisałem praktycznie od nowa. Po kilku tygodniach morderczej pracy wróciłem do montażowni. Tym razem jednak zmieniłem taktykę: każdy dzień pracy nad

eprasa.pl 944c8c46b0

filmem zaczynałem od modlitwy do Ducha Świętego.

To, co działo się potem, było po prostu walką duchową. Krok po kroku układałem te obrazy tak, jak pierwotnie widziałem je oczami wyobraźni. I nagle, z tego chaosu, wszystko zaczęło układać się w spójną, poruszającą całość. Materiał ożył, a historia nabrała rytmu!

Może ktoś inny skorzysta z moich doświadczeń. Sukces i ważne dzieła wymagają ofiar, a w życiu katolika nie ma przypadków – są tylko znaki. Najlepszym tego dowodem stała się data premiery. Przez nieustanny wyścig z czasem w montażowni do samego końca nie byliśmy w stanie zaplanować konkretnego dnia. Kiedy kurz opadł, okazało się, że film jest gotowy, a premiera wypada na 13 maja 2023 r.

Ta data uderzyła nas z ogromną siłą. To przecież dzień ściśle związany z kultem Matki Bożej – dokładnie 13 maja 1917 r. miało miejsce pierwsze objawienie fatimskie. Scenariusz pisało samo życie, bo moja wyjątkowo kreatywna żona Anna jest autorką ogromnej liczby odcinków o tej tematyce na naszym kanale „Trudno być katolikiem" i bez fałszywej skromności mogę powiedzieć, że jest jedną z czołowych specjalistek od Fatimy w całym kraju.

Reakcje na film przeszły nasze najśmielsze oczekiwania. Widzowie pisali, że ten film to modlitwa, że jest głośny i milczący zarazem, że to najlepszy dokument w kategorii filmów katolickich. Z całego świata zaczęły spływać podziękowania – za otwieranie oczu, za odwagę w pokazywaniu prawdy, za niezwykłą lekcję historii Kościoła i wreszcie za pomoc w odkryciu piękna Mszy tzw. trydenckiej. Ktoś dodał nawet film na Filmweb, gdzie nasz dokument skomentowano kilkaset razy i otrzymał ocenę 9,1/10.

Dla mnie najważniejszy znak – ostateczny dowód na to, że film powstał z woli Bożej – przyszedł dwa lata później. Podczas rozmowy z jednym z kapłanów Tradycji usłyszałem słowa, które głęboko zapadły mi w pamięci. Wyznał, że większość osób, które po raz pierwszy pojawiają się na Mszy wszech czasów, pytanych o powód swojej obecności, odpowiada: „Dowiedzieliśmy się o niej z filmu »Ukryty skarb Kościoła«".

Każda wielka zmiana zaczyna się od małych rzeczy, choćby filmu czy książki, które mogą przemienić serca ludzi

Słowa krytyki były nieliczne, aż trudno się do nich odnosić – nikt nie był w stanie zarzucić nam nudnego montażu czy przekłamywania historii. Pojawiły się jednak reakcje innego rodzaju. Otrzymaliśmy dosadny SMS z ostrzeżeniem, abyśmy „lepiej nie pojawiali się w Krakowie", a jeden ze znajomych kapłanów przekazał nam, że pewne osoby ze środowiska wrocławskiego zaczęły rozprowadzać na nasz temat obrzydliwe plotki. Te reakcje tylko utwierdziły nas w jednym: uderzyliśmy we właściwe tony, a „Ukryty skarb Kościoła" stał się dziełem, które realnie zmienia rzeczywistość.

Czego nauczyła pana praca przy tym filmie? Co było dla pana osobiście najważniejsze?

Ta przygoda nauczyła mnie przede wszystkim jednego: to, co jest zgodne z wolą Bożą, zawsze staje się możliwe. Praca nad tym projektem sprawiła, że uwierzyłem w swoje twórcze możliwości. Dotarło do mnie, że filmowy język, którym się posługuję, naprawdę trafia do serc, a proponowana przeze mnie narracja jest bezbłędnie odczytywana przez szeroką widownię.

Świadomość, że za sprawą tego dzieła mogliśmy w choćby malutkim stopniu przyczynić się do powrotu ludzi do Mszy wszech czasów i prawdziwej nauki katolickiej, to najcudowniejsze uczucie, którego doświadczyłem jako twórca. Dzięki temu filmowi tysiące osób poznało tradycyjną liturgię i głębię tradycyjnego katolicyzmu, a to znaczy, że osiągnąłem swój cel. Najważniejsze w tym wszystkim jest jedno przesłanie, które niesie film: możesz, a wręcz powinieneś być dumny z tego, że jesteś katolikiem.

Bez kogo nie byłoby „Ukrytego skarbu Kościoła"?

Nic z tego nie wydarzyłoby się jednak bez Ducha Świętego, bez naszego małżeństwa i bez tych wszystkich cudownych ludzi – kapłanów oraz świeckich – którzy w trudnym, pandemicznym czasie zgodzili się nas przyjąć i z nami porozmawiać.

W trakcie pracy nad projektem zderzyliśmy się też z brutalną rzeczywistością kościelnej dyplomacji. Już po zakończeniu zdjęć dowiedzieliśmy się, że hierarchia wydała kapłanom odgórny zakaz publicznego wypowiadania się na temat Soboru Watykańskiego II. Mieliśmy ogromne szczęście, że zdążyliśmy zarejestrować wywiady, zanim ta kurtyna milczenia opadła.

Mimo to wielu duchownych poniosło osobiste konsekwencje za kontakt z nami i doświadczyli poważnych nieprzyjemności. To tylko pokazuje, jak wielką wagę miał ten projekt i jak bardzo próbowano zablokować prawdę, którą ostatecznie udało nam się ocalić i pokazać światu.

W napisach końcowych zostawił pan pewną sugestię, że ma pan w planach zrobić jakiś kolejny film. Gdzie jest źródło dla tej inspiracji?

W życiu każdego twórcy – czy to malarza, powieściopisarza, czy filmowca – nadrzędną zasadą powinno być noszenie w głowie kilku pomysłów naraz. Kiedy pracowaliśmy z Anią nad filmem o Mszy wszech czasów, w moich myślach już kiełkowało pytanie: Co dalej?

Na stole leżały różne pomysły: myśleliśmy o Fatimie, o czasach ostatecznych i przyjściu Antychrysta, rozważaliśmy też kilka pobocznych wątków. Stworzenie filmu dokumentalnego od podstaw to jednak tytaniczny, wycieńczający fizycznie i psychicznie proces. Musiałem mieć absolutną pewność, jakiemu tematowi jestem w stanie się całkowicie poświęcić, tylko wtedy jest szansa na dobry film.

Postanowiłem opowiedzieć historię niezwykłą, a wciąż zbyt mało znaną – historię objawień z Gietrzwałdu, jedynych uznanych przez Kościół objawień Najświętszej Maryi Panny na ziemiach polskich.

Dlaczego akurat taka tematyka?

Uważam, że te jedyne zatwierdzone objawienia maryjne w Polsce nigdy nie otrzymały uwagi, na którą zasługują. Z jakiegoś powodu w przestrzeni publicznej mało się o nich mówi. Jako twórca i reżyser chcę dotrzeć do prawdy i dowiedzieć się, skąd bierze się ta swoista „zmowa milczenia". Dlaczego tak wielu Polaków wciąż nie ma pojęcia o tym miejscu.

eprasa.pl 944c8c46b0

Drugim, niemniej ważnym powodem, dla którego realizuję ten film, jest dramatyczna sytuacja, w której znalazła się dziś nasza ojczyzna. Widzę tu uderzającą analogię do realiów z XIX w., kiedy dochodziło do objawień. Podobieństwo jest wręcz paraliżujące: dramatyczna walka z zaborcą – wtedy jawnym, dziś ukrytym – ogromne pęknięcie i podział w społeczeństwie, postępująca laicyzacja, kryzys rodziny i wiary przekładający się na drastyczny spadek zarówno powołań kapłańskich, jak i urodzeń. Polska jako naród znów stoi nad egzystencjalną przepaścią, dokładnie tak samo jak niespełna 150 lat temu i tylko cud może nam pomóc.

Największym problemem naszego narodu wcale nie jest wróg ze Wschodu, z Zachodu czy ten czający się wewnątrz kraju. Naszym największym wrogiem jest grzech. Dokładnie tak, jak zauważył papież Pius IX, który modlił się za Polaków w czasie, gdy trwały objawienia gietrzwałdzkie w XIX w.

Głęboko wierzę, że każda wielka zmiana zaczyna się od małych rzeczy, choćby filmu czy książki, które mogą przemienić serca ludzi. Między innymi dlatego na naszej stronie internetowej trudnobyckatolikiem.pl prowadzimy małą księgarnię, w której oferujemy najważniejsze formacyjne dzieła katolickie. Poza tym najzwyczajniej w życiu mówienie językiem filmu zaspokaja we mnie ten niesamowity głód i potrzebę twórczego zaspokojenia. Naszą działalność idealnie podsumował jeden z widzów, pisząc pod naszym filmem: „Uważam, że nie ma w Polsce nikogo, kto powinien bardziej zrobić film o Gietrzwałdzie niż wy, jesteście w tym świetni, zbliża się 150. rocznica, czasy obecne chyba nawet pasują do tych pod zaborami, prosimy o Gietrzwałd, moim zdaniem to zaniedbany temat objawień".

Gietrzwałd warto odwiedzić i jest ku temu wiele okazji. Warto wspólnie się pomodlić i porozmawiać w obecności Matki Bożej, która przecież obiecała w trakcie objawień, że zawsze będzie tam na nas czekać.

W jaki sposób chciałby pan pokazać Gietrzwałd w swoim filmie?

Z tego, co wiem, nie ma obecnie filmu – ani dokumentalnego, ani fabularnego – który skupiłby się na głębokim, duchowym i mistycznym wymiarze tego niesamowitego wydarzenia. Istnieje tak wiele porażających wątków, o których my, Polacy, nie mamy pojęcia.

Chcę dotknąć spraw niezwykłych, które działy się jeszcze przed samym początkiem objawień – jak choćby wspominany przez ks. prof. Tadeusza Guza szczególny układ gwiazd na niebie w tamtym czasie. Chcę zbadać proroctwo papieża Piusa IX, który witając polską pielgrzymkę w Rzymie trzy tygodnie przed pierwszym objawieniem, wypowiedział słowa, które z perspektywy czasu brzmią wręcz profetycznie. Zaskakujące jest to, że do dzisiaj nie znamy treści wszystkich objawień, a w raporcie z objawień są luki. Mało kto wie o istnieniu dwóch kolejnych osób, które również widziały Najświętszą Maryję Pannę, i dlaczego nie zostały one ujęte w oficjalnych materiałach.

Jedyne zatwierdzone objawienia maryjne w Polsce nigdy nie otrzymały uwagi, na którą zasługują

Tym, co budzi ogromne emocje, jest wstrząsający realizm walki duchowej w czasie tamtych pamiętnych dni. Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, jak potężną aktywność wykazywał wtedy Szatan. Złe duchy robiły wszystko, by zniszczyć to dzieło. Doszło do bezpośredniego kuszenia wizjonerek, a gdy te ulegały kłamstwu, ich twarze w ułamku sekundy zmieniały się w diaboliczne, wykrzywione maski. Chciałbym pokazać, jak faktycznie wyglądała objawiająca się Maryja i gdzie dziś można odnaleźć Jej najwierniejszy wizerunek. Jaką rolę w tej historii odegrała tajemnicza mistyczka z Belgii? Rodzi się wiele pytań, a ja zrobię wszystko, aby na nie odpowiedzieć.

Chciałbym zweryfikować doniesienia o szerzącym się dziś w okolicach Gietrzwałdu pogaństwie i bliżej nieokreślonych kultach masońskich, których miejsca spotkań mają znajdować się w obrębie samych terenów objawień. Dotarłem już do relacji o osobie, która w gwałtowny, jednoznacznie demoniczny sposób zareagowała na wodę ze źródła pobłogosławionego przez Maryję. Wiem również, że zachowało się kilka krzyży wykonanych z klonu, na którym objawiła się Matka Boża – moim marzeniem i celem jest dotarcie do choćby jednego z nich. Wreszcie zamierzam postawić pytanie o zaginiony, niezwykle szczegółowy raport z objawień oraz o losy akt dokumentujących cudowne uzdrowienia, które w Gietrzwałdzie nieprzerwanie mają miejsce.

W jaki sposób zamierza pan sfinansować swój nowy film?

Tak samo jak poprzednio film będzie produkowany w ramach działalności statutowej naszej fundacji filmowej Sensus Fidei. Dla twórców takich jak my niezależność przy produkcji jest kluczowa – to ona daje nam pełną swobodę twórczą i pozwala mówić całą prawdę o sprawach trudnych. Zarówno tamto dzieło, jak i nadchodzący film o Gietrzwałdzie powstają wyłącznie dzięki finansowemu wsparciu naszych rodaków. Wszystkich, którzy chcieliby stać się częścią tej misji i wesprzeć powstanie nowego filmu, gorąco zachęcamy do odwiedzenia strony: trudnobyckatolikiem.pl.

Jako katolik i reżyser pragnę – podobnie jak przy realizacji „Ukrytego skarbu Kościoła" – opowiedzieć bez upiększeń i bez cenzury historię o jednym z najważniejszych wydarzeń w historii naszego kraju. Chcę dać świadectwo Prawdzie. Staję przed wyzwaniem, które wymaga nie tylko tytanicznej pracy, lecz także odwagi. Wierzę, że prawda o Gietrzwałdzie musi wreszcie wybrzmieć z pełną mocą. Robimy ten film, aby pomóc w ocaleniu katolickiej tożsamości. Droga do źródła prawdy bywa wyboista, ale z Bożą pomocą i waszym wsparciem przejdziemy ją do samego końca. Do zobaczenia na premierze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Maciej Świerzyński – reżyser dokumentalista i producent filmowy. Twórca filmu „Ukryty skarb Kościoła". Przygotowuje film o objawieniach w Gietrzwałdzie. Prowadzi na YouTube kanał „Trudno być katolikiem". Działalność producencką prowadzi w ramach fundacji filmowej Sensus Fidei.

eprasa.pl 944c8c46b0



Z Mariuszem Urbankiem, pisarzem i dziennikarzem
rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Poeta o wariackim talencie

KRZYSZTOF MASŁOŃ, TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Gorliwą strażniczką pamięci Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego była przez dekady jego córka Kira, nader nieżyczliwa wobec prób demaskowania zarówno życiorysu, jak i spuścizny literackiej ojca. Doświadczył pan jej działalności?

MARIUSZ URBANEK: Owszem, chociaż nie myślałem jeszcze wtedy o pracy nad biografią tego wyjątkowego poety. Do incydentu doszło po publikacji w „Polityce" mojego artykułu dotyczącego relacji pomiędzy Gałczyńskim a Tuwimem. Pierwszy pisał o drugim w rozmaitych okresach źle, czasem okropnie, natomiast Tuwim, starszy zaledwie o dekadę, traktował Gałczyńskiego niczym syna marnotrawnego. Kira Gałczyńska ukrywała list „Do przyjaciół z »Prosto z Mostu«", czyli najbardziej antysemicki tekst Gałczyńskiego wymierzony w środowisko związane z „Wiadomościami Literackimi", głównie w Tuwima i Słonimskiego. I uczyniła to tak skutecznie, że w jeszcze PRL-owskiej, lecz kanonicznej do dzisiaj, pięciotomowej edycji dzieł K.I.G. oraz – niestety zawieszonym – wyborze twórczości poety (wydawnictwa Prószyński i S-ka) tekstu tego zabrakło. Ja w swoim szkicu uznałem go za ważny. I oto niedzielny obiad rodzinny przerwał mi dzwonek telefonu, jeszcze wtedy stacjonarnego. Podnoszę słuchawkę, a będąca po drugiej stronie Gałczyńska zwymyślała mnie za przypomnienie o liście „Do przyjaciół z »Prostu z Mostu«", kończąc emocjonalną tyradę konkluzją, którą zapamiętałem na zawsze: „Upewniam pana, iż gdyby mój ojciec wiedział, co się z Żydami stanie podczas drugiej wojny światowej, nigdy by tego tekstu nie napisał". Cóż mogłem na to rzec? Powiedziałem, że bardzo chcę w to wierzyć, ale przecież napisał i tego ukrywać nie można.

Czyta się dziś ten tekst ciężko, także ze względów czysto literackich, ale na szczęście autor przetrwał nie jako publicysta, lecz poeta. Zdarzyły się jednak Gałczyńskiemu i takie wiersze, jak „Polska wybuchła w roku 1937" zwieńczony znamienną – i powszechnie w momencie pierwodruku – czytelną antyfoną:

Na tych, co biorą wody w usta,
na czytelników wuja Prousta,
na skamandrytów, na hipokrytów,
kalamburzystów rozmaitych
ześlij, zepchnij, Aniele Boży,
Noc Długich Noży.

eprasa.pl 944c8c46b0



Konstanty Ildefons Gałczyński
FOT. NAC

Skądinąd mieliśmy w historii wielu zacnych ludzi będących antysemitami gorliwszymi od Gałczyńskiego – jego antysemityzm miał raczej wymiar towarzyski niż jakikolwiek inny – którzy również zmieniali poglądy. Natomiast wracając do Kiry, jak pan ocenia opinię Jerzego Waldorffa twierdzącego, że „przerobiła Konstantego na drewnianego świątka pomalowanego na czerwono"?

Wynikało to zapewne z jej umiejscowienia polityczno-zawodowego. Była sztandarową publicystką działu kultury „Trybuny Ludu", dość dobrze w tamtych kręgach usytuowaną. Nadto osobą skonfliktowaną z tzw. księstwem warszawskim, tym, co obecnie określamy stołeczną elitą, salonem, względnie mainstreamem. Przemilczała wiele utworów taty czołobitnych wobec komunizmu. Wielokrotnie składał bowiem rymowane hołdy Stalinowi, Leninowi et consortes. Zatem z jednej strony usiłowała z ojca uczynić świątka, z drugiej zaś go cenzurowała. Miał pozostać przede wszystkim wybitnym poetą, bez żadnych mielizn ideowych. Ani w II Rzeczypospolitej, ani w Polsce Ludowej. I to jest największa krzywda, którą wyrządziła ojcu, bo te „zakazane" strofy można dziś – w dobie Internetu – bardzo łatwo odnaleźć, więc ich tuszowanie jest kompletnie pozbawione sensu.

Córka, a zwłaszcza wdowa po poecie Natalia mitologizowały nałóg trawiący autora „Skumbrii w tomacie". Istnieją jakieś sugestie dotyczące genezy jego pijaństwa?

Czytałem relacje na temat pobytu Gałczyńskiego na oddziale odwykowym szpitala psychiatrycznego w Tworkach, pytałem psychiatrów, jaką diagnozę postawiliby dziś, po 70 latach od śmierci poety, bogatsi o współczesną wiedzę medyczną, i myślę, że można chyba zaryzykować hipotezę, iż cierpiał na chorobę afektywną dwubiegunową, charakteryzującą się wahaniami nastroju. Okresy euforii przeplatały się z fazami depresji i właśnie wówczas miewał zapaści alkoholowe. Świadectw tego mamy pod dostatkiem. Poeta przeżył zaledwie 48 lat. Zaczął pisać, będąc nastolatkiem, praktycznie zamilkł literacko w czasie służby wojskowej. Piastując posady urzędnicze w stołecznym magistracie i cenzurze oraz będąc referentem w berlińskim konsulacie RP, też stworzył niewiele. Podobnie za drutami stalagu. Niemniej pozostawił gigantyczny dorobek pisarski. Minimum tysiąc wierszy i poematów, kilka powieści, satyry, skecze, monologi, felietony, teksty piosenek… A do tego miejmy świadomość, że co najmniej kilkanaście utworów spalił. Uznając, że nie są warte jego talentu. Wiele też zwyczajnie zaginęło. Gdyby pił od świtu do zmierzchu, nie mielibyśmy co czytać, a na pewno byłoby tego dużo, dużo mniej.

Poślubiając Lucynę Wolanowską, Lwowiankę, więźniarkę niemieckich obozów koncentracyjnych, popełnił bigamię

Czarną legendę Gałczyńskiego pijaka i awanturnika głosili literaci niedowartościowani, dużo mniej od niego zdolni. Po każdej kuracji antyalkoholowej – prowadzonej pod okiem renomowanego psychiatry Bolesława Ałapina – postawiony na nogi poeta wierzył, że został wyleczony. I że już nigdy… Niestety, tak się nie stało. Przy tym wykazywał się olbrzymią konsekwencją w niszczeniu siebie. Spożywał hektolitry kawy, palił najbardziej podłe papierosy.

Kontynuując wątek vie privée… Natalia i Kira Gałczyńskie kamuflowały również strzały Amora godzące w serce poety…

Poczynając od Jadwisi Łopuszyńskiej, skoligaconej z nim dziewczyny, którą nazwał Alraune. Pierwszej miłości, czysto platonicznej, adresatki juwenilnych erotyków, bardzo już jednak „gałczyńskich". O miłosnym szaleństwie – nie waham się użyć takiego sformułowania – Gałczyńskiego w latach 1945–1946 przez dekady wiedziano bardzo niewiele.

Poślubiając Lucynę Wolanowską, Lwowiankę, więźniarkę niemieckich obozów koncentracyjnych, popełnił bigamię. Od kilkunastu lat był już bowiem mężem Natalii, ślub zawarli w cerkwi na warszawskiej Pradze. Może z uwagi na obrządek prawosławny ksiądz udzielił mu drugiego, katolickiego? Niebawem zostali rodzicami syna, który imię odziedziczył po tacie. Małżeństwo z Lucyną zostało unieważnione dopiero przez sąd w Australii, dokąd kobieta pod koniec lat 40. wyemigrowała.

eprasa.pl 944c8c46b0

Mówiąc nawiasem, poślubiła tam Stanisława Pykę, brata wicepremiera PRL z ekipy Edwarda Gierka.

Do końca swych dni, a zmarła już w obecnym tysiącleciu, utrzymywała, że Gałczyńskiego uprowadziły do komunistycznej Polski tajne służby, działające w porozumieniu z Natalią.

Równocześnie poeta mamił małżeństwem Marię Stobiecką...

Była początkującą poetką, sanitariuszką z powstania warszawskiego, trafiła do niemieckiej niewoli, gdzie skrzyżowały się ich ścieżki. Wrócił z nią do Krakowa, przedstawiając ją Natalii. Wykazał daleko idącą naiwność, że panie zgodzą się na taki trójkąt. Zmuszona do kapitulacji uczuciowej Maria przeprowadziła się na Górny Śląsk, pisała wiersze, a on dość złośliwie uwiecznił ją w postaci Hermenegildy Kociubińskiej.

Adorował też Anielę Micińską, romanistkę, tłumaczkę, siostrę Bolesława, filozofa, przyjaciela z redakcji tygodnika „Prostu z Mostu", osiadłą we Francji. Ta jednak karesy Gałczyńskiego zignorowała.

Mawiał, że ponieważ jest poetą, to otrzymał od Pana Boga prawo mieć wiele kobiet, a nawet ożenić się z kilkoma naraz, co zresztą uczynił.

Z powrotem do Polski Ludowej zwlekał...

Myślę, że przy swej rozwichrzonej osobowości i nałogu, a w czasie wojny pił naprawdę dużo, miałby trudności z zarobieniem na chleb na emigracji. Umiał i chciał się utrzymywać wyłącznie z pióra. Z prozą życia zupełnie sobie nie radził. Wrócił skuszony wizją druku i dostatku oferowaną przez Jerzego Borejszę. Poetą był genialnym, spiżowego charakteru nie miał.

To z całą pewnością. Kazimierz Wierzyński napisał o nim pięknie: „szukał Farlandii", krainy nierzeczywistej, cudownej, beztroskiej, rajskiej. Jan Lechoń okazał się mniej wyrozumiały: „Gałczyński – mała kanalia o wielkim, wariackim talencie".

Wyjątkową klasę poety doceniali jednak wszyscy. Marian Hemar pożegnał go pięknym nekrologiem. Czesław Miłosz, brutalnie spostponowany przez Gałczyńskiego w obrzydliwym „Poemacie dla zdrajcy", wprawdzie odpłacił mu zjadliwym wizerunkiem Delty zawartym w „Zniewolonym umyśle", ale oddał mu honor jako poecie i umieszczał jego utwory w kolejnych antologiach polskiej poezji. A Mieczysław Grydzewski, który na łamach „Wiadomości Literackich" zamieścił tylko jeden wiersz Gałczyńskiego, u schyłku swych dni przyznał mu poetycką palmę pierwszeństwa w XX w.

Młodym czytelnikom warto uświadomić, o kim rozmawiamy. A mówimy o twórcy, który przełożył „Odę do radości" Fryderyka Schillera, wyśpiewywaną dziś na przeróżnych eventach z akademiami szkolnymi na czele. Niewiele też, jak się zdaje, brakowało, aby inny jego tekst – „Wszystko tobie ukochana ziemio", bardziej znany pt. „Ukochany kraj, umiłowany kraj" – stał się hymnem Polski. W każdym razie pieśń ta, z muzyką Tadeusza Sygietyńskiego, śpiewana była równie często jak „Mazurek Dąbrowskiego".

Napisał wiele utworów, a karierę zrobiły niekoniecznie najlepsze z nich. Do dzisiaj popularnością cieszy się wiersz zaczynający się od słów: „Powiedz mi, jak mnie kochasz...", moim zdaniem okropny liryczny kicz. Dla mnie najlepszy Gałczyński to ten z Zielonej Gęsi, ze swoją groteską i absurdalnym tonem w niej zawartym. Jeśli nawet nie wie się już, do czego odnoszą się aluzje, to jest to tak bezgranicznie śmieszne, że gdy nawet nie znajdziemy żadnych powodów, by czytać tego poetę, to dla Teatrzyku Zielona Gęś warto będzie to robić.

W komunistycznej Polsce dostrzegł możliwość życia wyłącznie z literatury, niemniej musiał być świadomy tego, że będzie pisywać także na zlecenie.

To bodaj Janina Ipohorska powiedziała, że on się nie nadawał na etat, co potwierdził potem Marian Eile. Był poetą, nie był w stanie narzucić sobie instytucjonalnej dyscypliny. Kiedy pisał najwięcej? Przed wojną, gdy miał mecenasa w osobie Stanisława Piaseckiego i w „Prosto z Mostu" mógł publikować co tydzień dowolną liczbę tekstów, i po wojnie, kiedy taką opieką otoczył go „Przekrój". Oczywiście to był interes wzajemny, ale w numerze potrafiły się znaleźć trzy jego wiersze, nierzadko trudne, jakiś groteskowy „List z fiołkiem", Teatrzyk Zielona Gęś, niekiedy coś jeszcze. Dziś jest to nie do pomyślenia, a tymczasem „Przekrój" się na to zdecydował. W tych dwóch momentach życia miał naprawdę spore pieniądze.

Dla człowieka, który przed wojną – bywało – borykał się z biedą, świat, w którym nagle dostaje się od władz willę w Szczecinie, miał swoje uroki. Niezależnie od faktu, że miejsca w tym poniemieckim mieście nie zagrzał.

Takim komunistycznym odpowiednikiem Oblęgorka była raczej willa przy ul. Jarosława Dąbrowskiego w Warszawie dla Władysława Broniewskiego. Willa w Szczecinie nie była na zawsze; wyprowadzając się z miasta, musiał ją zwrócić. Literaci mieli za zadanie symbolicznie przyłączyć Ziemie Odzyskane do Polski. To dlatego Gałczyński, Andrzejewski, Woroszylski znaleźli się w Szczecinie, a Żukrowski, Dygat czy Dąbrowska we Wrocławiu.

Warszawski adres Gałczyńskiego także był znaczący – Aleja Róż. Ale w twórczości poety istotne miejsce odegrało jeszcze jedno miasto – Wilno.

Wyjechał tam w roku 1934, podejmując pracę w wileńskiej rozgłośni Polskiego Radia. Świetnie się w tym raczkującym, prowadzonym przez Witolda Hulewicza radiu odnalazł. Doskonale mieścił się w ramach przyznawanych mu trzech czy pięciu minut audycji, a taka dyscyplina jest w radiu bardzo ważna.

Ale do Wilna przybył głównie dlatego, że Warszawa stała się dla niego za droga. W mieście nad Wilią życie było tańsze, do tego poczuł się tam literacką gwiazdą pierwszej wielkości. Ciągle mam nadzieję, że wypłyną jeszcze jego radiowe teksty pisane w Wilnie, inne zresztą też, bo powstało ich wtedy multum.

Istnieje jeszcze jedno bardzo ważne dla pisarstwa Gałczyńskiego miejsce – leśniczówka Pranie, gdzie stworzył m.in. poematy: „Niobe", „Wit Stwosz" i „Kronikę olsztyńską". Jak się tam znalazł i dlaczego?

Po raz pierwszy nad Jezioro Nidzkie przyjechał latem 1950 r. Namówił go do tego Ziemowit Fedecki, z którym się zaprzyjaźnił, puszczając w niepamięć krytykę, którą wcześniej opublikował ten autor w „Nowinach Literackich". To Fedecki odkrył przed Gałczyńskim Mazury, zarekomendował mu je, ale ostatecznego wyboru dokonała Natalia, która – jak myślę – kierowała się pragnieniem wyrwania męża z Warszawy, z jego środowiska, pozbawienia pokus. Nie bez znaczenia

eprasa.pl 944c8c46b0

był też fakt oddalenia Prania od najbliższej knajpy w Rucianem-Nidzie, dokąd musiałby płynąć łódką lub iść wiele kilometrów nabrzeżem. Dostrzegła szansę, którą poecie i jego twórczości dawało to miejsce.

Niektóre, zwykle te słusznie zapomniane, utwory Gałczyńskiego wymagają dodatkowych objaśnień. W „Szpilkach" wydrukował np. wiersz zachęcający do hodowli konopi. Nie chodziło – jak można by sądzić – o palenie marihuany, lecz o sporządzenie przez prządki odpowiednich powrozów, na których po wojnie w Korei zawisną amerykańscy imperialiści...

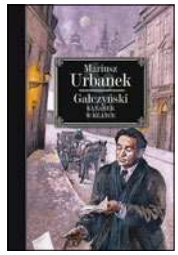
Przyznaję, też bawił mnie ten wiersz. To były te serwituty, ta cena, którą Gałczyński płacił za to, żeby móc być Gałczyńskim, poetą, którego wiele osób kochało.

W pamięci współczesnych pozostał jako wyborny interpretator, skądinąd nie tylko swoich, tekstów. Po jego śmierci świetnie utwory Gałczyńskiego recytował Wojciech Siemion, teraz Andrzej Mastalerz uczynił to samo w nagraniu dla muzeum w Praniu. A czy pana zdaniem byłby Gałczyński dobrym aktorem?

Z oczywistych powodów nie widziałem go na scenie, ale jestem przekonany, że tak. Etiudy aktorskie odgrywał w Kabarecie Siedem Kotów. Obywał się bez rekwizytów, korzystał tylko z jednego, mianowicie wchodził z książką, wszystko jedno jaką, otwierał ją, przerzucał kartki, jakby szukając wiersza, który chciał zaprezentować widzom, a następnie deklamował go... z pamięci. Irena Kwiatkowska, która w Siedmiu Kotach stała się jedną z największych polskich aktorek, twierdziła, że był on jedyny i niepowtarzalny.

Przypomniał pan w swojej książce sławną, a dziś nieco już zapomnianą, „Sierotkę", którą Irena Kwiatkowska wbijała w krzesła kabaretową publiczność:

Isia ma tatusia,
Busia – mamusię,
Cicia – ciocię, Zosia – stryja,
ja jestem niczyja:
biedna sierotka,
maskotka, idiotka,
tata zginął, mama w Kopenhadze,
cóż ja na to poradzę.



MARIUSZ URBANEK „GAŁCZYŃSKI. KANAREK W KLATCE" WYDAWNICTWO ISKRY 2026

Ten wiersz był na początku nie tylko krótszy, lecz także pozbawiony dramaturgii. Aktorka powiedziała o tym Gałczyńskiemu, a ten go napisał na nowo i powstała dramatyczna opowieść o uwiedzionej i porzuconej dziewczynie, którą Kwiatkowska wykonała genialnie.

Najgorszy powojenny okres w życiu Gałczyńskiego zaczął się w czerwcu 1950 r., gdy na zjeździe Związku Literatów Polskich niemal wszechmocny wówczas Adam Ważyk zażądał od niego, by „ukręcił łeb rozwydrzonemu kanarkowi swojej poezji", potępiając autora za stosowanie „burżuazyjnej poetyki z czasów imperializmu". Przez półtora roku zapanowała wokół niego zmowa milczenia. Nawet ci, na których miał prawo liczyć, jak choćby Eile, odwrócili się wtedy od niego.

Anatemę tę zdjął z niego dopiero... Jerzy Putrament.

To akurat nas nie dziwi. Był pisarzem partyjnym, ale prozę potrafił pisać, a na literaturze się znał. Znał także Gałczyńskiego, z przedwojennego Wilna, gdzie studiował i stawiał pierwsze kroki literackie, podobnie jak jego uniwersytecki kolega Czesław Miłosz. Putrament podkreślał, że od tego wybitnego poety niczego się nie uzyska zakazami i nakazami, a on sam z siebie toruje drogę nowej władzy, przekonując Polaków do socjalizmu. À propos, czy znalazł pan potwierdzenie słów Oli Watowej, jakoby na biurku poety znajdowała się fotografia Stalina?

Nie. Ola nie lubiła Gałczyńskiego i dała temu wyraz, choć jej mąż, Aleksander Wat, bardzo wysoko cenił jego poezję, a po śmierci pokajał się za krytykę. Na zdjęciach z mieszkania w Alei Róż, które są znane, nie ma takiej fotografii.

A czy sugestia Miłosza, jakoby Gałczyński popełnił samobójstwo, znajduje uzasadnienie?

To Alfons Karny, wykonując maskę pośmiertną poety, miał widzieć na jego szyi ślad po zadzierzgnięciu sznura, za pomocą którego miałby się powiesić. Nikt tego nie potwierdził, a poetka Julia Hartwig, indagowana w tej sprawie, powiedziała, że gdyby tylko cokolwiek było na rzeczy, Warszawka musiałaby mówić na ten temat czy choćby plotkować. Nic takiego się nie zdarzyło.

Pogrzeb zmarłego 6 grudnia 1953 r. poety był smutną uroczystością, jakby komuś zależało na umniejszeniu straty, która się dokonała.

Natalia Gałczyńska wymarzyła sobie, że trumna zostanie wystawiona w Pałacu Prymasowskim, pogrzeb będzie państwowy, w powązkowskiej Alei Zasłużonych, z asystą wojskową i kwartetem smyczkowym. Kochana przez poetę „Aria na strunie G" Bacha rzeczywiście zabrzmiała nad grobem. Tyle że zagrał ją syn dozorcy kamienicy, w której mieszkali Gałczyńscy i pomagali chłopcu w nauce muzyki. A trumnę wystawiono w ceglanej budzie na końcu cmentarza. Wszystko to razem przypominało, jeśli można tak się wyrazić, wyrób funeralnopodobny.

A przecież od śmierci Stalina minęło już dziewięć miesięcy.

Ale stalinizm w rządzonej przez Bieruta Polsce miał się wciąż bardzo dobrze. Ci, którzy służyli najgorliwiej, w przeciwieństwie do Gałczyńskiego dostali od Pana Boga szansę, by uderzyć się w piersi, przejrzeć na oczy, powiedzieć, że nie rozumieją, jak się to wszystko stało, że byli w domu wariatów itd. A socrealizmem się brzydzą.

Lecz to właśnie w socrealistycznych z ducha „Pieśniach" Gałczyńskiego znalazły się te słowa, tak pięknie podane przez Marka Grechutę:

Ile razem dróg przebytych?
Ile ścieżek przedeptanych?
Ile deszczów, ile śniegów
wiszących nad latarniami?
Ile listów, ile rozstań,
ciężkich godzin w miastach wielu?
I znów upór, żeby powstać
i znów iść, i dojść do celu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Mariusz Urbanek *– pisarz, dziennikarz, redaktor naczelny „Odry", autor kilkunastu książek, m.in. biografii Władysława Broniewskiego, Jana Brzechwy, Juliana Tuwima, Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego, Leopolda Tyrmanda, Rudolfa Weigla, Mariana Eilego, Jerzego Waldorffa, Kornela Makuszyńskiego i najnowszej – „Konstanty Ildefons Gałczyński. Kanarek w klatce".*

eprasa.pl 944c8c46b0



Filip Memches

Sednem modernizmu w kulturze nie było pochylanie się nad ciężką dolą klasy robotniczej czy innych uciśnionych grup społecznych, lecz wynoszenie na piedestał wybitnych jednostek odrzucających konwencje społeczne oraz gardzących filisterstwem i pospolitością



Pietrangelo Buttafuoco podczas spotkania z dziennikarzami poprzedzającego otwarcie 61. Biennale Sztuki w Wenecji, 5 maja 2026 r.

FOT. ANDREA MEROLA/ANSA/EPA/PAP

Wenecki bunt muzułmanina

Stało się. 21 lipca br. Komisja Europejska zakomunikowała o zakończeniu umowy grantowej o wartości 2 mln euro, zawartej z organizatorami Biennale Sztuki w Wenecji. Decyzję w tej sprawie podjęła Europejska Agencja Wykonawcza do spraw Edukacji i Kultury po dokonaniu oceny prawnej i na podstawie rekomendacji Unii Europejskiej. Powód? Na tegoroczną wenecką imprezę zaproszeni zostali artyści z Rosji, co zresztą spotkało się z dezaprobatą prawicowego gabinetu rządzącego państwem, w którym odbywa się wydarzenie.

Stanowisko Komisji Europejskiej wyłożył jej rzecznik Guillaume Mercier i przekazał je Polskiej Agencji Prasowej w likwidacji. Brzmi ono tak: „Wydarzenia kulturalne finansowane ze środków europejskich podatników powinny chronić wartości demokratyczne, wspierać otwarty dialog, różnorodność i wolność wypowiedzi. Są to wartości, które w Rosji nie są dziś respektowane".

Podłoże konfliktu między organizatorami Biennale a KE wydaje się oczywiste. A jednak jest czymś zastanawiającym, że reprezentanci Rosji zostali w roku bieżącym zaproszeni do Wenecji. Po pełnoskalowej napaści Rosji na Ukrainę wojna między tymi państwami stała się jednym z ważnych tematów podejmowanych przez artystów uczestniczących w Biennale w latach 2022 i 2024. Tyle że dramatyczne doświadczenia narodu ukraińskiego okazały się pożywką dla lewicowych i progresywnych harcowników – można było konflikt rosyjsko-ukraiński interpretować w kategoriach oporu stawianego przez „wyklęty lud ziemi" neokolonializmowi reakcyjnego imperium. Coś się jednak skończyło, coś pękło.

Zanim spróbuję dociec, dlaczego tabu zostało naruszone i na tegorocznym Biennale pojawili się artyści z Rosji, przywołam rozmowę, którą przeprowadziłem pięć lat temu z Alexandrem Melamidem, amerykańskim malarzem i performerem (skądinąd mającym żydowskie korzenie imigrantem ze Związku Sowieckiego). Oznajmił on wówczas, że cała rozpowszechniona wiedza o historii kultury jest jednym wielkim kłamstwem. Apelował o to, żeby nie ufać książkom z zakresu dziejów sztuki i myśleć samodzielnie.

PODPORZĄDKOWANIE STALINOWI

Rozmowa z Melamidem przypomniała mi się w związku z tegorocznym Biennale, ale nie tylko. Chcę tu wspomnieć o trwającej od 26 czerwca br. wystawie „Jesteś w sercu zmian. Surrealizm i antyfaszyzm" w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Jej ideologiczna wymowa nie pozostawia złudzeń – zresztą czego można byłoby się spodziewać po przedsięwzięciu sławetnego białego klocka przy ul. Marszałkowskiej, będącego sztandarową instytucją kultury prowadzoną przez lewicowych radykałów za pieniądze z budżetu stołecznego ratusza?

Na tablicy otwierającej warszawską wystawę czytamy: „Surrealiści organizowali się przeciwko faszystom, walczyli w hiszpańskiej wojnie domowej, dołączali do ruchu oporu podczas drugiej wojny światowej. Uznani przez nazistów za »zdegenerowanych«, mierzyli się z prześladowaniami lub ginęli w obozach, inni emigrowali z Europy. Emancypacyjne i wolnościowe wątki można odnaleźć w biografiach poszczególnych artystek i artystów, w ich wyborach etycznych, sprzeciwie wobec przemocy i dyktatury, pochwale różnorodności oraz w walce o prawo do odmienności". Mamy tu zatem do czynienia z romantyzacją lewicowej walki o naprawę świata – nawet takiej, którą prowadzono w podporządkowaniu totalitarnemu państwu Józefa Stalina (bo tak było w przypadku uczestnictwa lewicy po stronie republiki w hiszpańskiej wojnie domowej).

Tymczasem wystawa w MSN – zgodnie ze swoim przesłaniem – abstrahuje od tego, że surrealizm i bliskie mu zjawiska

eprasa.pl 944c8c46b0

w sztuce – jak dadaizm, futuryzm, kubizm – miewały nie tylko oblicze lewicowe. Wystarczy wspomnieć choćby o takim hiszpańskim gigancie XX-wiecznego malarstwa, jak Salvador Dalí. Był on zwolennikiem dyktatury, którą w jego ojczyźnie ustanowił Francisco Franco. Miał poglądy monarchistyczne i konserwatywne. Tak więc wystawa w warszawskiej placówce to jeden z przykładów zawłaszczania awangardy w sztuce przez radykalną lewicę.

INACZEJ NIŻ MELONI

Wracając do tegorocznego Biennale – nie byłoby otwarcia drzwi dla reprezentantów Rosji, gdyby nie człowiek, który jest szefem weneckiej imprezy. To Pietrangelo Buttafuoco. W roku 2023 został on mianowany przez prawicowy rząd Giorgii Meloni na stanowisko prezesa Fundacji Biennale. Nie jest więc niespodzianką, że ten włoski dziennikarz i publicysta wywodzi się z tego samego środowiska politycznego, z którego wyszła premier Włoch. Obydwoje byli bowiem aktywistami Włoskiego Ruchu Społecznego (MSI), działającego w latach 1946–1995 ugrupowania postfaszystowskiego. W latach 90. jego działacze jednak weszli do włoskiego mainstreamu politycznego, ponieważ rozpoczęli ewolucję w kierunku konserwatyzmu cechującego amerykańską Partię Republikańską oraz torysów, czego pokłosie stanowi linia programowa Braci Włochów – formacji, na której czele stoi Meloni.

A jednak prezes Fundacji Biennale i szefowa włoskiego rządu się poróżnili. Dlaczego? Meloni podnosi problem zagrożenia dla Włoch ze strony imigracji z krajów muzułmańskich oraz wdrażania modelu multikulti, a zarazem optuje za umacnianiem więzi transatlantyckich (choć ostatnio krytykuje prezydenta USA Donalda Trumpa za jego politykę wobec Europy) i wspieraniem Ukrainy w wojnie z Rosją. Tymczasem Buttafuoco nie ma nic wspólnego z anglosaskim konserwatyzmem, ale intrygujące jawi się to, dlaczego tak jest. Otóż prezes Fundacji Biennale przeszedł na islam szyicki, czemu dał wyraz, przybierając imię Dżafar z przydomkiem Sycylijczyk (Giafar al-Siqilli). W ten sposób zamanifestował uznanie dla średniowiecznego okresu w historii Sycylii. Od IX do XI w. wyspa była bowiem pod władaniem Arabów, którzy doprowadzili do jej rozkwitu kulturalnego. Jednocześnie szef weneckiej imprezy jest bardzo daleki od wszelkiej lewicowości.

PÓJŚĆ POD PRĄD

Buttafuoco podąża śladami René Guénona, żyjącego na przełomie wieków XIX i XX francuskiego myśliciela, który też wybrał islam, tyle że sunnicki, a konkretnie sufizm – mistyczny prąd w łonie tego nurtu religii Mahometa. Zamieszkał zaś w Egipcie, gdzie – już jako Abd al-Wahid Jahja – dożył swoich dni. Guénon bowiem doszedł do wniosku, że człowiek Zachodu szukając śladów prawdziwej mądrości na rodzimych ścieżkach duchowych, niczego nie znajdzie, a zatem pozostaje mu zwrócić się ku temu, co jest na Wschodzie. Francuski myśliciel głosił tezę o tym, że cywilizacja zachodnia się degraduje pod naporem egalitarnych i materialistycznych tendencji rozkładowych w polityce, kulturze, obyczajach, a proces ten nabrał rozpędu w epoce renesansu i reformacji.

Innym ważnym punktem odniesienia dla Dżafara Sycylijczyka jest postać kilkanaście lat młodszego od Guénona włoskiego myśliciela Juliusa Evoli. Ten ekscentryk pozujący na arystokratę wychwalał elitarno-hierarchiczne porządki społeczne dawnej Europy. Uważał, że zostały z niej tylko ruiny. Przyczyn jej upadku upatrywał w schlebianiu miernotom i słabeuszom. Wzorem dla niego był antyczny Rzym jako pogańskie imperium, które swoją wielkość zawdzięczało ludziom kierującym się takimi cnotami, jak odwaga, obowiązek, dyscyplina. Evola żywił nadzieję, że dyktatura Benita Mussoliniego nawiąże do tej starożytnej chwalebnej przeszłości. Dlatego popierał reżim faszystowski, choć z zastrzeżeniami, bo zarazem atakował go z prawej flanki, zarzucając mu, że hołduje niskim instynktom mas.

Warto odnotować, że Evola w młodości zajmował się malarstwem. Związany był najpierw z futuryzmem, a potem z dadaizmem. Potem jednak odwrócił się od awangardy artystycznej i porzucił sztukę. Niemniej na tę woltę Evoli można spojrzeć jako na paradoksalną konsekwencję tego, co robił, zanim ją wykonał.

Prezes Fundacji Biennale Pietrangelo Buttafuoco przeszedł na islam szyicki, czemu dał wyraz, przybierając imię Dżafar z przydomkiem Sycylijczyk (Giafar al-Siqilli)

Młodzieńcze zainteresowania włoskiego myśliciela wyrastały z modernizmu, który na początku XX stulecia panował w kulturze Zachodu. Owo zjawisko jest kojarzone z buntem przeciw temu, co stare, a więc i z lewicowymi dążeniami do likwidacji wszelkiego wyzysku. Tyle że sednem modernizmu nie było pochylanie się nad ciężką dolą klasy robotniczej czy innych uciśnionych grup społecznych, lecz wynoszenie na piedestał – z inspiracji filozofią Friedricha Nietzschego – wybitnych jednostek odrzucających konwencje społeczne oraz gardzących filisterstwem i pospolitością. Do takich osób zaliczano artystów przecierających nowe szlaki w sztuce. A lewica chciała mieć ich po swojej stronie. Zdobywając więc na przestrzeni XX w. monopol w kulturze, zaczęła awangardę artystyczną ideologicznie upupiać, co widać na wystawie w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

Znamienne, że w narracjach Guénona i Evoli szwarccharakterem jest Ameryka. Postrzegali oni ją jako państwo, w którym upadek Zachodu rzuca się w sposób szczególny, ponieważ USA stanowią wyjałowiony duchowo produkt burżuazyjnej nowoczesności, a ich filarami są kult pieniądza (kapitalizm) i demokracja.

Czyżby zatem Pietrangelo Buttafuoco przyczyniając się do zaproszenia artystów z Rosji na tegoroczne Biennale, zrobił ukłon w stronę rywalizujących ze Stanami Zjednoczonymi państw Globalnego Południa, a tym samym zademonstrował antyamerykanizm w duchu Guénona i Evoli? Być może tak właśnie jest.

Ale przede wszystkim trzeba wziąć pod uwagę to, że Dżafar Sycylijczyk – jak na prawicowego spadkobiercę modernizmu przystało – poszedł pod prąd politycznemu establishmentowi UE. Ten bowiem z popierania Ukrainy w wojnie z Rosją uczynił miarę filistersko pojętej postępowości. To zaś znalazło swoje odzwierciedlenie w zacytowanych w niniejszym tekście okrągłych słowach rzecznika Komisji Europejskiej o konieczności ochrony „wartości demokratycznych".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 944c8c46b0



Perły z lamusa

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Piotr Gociek

Gdzie znaleźć dobre filmy sprzed lat? Nawet w Netflixie – jeśli się wie, czego szukać. Zatem podpowiadam tytuły siedmiu najlepszych

Będzie to lista chaotyczna i wyrywkowa, ale na tym polega kłopot z tropieniem klasyki w serwisach streamingowych. Rządzą nimi nieubłagane prawa – wielcy kinowi producenci i dystrybutorzy zwykle dysponują własnymi serwisami streamingowymi, więc pilnie strzegą wyłączności w kwestii dystrybucji swoich najcenniejszych archiwalnych zbiorów. Archiwa Warner Bros. znajdują się w HBO Max, wytwórnia MGM kupiona została przez Amazona, Disney dystrybuuje własne produkcje poprzez Disney+ itd. Czasem licencje na pojedyncze tytuły lub serie trafiają do konkurencji.

Mój subiektywny przegląd ograniczam do serwisu Netflix – wydanie „Do Rzeczy" nie jest z gumy, a Netflix jest w Polsce najpopularniejszy. Chce pokazać, że i tam, pomiędzy narzekaniami na poziom nowości, znaleźć można znakomite tytuły sprzed lat. Oczywiście licencje kupowane są na ściśle określony czas, po którym prawa do filmu wracają do właściciela. I tak np. jeszcze parę sezonów temu można było w Netflixie oglądać całą sagę „Ojciec chrzestny" – a teraz jej już nie ma. Gdy zaczynałem zbierać materiały do tego tekstu, uwzględniłem film Sofii Coppoli „Między słowami", ale licencja netflixowa wygasła 28 lipca i filmu już tam nie ma.

Zatem spieszmy się oglądać klasykę – tak szybko zmienia miejsce pobytu!

„LAWRENCE Z ARABII" (1962"), reż. David Lean

Zamiast oglądać „Odyseję" Nolana, wróćcie do mistrza kina epickiego. „Lawrence z Arabii" to dzieło doskonałe, bez którego nie byłoby później ani „Gwiezdnych wojen", ani „Diuny". Zapierające dech w piersiach kadry, niesamowita muzyka (Maurice Jarre!), wybitni aktorzy: Peter O'Toole jako T.E. Lawrence oraz Alec Guinness obsadzony w sposób, który dziś zostałby uznany za niepoprawny politycznie i zakazany, to znaczy w roli księcia Fajsala. Oglądanie tego filmu to czysta przyjemność, ale seans przyniesie też zadziwiająco aktualne przesłanie. Takie, z jakim identyfikować mogą się i Polacy, i Kurdowie, i inne nacje walczące przez długie dekady o swoje istnienie i własną państwowość. Gdy trzeba przelewać krew przeciw potężnemu okupantowi, liczyć można na pomoc ludzi

eprasa.pl 944c8c46b0

szlachetnych, jak Lawrence. Potem, gdy nadchodzi czas konsumowania owoców wojny, o wszystkim decydują biurokraci w służbie własnych imperiów – i we własnym interesie. A bojownicy o wolność zostają z kwitkiem.

„NA NABRZEŻACH" (1954), reż. Elia Kazan

Największa spośród wczesnych ról Marlona Brando, ciekawsza moim zdaniem od tego, co pokazał w „Tramwaju zwanym pożądaniem". Kryminalna opowieść rozgrywająca się w czasach, gdy mafijni wise guys oraz skorumpowani związkowcy dopiero budowali swoje imperia. Niczym w antycznej tragedii postacie skazane są na konflikt i na porażkę. Bo wobec woli bogów cóż może uczciwa jednostka? A nowymi bogami amerykańskiego snu są ci, którzy operują poza granicami prawa. Plus znakomita rola Karla Maldena jako księdza Barry'ego – duchownego, który walczy nie tylko o dusze swych owieczek, lecz także



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

o zwykłą, ludzką sprawiedliwość. Dwanaście nominacji, osiem Oscarów – tego Oscara Marlon Brando jeszcze odebrał – to był rzeczywiście film roku i jeden z najlepszych filmów dekady.

„LE DEPART" (1967), reż. Jerzy Skolimowski

Jak często zdarza się, że film polskiego reżysera wygrywa festiwal filmowy w Berlinie? No właśnie. A jednym z nielicznych szczęśliwców jest Jerzy Skolimowski, bo jego „Le Depart", wyprodukowany w Belgii nagrodzony został nagrodą Złotego Niedźwiedzia. Mało kto o tym nad Wisłą pamięta, a przecież był to ogromny sukces, odniesiony zresztą niemal zaraz po tym, jak Skolimowskiego z PRL wygnano, nie mogąc mu wybaczyć politycznej, antystalinowskiej kpiny



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

w filmie „Ręce do góry". Ten ostatni film trafił do polskich kin dopiero na fali odwilży w 1981 r., tymczasem „Le Depart" wyjechał z Berlina z dwoma nagrodami (bo jeszcze międzynarodowej krytyki filmowej). Pierwsze, co robi wrażenie, to znakomita muzyka Krzysztofa Komedy, drugą szybko dostrzegą już raczej znawcy filmu: wszak grający główną rolę aktor Jean-Pierre Léaud to jeden z ulubionych w owym czasie aktorów François Truffauta. Ta nibyslapstickowa komedia o pomocniku fryzjera ogarniętym obsesją wyścigów samochodowych łączy Nową Falę francuską z polską, a humor z kolei przywodzi na myśl szkołę czeską i wczesne filmy Formana. To jeden z najlepszych filmów lat 60. wyreżyserowanych przez Polaka. A że za granicą i za cudze fundusze? Cóż, miejcie pretensje do towarzysza Gomułki i do interweniującej w sprawie Skolimowskiego ambasady sowieckiej.

„OKRUCHY DNIA" (1993), reż. James Ivory

Mistrzowska adaptacja powieści Kazuo Ishiguro z ikoniczną, chyba najbardziej zniuansowaną w karierze rolą Anthony'ego Hopkinsa. Jego James Stevens, majordomus możnego brytyjskiego lorda, to jedna z najciekawszych postaci w dzie-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

jach kina brytyjskiego. Symbol triumfu (wierności zasadom, żelaznej konsekwencji, siły woli, podołania obowiązkom) i zarazem symbol przegranej (życia, które płynie gdzieś obok, niepostrzeżenie przecieka przez palce, które po prostu jest gdzie indziej). Cała obsada jest tu zachwycająca: Emma Thompson, James Fox, Hugh Grant – długo by wymieniać. Żal, że żadna z ośmiu nominacji do Oscara nie zamieniła się w statuetkę, ale cóż zrobić – wygrał wtedy film słuszny, czyli „Lista Schindlera" Stevena Spielberga.

Dla miłośników ekranizacji eleganckiej prozy Ishiguro – do kin za kilka dni wchodzi film na podstawie innej z jego powieści, mianowicie „Pejzaż w kolorze sepii" w reżyserii Kei Ishikawy. A jesienią trafi na nasze ekrany także film według ostatniej książki noblisty, „Klara i słońce" w reżyserii Taiki Waititiego.

„EASY RIDER" (1969), reż. Denis Hopper



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Film, który wyważył w Hollywood drzwi dla nowej generacji młodych filmowców i sprawił, że młoda publiczność powróciła do kin. Wcześniej narastały zmęczenie i zniechęcenie wystawnymi produkcjami systemu studyjnego z poprzedniej epoki. Ani kino sandałowe, ani musicale czy westerny nie budziły już zachwytu dzieciaków wychowanych na Stonesach, Beatlesach i The Doors. Tymczasem chropawy, prosty, częściowo improwizowany film, który pospołu napisali i nakręcili Denis Hopper oraz Peter Fonda, był tym, który nowa publiczność pokochała. A dalej już poszło: pacjenci przechwycili klucze do psychiatryka, to znaczy za wielkie pieniądze i za masową wyobraźnię Amerykanów zaczęli odpowiadać outsiderzy: Coppola, Scorsese, Bogdanovich, De Palma, Lucas, Friednik i inni.

eprasa.pl 944c8c46b0

Jednocześnie „Easy Rider" (zostańmy przy oryginalnym tytule, zamiast koszmarnie brzmiącego polskiego „Swobodny jeździec" – swobodne mogą być klejnoty pod zbyt luźnymi szortami) był filmem, który gorzko podsumowywał epokę dzieci kwiatów, podobnie jak słynny tom reportaży Joan Didion „Pełznąc ku Betlejem". „Easy Rider" trafił do kin niespełna pół roku przed fatalnym koncertem w Altamont i orgią przemocy wywołaną przez Hell's Angels. Jeden z bohaterów filmu Hoppera podsumowuje marzenie o wolności i wielkiej zmianie krótkim zdaniem: „We blew it". Spieprzyliśmy to.

„NÓŻ W WODZIE" (1962), reż. Roman Polański

Wracamy do towarzysza Gomułki, jego jedynie słusznych poglądów na kulturę socjalistyczną oraz do lat 60. w PRL. „Nóż w wodzie", kinowy debiut Romana Polańskiego, to jednocześnie chyba jego najlepszy film (można się spierać, czy ten czy może „Chinatown" – w każdym razie jeden z tych dwóch). Natomiast nie byłoby tego filmu, gdyby nie scenariusz Jerzego Skolimowskiego. Panowie zresztą do dziś trzymają się razem. Prosty, a zarazem perfekcyjnie napisany, zagrany i wyreżyserowany dramat psychologiczny przyniósł Polańskiemu nominację do Oscara i ściągnął na głowę gromy partyjnej wierchuszki. I kilka lat przed Skolimowskim reżyser opuścić musiał kraj, który beztrosko pozbywał się swoich najlepszych filmowców. Tu także mamy muzykę Krzysztofa Komedy. I przeświadczenie, że obcujemy z dziełem w historii polskiej kinematografii wyjątkowym, koncertem zagranym na trzy osoby (Leon Niemczyk, Zygmunt Malanowicz i aktorka amatorka Jolanta Umecka).



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„RZEKA TAJEMNIC" (2003), reż. Clint Eastwood



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Rzadko filmy Clinta Eastwooda trafiają się poza serwisem HBO Max, bo jako reżyser wierny był przez długie dekady wytwórni Warner Bros. Ale jakimś zrządzeniem losu dwa z jego najlepszych filmów znaleźć można w Netflixie. To „Snajper" oraz „Rzeka tajemnic". Ten drugi film to obraz wstrząsający, rewelacyjnie zagrany i doskonale przez Eastwooda opowiedziany. To także zapowiedź tematu, który będzie pojawiał się w jego dziełach przez kolejne ćwierćwiecze. Pytania, czy amerykański system jeszcze działa i jest w stanie piętnować i karać nieprawość.

Netflix nabył niedawno prawa do pokazywania sporej liczby filmów polskich. To nie tylko popularne komedie i kryminały

Rzecz wywiedziona została z powieści Dennisa Lehane'a pod tym samym tytułem. Gdybyście szukali wzorcowego thrillera pierwszej dekady XXI w., to „Rzeka tajemnica" nadaje się jak znalazł (podobnie jak „Milczenie owiec" jest wzorcowym thrillerem lat 90. XX w.). No i ta obsada: Sean Penn, Kevin Bacon, Tim Robbins, Laurence Fishburne. Penn i Robbins zostali zresztą za swoje role nagrodzeni Oscarami.

JAPOŃCZYCY, SZWEDZI, POLACY

Szczęśliwą siódemkę subiektywnie dobrałem i zarekomendowałem powyżej, ale oddaje ona jedynie część radości, jaką przyniosło mi szperanie w archiwum Netflixa i szukanie perełek, których zwykle algorytmy nam nie podpowiadają. O reszcie skrótowo, ale warto. Bo czekają i „Zakładnik" Michaela Manna, i „Podziemny krąg" Davida Finchera, i „Ucieczka z Alcatraz" Dona Siegela. A w trakcie pisania tego tekstu odkryłem, że właśnie wjeżdża do serwisu kultowe kino akcji sprzed lat, czyli „Działa Navarony".

Miłośnicy kina włoskiego znajdą trochę komedii z lat 60., fani kina szwedzkiego zwrócić powinni uwagę na filmy Mauritza Stillera (to on odkrył Gretę Garbo), wielkiego mistrza kina niemego oraz na jego wielkiego rywala Gustafa Molandera. Ich czarno-białe nieme produkcje też znalazły się w Netflixie. Podobnie jak wczesny film mistrza kina metafizycznego, Duńczyka Carla Theodora Meyera „Wdowa po pastorze" (1920).

Swego czasu wielkim wydarzeniem promowanym przez serwis było wprowadzenie do biblioteki animowanych filmów słynnego japońskiego Studia Ghibli. Są dostępne do dziś: „Księżniczka Mononoke", „Wiatr się wzmaga" i wiele innych – po prostu klasyka, której nie można ominąć. Znakomitym uzupełnieniem tej kolekcji jest zaś dwugodzinny dokument „Chłopiec i czapla", o kulisach powstania pożegnalnego filmu Hayao Miyazakiego pod tym samym tytułem. Dziełem tym Miyazaki, główna siła twórcza napędzająca Ghibli, żegna się z kinem; uważa zresztą ten film za swoje opus magnum.

No i znów polskie podwórko: Netflix nabył niedawno prawa do pokazywania sporej liczby filmów polskich. Algorytmy podpowiadają zwykle użytkownikom to, co cieszy się w Internecie sławą dzieł kultowych. Zatem komedie Stanisława Barei, zatem oba „Vabanki" Juliusza Machulskiego oraz „Psy" Władysława Pasikowskiego. Ale wraz z popularnymi komediami i kryminałami w tej partii dóbr kinowej kultury polskiej nabyto też licencję na polską klasykę. Zatem: „Faraon" Jerzego Kawalerowicza, „Ziemia obiecana" Andrzeja Wajdy, „Noce i dnie" Andrzeja Barańskiego.

Z tej ostatniej partii tytułów w sumie cieszę się najbardziej: wolę je oglądać w ramach abonamentu Netflixa, niż nabijając odsłony reżimowej TVP. Czego i państwu życzę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 944c8c46b0



Mateusz Drozdowski podczas próby medialnej przedstawienia „Król Maciuś Pierwszy" Janusza Korczaka w adaptacji i reżyserii Tomasza Mana FOT. PIOTR POLAK/PAP

Pan minister tańczy



Krzysztof Masłoń

Co to będzie, gdy słoneczko zajdzie za daleko? – zastanawiał się bez mała pół wieku temu kabaret Tey i trzeba stwierdzić, że pytanie to znów jest aktualne w odniesieniu – oczywiście – do miłościwie oświetlającego nasze doczesne bytowanie Słońca Peru i jego budzącego zrozumiały zachwyt gabinetu skrzącego się gwiazdami w rodzaju Nowackiej Barbary czy Cienkowskiej Marty.

Prześmiewcy z Poznania sugerowali, że kiedy to słońce zgaśnie, „gdy rano nie wstanie, albo będzie koniec świata, albo zmartwychwstanie". A fakt ten „wiernych sobie pozasmuca", co wydaje się oczywiste. Ale co stanie się z panteonem polskiej polityki dziś tak wspaniale zarządzających masą upadłościową, której na imię Polska? Bohater książki Janusza Korczaka, niejaki król Maciuś I zwany Maciusiem Reformatorem, skazany po przegranej wojnie na zesłanie na bezludną wyspę dowiaduje się oto, że „prezes ministrów, minister finansów – wyjechali za granicę, dokąd jeszcze przed wojną wysłali pieniądze i kosztowności. Minister wojny założył szkołę tańców. Minister zdrowia ma skład apteczny, sprzedaje mydła pachnące, proszek do zębów. Szlachetny minister sprawiedliwości został kontrolerem tramwajowym, bo po procesie Maciusia nie chce mieć nic do czynienia z sądami. A minister handlu ma owocarnię i do współki z ministrem ceremonii – kinematograf. Najgorzej się powiodło ministrowi oświaty: gazety przed dworcem sprzedaje".

I pomyśleć, że wizję tę roztoczył Janusz Korczak w 1923 r.! Zachęcam rządzących do przypomnienia sobie tej lektury z lat wczesnej młodości czy też, co wydaje mi się bardziej prawdopodobne, do zapoznania się z „Królem Maciusiem I" i „Królem Maciusiem na wyspie bezludnej" – dwuczęściową powieścią bardzo na czasie. Po tym, jak nieprzyjaciel przekroczył granicę, prezes Rady Ministrów ma taką radę: „[…] posłać do nieprzyjaciela notę, że wojny nie chcemy, żeby powiedział wyraźnie, o co mu chodzi. Ja myślę, że on chce tylko dostać kontrybucję […]. Pieniędzy mamy dużo. Co nam szkodzi oddać mu połowę?". To słuszny kierunek, warty przemyślenia i obecnie, gdy prezes Narodowego Banku Polskiego liczy sztaby złota i liczy, i wciąż mu ich przybywa.

Nie należy jednak zapominać, że ten sam Stary Doktor popełnił i inną, swego czasu popularną książkę dla dziatwy, niech będzie, że nieco bardziej rozgarniętej od lwiej części rządu z ministrem finansów Domańskim Andrzejem na czele. Rzecz zatytułowana była proroczo „Bankructwo małego Dżeka".

Takie zbankrutowane państwo też jednak musi jakoś funkcjonować. W „Królu Maciusiu I" „minister handlu prosił rzemieślników, żeby prędko naprawili wszystko, żeby pootwierano sklepy, bo w mieście jest smutno i brzydko.

Minister oświaty obiecywał dzieciom, że ich sejm będzie niezadługo otwarty, jeżeli się wezmą do nauki, jak należy.

A prefekt policji ręczył, że jutro od samego rana policja zajmie swoje posterunki.

– Tymczasem nic więcej nie możemy zrobić – powiedział prezes ministrów. – Musimy zaczekać, aż zacznie funkcjonować telegraf i poczta, wtedy zobaczymy, co się dzieje w całym kraju i za granicą.

– A co się mogło stać? – zapytał się niespokojnie Maciuś […].

– Nie wiemy, co się mogło stać. Nic nie wiemy".

Minister Nowackiej Barbarze kłopoczącej się, co zrobić z Domami Wczasów Dziecięcych, dedykuję tę jedną z najważniejszych reform króla Maciusia I, „żeby zbudować we wszystkich lasach, na górach i nad morzem dużo domów, żeby dzieci biedne mogły wyjeżdżać na całe lato na wieś". Teraz wsi w Polsce już nie ma, ale w ocalałych Domach Wczasów Dziecięcych zdymisjonowana wreszcie (kiedy to nastąpi!) eksministra Cienkowska Marta mogłaby organizować spacery dendrologiczne, do woli przytulając się do co bardziej wybujałych drzew.

Ale najważniejsze zdanie napisane przez Janusza Korczaka znajdziemy niemal na samym początku jego książki o królu dziecku. A wypowiada je osobiście premier: „Jestem prezesem ministrów i głowę mam nie od parady". Chyba nie ma szaleńca, który by wątpił w prawdziwość tych słów.

Powieść, do której przeczytania usilnie namawiam i tego, co ma głowę nie od parady, i jego akolitów, zawiera również porady praktyczne. W tym tę jakże cenną, jak skuteczne ubiegać się o pożyczkę. U kogo, a to już proszę dopowiedzieć sobie samemu. Ministrowie króla Maciusia zapewniali, że chodzi im tylko o to, „żeby jeszcze lepiej gospodarować, żeby mieć jeszcze więcej pieniędzy". Wyliczali też, ile to nowych kolei i miast powstanie za tę kasę, ile zbudują nowych domów i fabryk. A król Maciuś dopisał tylko: „Wasze królewskie mości. Ja was pobiłem i nie wziąłem żadnej kontrybucji, a teraz proszę, żebyście mi pożyczyli pieniędzy / Więc nie bądźcie świniami i pożyczcie".

Odniosło to nawet skutek. Na krótką metę. ©℗

eprasa.pl 944c8c46b0



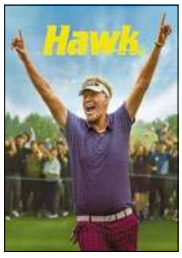
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

W dołku



★★★★★★

SEZON 1
„HAWK” („THE HAWK”)
USA 2026

wyst. Will Ferrell, Molly Shannon, Jimmy Tatro

Każdy chce mieć sukces na miarę „Teda Lasso”, więc komedia sportowa znów stała się gorącym towarem. W Apple TV+ pojawił się w zeszłym roku „Stick” z Owenem Wilsonem, Netflix wydał pieniądze (i nie żałuje) na film „Farciarz Gilmore 2” z Adamem Sandlerem, a teraz zainwestował w komediową serię „Hawk”. Pomysł był oczywisty, trzeba postawić na sprawdzone nazwisko. Gwiazdą przedsięwzięcia jest więc Will Ferrell, który ma w dorobku kilka najbardziej zabawnych i absurdalnych filmów tego typu, choćby „Ostrza chwały”, „Tygrysy murawy” czy „Ricky Bobby – Demon prędkości”.

Ferrell gra tytułowego Hawka, czyli starzejącego się golfistę Lonny’ego Hawkinsa. To gość, który żyje wspomnieniami o chwalebnej przeszłości, podczas gdy dzisiejsza forma skazuje go na rywalizację w drugorzędnych rozgrywkach. Jednocześnie wielką karierę robi jego syn, mający ojca za przegrywa i utracjusza (w sumie słusznie). Na scenie mamy także pyskatą byłą żonę Hawka oraz narzeczoną syna, która gdyby nie nazywała się Natalie, mogłaby się nazywać Anna Lewandowska. Na drugim planie bawią nas David Hornsby i Owen Wilson, w najbliższym otoczeniu Hawka najważniejszą osobą okazuje się natomiast jego nowy pomagier do podawania kijów, czyli niejaka Sam uciekająca przed własnymi kłopotami z przeszłości.

Kto pamięta sportowe komedie z Ferrellem, ten wie, czego można się po nim spodziewać: grubiański, egoistyczny, mocno przesadny w reakcjach, przekonany o własnej nieomylności, ale gdzieś za tym kryjący dobre intencje. Fryzura i bródka czynią go podobnym do króla mody Mugatu, którego grał w „Zoolanderze”. Wspominam o tym wszystkim, bo serial „Hawk” to jednak powtórka z rozrywki, dialogi są zbyt długie i często przefajnowane, tempo siada, a sceny z rozgrywek nie dorównują tym z „Farciarza Gilmore’a”. Jest to więc typowa komedia wakacyjna – opowieść letnia podwójnie, bo zarówno na lato, jak i zwyczajnie letnia, gdy idzie o emocje. Jest w niej jednak jeden koncept ciekawy. To dynamika w relacji ojciec – syn. Młody Lance twierdzi, że los ojca go nie obchodzi i że nie jest mu on do niczego potrzebny. Jednak im Hawkowi będzie wiodło się lepiej, tym gorzej wypadał będzie na polu golfowym jego syn. Ten wątek warto śledzić. ©℗

GRA TYGODNIA: „SPLATOON RAIDERS”

Seria sieciowych strzelanek „Splatoon” ma wielu fanów, ale singlowym graczom nie miała nic do zaoferowania. Najnowszy spin-off zmienia ten stan rzeczy. „Splatoon Raiders” przygotowano z myślą o grze w pojedynkę. Mamy tu ten sam klimat, bronie na atrament i znany z sieciowych strzelanek gameplay, ale mamy też fabularną opowieść. Nie zwala z nóg, jest raczej pretekstem do cieszenia się kolorowaniem świata za pomocą bogatego arsenału i progresowaniem bohatera. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *jRPG, TPP*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch 2*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Nintendo, ConQuest*

eprasa.pl 944c8c46b0

Burza dźwięków

CHILI LIVE YOUR MOVIE



★★★☆☆☆

REŻ. CRAIG BREWER
„SONG SUNG BLUE"
USA 2025

wyst. Hugh Jackman, Kate Hudson, Ella Anderson

Na targach stanowych Wisconsin spotykają się mężczyzna z przeszłością i kobieta po przejściach. Ona fryzjerka, on mechanik samochodowy. Mają dzieci będące pamiątką chybionych małżeństw, pracują dorywczo, jednak ich prawdziwą pasją jest muzyka. Na scenie odżywają. Sami nie komponują ani nie piszą tekstów. Są fanami starającymi się upodobnić do idoli również strojem i fryzurą.

Przyczynki do biografii gwiazd amerykańskiej estrady często goszczą na ekranach. „Song Sung Blue" próbuje oddać sprawiedliwość maluczkim, którym odmawia się miana artystów tylko dlatego, że czerpią inspirację z cudzego repertuaru. A przecież oni też „dostarczają ludziom radości". Główny bohater, Mike Sardina, uważa się za interpretatora, nie za kopistę. Razem z Claire założą tribute band pod groźnie brzmiącą nazwą Lightning & Thunder i staną przed szansą doszlusowania do mainstreamu.

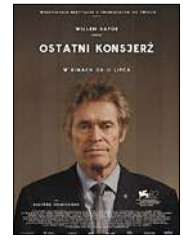
Historia ponoć prawdziwa, w 2008 r. na jej kanwie powstał dokument. Fachowcy z Hollywood zrobili z „Song Sung Blue" bajkę. Teksty piosenek „przypadkowo" komentują kolejne zwroty akcji. Los, zrazu przychylny, drwi sobie okrutnie z nadziei duetu. Piorun i Grom już są w ogródku, witają się z gąską, gdy nagle staje się coś, czego przewidzieć nie potrafiłby nawet Krzysztof Jackowski. Twórcy filmu tak jak Claire wiedzą, że „sentymenty się sprzedają", więc nafaszerowali fabułę scenami dającymi widzom wiele okazji do uśmiechu tudzież ronienia łez rzęsistych. Finał świadczy o niewolniczym przywiązaniu do schematów: protagonista musi wygłosić (w tym wypadku wyśpiewać) spicz tyleż płomienny, co szablonowy.

Szkoda, bo historię outsiderów z Milwaukee dałoby się przedstawić z mniejszym zadęciem. Naśladowca, który przewyższa oryginał, to brzmi naprawdę uroczo. Jeśli Lightning & Thunder nie są nowymi Blues Brothers, winę za ten fakt ponosi ich bożyszcze. Neil Diamond jest kwintesencją amerykańskiego popu: trochę country, szczypta rocka, banalne, aczkolwiek wzorowo zaaranżowane melodie. Jackman znów sprawdza się w musicalu, a Hudson po serii występów w filmach pachnących Złotymi Malinami wróciła na właściwe tory. Terapia grupowa czyni cuda. ©℗

Wiesław Chełminiak

ŻEGNAJ, BRZYDALU

Przemija postać świata. Ta zasada dotyczy również nowoczesności, która przestaje nią być w okamgnieniu. Hotel InterContinental, który od 60 lat szpeci centrum Wiednia, ma zostać zburzony. Zastąpi go budynek bardziej odpowiadający współczesnym gustom i wyobrażeniom na temat luksusu. Akcja wywołuje reakcję: pojawili się zwolennicy wpisania modernistycznego mamuta na listę dziedzictwa kultury. Takie są fakty. Reżyser z Argentyny o swojsko brzmiącym nazwisku dołożył do nich fikcyjną postać kierownika hotelu, który próbuje pokonać fatum. Obsadzony w tej roli Willem Dafoe rapuje i staje na rzęsach. Daremnie, ascetycznej i pozbawionej fabuły elegii o przemijaniu nie uratowaliby nawet Adamczyk z Karolakiem. Jak słusznie prawi stary wiedeński krawiec: „W starciu z rzeczywistością trzymaj ją za płaszcz, nie za gardło". ©℗



KINO

★★★☆☆☆

REŻ. GASTÓN SOLNICKI
„OSTATNI KONSJERŻ"
ARGENTYNA/ AUSTRIA 2025

wyst. Willem Dafoe, Lilly Lindner, Gastón Solnicki



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Moda polska

GDZIE? ***Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi***
KIEDY? ***do maja 2027 r.***

Twórcy wystawy polskiego ubioru XXI w. „Nowa moda polska. Kronika głębokich uczuć", gromadzącej prace ponad 50 projektantów, zrezygnowali z chronologicznego porządkowania trendów na rzecz potraktowania mody jako „narzędzia opowiadania o historii, pamięci i emocjach".

Na łódzkiej wystawie historyczne dziedzictwo zderza się z progresywną ponowoczesnością. Z jednej strony w prezentowanych ubiorach odnajdziemy echa sarmatyzmu, mitologii słowiańskiej, kultury wiejskiej. Z drugiej – owe tradycyjne motywy poddano konfrontacji z nowoczesnymi prądami.

– To pierwsza wystawa w polskim muzealnictwie pokazująca tak obszernie współczesną modę. Ekspozycja prezentuje prace, które zebraliśmy przez ostatnie siedem lat do pierwszej w rodzimych zbiorach kolekcji skupionej na modzie współczesnej. To absolutnie wyjątkowy projekt, bo bardzo istotne jest, aby moda będąca częścią naszego dziedzictwa kulturowego znalazła swoje miejsce w muzeach w Polsce – powiedziała PAP dyrektor CMWŁ Aneta Dalbiak. ©℗





FOT. EDWARD WENDT/CENTR. M. WŁÓKIENNICTWA W ŁODZI

eprasa.pl 944c8c46b0



MOJA PÓŁKA

Profesor Bardini

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Wiesław Gołas uważał, że wszystkich reżyserów potrafił oszukać, choć trochę, tylko jednego Bardiniego – nie: „[…] kiedy chciał mnie do czegoś przekonać, zaczynał od słów: »Ja jestem, Wiesiu, stary Żyd«".

Arnold Mostowicz utrzymywał, że „kiedy Sasza zamierzał poświęcić się teatrowi, jego ojciec, właściciel przyzwoitej jadłodajni w centrum Łodzi, próbował przekonywać go do zrezygnowania z kariery teatralnej, gdyż nie wypada, by mówiono, iż jego syn to purymszpieler, czyli aktor z purymowych szopek". Co nie zmienia faktu, że gdy jego jedyny syn w 1932 r. dostał się na studia do Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Warszawie, był z tego powodu bardzo dumny i wiedziano o tym na całej ulicy Zielonej.

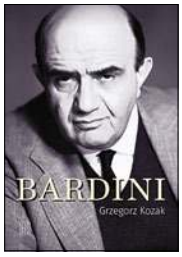
Po latach stał się Aleksander Bardini absolutnym guru środowiska artystycznego, pedagogiem, którego skąpa pochwała ceniona była wyżej niż najwyższe oficjalne nagrody. Po cieszących się niesłychaną popularnością telewizyjnych „Spotkaniach z Aleksandrem Bardinim", po raz pierwszy zaprezentowanych w 1976 r., cała Polska uznała go nie tylko za wyrocznię w kwestiach artystycznych, lecz także mistrza mowy polskiej, wcielenie elegancji i dobrych manier, mędrca i erudytę.

W czasie wojny stracił wszystkich swoich bliskich. W lwowskim getcie zginęli jego rodzice, w grodzieńskim getcie siostra z mężem i dzieckiem. On schronienie znalazł u rodziny swojej przyszłej żony, Julii. W mieszkaniu przy ulicy Zyblikiewicza dotrwał do końca niemieckiej okupacji Lwowa. Tak to wspominał: „W kącie między ścianą pokoju a spiżarką mogły stać dwie, trzy osoby. Wezwano stolarza, który zabił ten kąt deskami. Deski zalepiono gliną z wapnem, poczem ustawiono aż do sufitu półki na prowiant. Z korytarza przebiliśmy do bunkra dziurę o średnicy zwykłej beczki. Dziurę tę zasłonięto dębowym wieszadłem, przybitym do ściany hakami. Jedna deska wieszadła otwierała się jak drzwi. Kiedy rozlegał się na schodach odgłos kroków albo dzwonek, biegłem do wieszadła, otwierałem drzwi i właziłem do dziury. Drzwi zamykano za mną i wieszano płaszcze. W dziurze siedziałem na czworakach, póki nie minęło niebezpieczeństwo".

Jak wynika z książki Grzegorza Kozaka, to wydarzenia kieleckie 1946 r. spowodowały jego wyjazd z żoną i córeczką z Polski, dokładnie z Katowic, gdzie zakotwiczył się po wyjeździe z zespołem Polskiego Teatru Dramatycznego ze Lwowa. Jak pisał w liście do Leona Schillera: „Będę szukał ludzi, którzy nie będą mnie posądzali o mordowanie dzieci chrześcijańskich tylko dlatego, że matka moja w wieczory piątkowe modliła się nad zapalonymi świecami". Szukał tych ludzi najpierw w Niemczech, potem po otrzymaniu wizy w Kanadzie. Znalazł ich czy nie, w każdym razie miał dosyć pracy, którą wykonywał jako robotnik, niedostatku i – co za tym idzie – niskiej pozycji społecznej. Bardzo pomógł mu wtedy Leon Schiller, oferując pracę w teatrze i w szkole aktorskiej, tak że w czerwcu 1950 r. mógł Bardini wrócić na ojczyzny łono. Ta w tym czasie budowała socjalizm.

W maju 1954 r. w Teatrze Kameralnym w Warszawie Bardini wyreżyserował premierowe przedstawienie sztuki Leona Kruczkowskiego „Juliusz i Ethel". Młodym przypomnę, że chodziło o Juliusza i Ethel Rosenbergów, sowieckich szpiegów, którzy wykradli Amerykanom tajemnicę bomby atomowej. Naturalnie „postępowa" opinia publiczna zawyła ze zgrozy na wieść, że szpiegowską parę amerykański sąd skazał na karę śmierci. Kruczkowski napisał na ten temat ociekający współczuciem dla ofiar amerykańskiego imperializmu, militaryzmu, faszyzmu i czort wie czego jeszcze dramat. Towarzysz Bolesław Bierut tak się wzruszył na spektaklu, że ponoć zaprosił wszystkich aktorów na kolację do Belwederu. A już z całą pewnością wykonawców ról tytułowych: Tadeusz Kondrat i Halina Mikołajska oraz grający prokuratura Aleksander Żabczyński zostali laureatami Nagrody Państwowej II stopnia. Oczywiście, że wraz z reżyserem tego jakże udanego artystycznego przedsięwzięcia, Aleksandrem Bardinim.

Nazywano go Profesorem, na tej samej zasadzie jak m.in. Janusza Odrowąża-Pieniążka czy Władysława Bartoszewskiego. Dla przyjaciół, osób wybranych był Saszą, cała reszta też tak o nim mówiła, tyle że za jego plecami. Na taką bezceremonialność nie pozwalał szacunek, którym darzono tego mecenasa Labradora z „Bez końca" Krzysztofa Kieślowskiego, adwokata Axera ze „Sprawy Gorgonowej" Janusza Majewskiego czy naczelnika poczty z serialu „Polskie drogi". I żydowskiego profesora z „Krajobrazu po bitwie" Andrzeja Wajdy, w którym to filmie – któż o tym wie i kto pamięta – „Amerykankę zwiedzającą krematoria zagrała piosenkarka Anna German, a wśród statystów byli znani już wówczas opozycjoniści Barbara Toruńczyk i Adam Michnik". ©℗



★★★★★★
GRZEGORZ KOZAK „BARDINI" CZYTELNIK, WARSZAWA 2026

eprasa.pl 944c8c46b0



POCZYTANKI

W grobie, miła

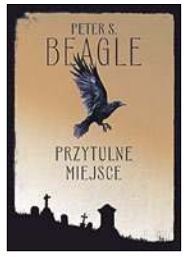
PIOTR GOCIEK

Pierwsza myśl: czy Philip K. Dick czytał tę książkę? W świecie „Ubika", jak pamiętacie, żywi mogli rozmawiać z umarłymi, ale tylko przez jakiś czas. Potem znikali na dobre, ale nim to nastąpiło, można było ich esencję, ducha, jak zwał, tak zwał, przechowywać w specjalnych moratoriach. Druga myśl: koncept, że ci, którzy odeszli, pozostają jeszcze przez jakiś czas w naszej bezpośredniej bliskości, nie jest przecież ani tak nowy, ani tak oryginalny.

Oryginalną, skromną, ale głęboko wzruszającą powieścią jest natomiast „Przytulne miejsce", powieściowy debiut Petera S. Beagle'a, który potem zdobył sławę książkami „Ostatni jednorożec" czy „Pieśń oberżysty". Beagle to klasyk współczesnej fantasy, ale porusza się między gatunkami, skręcając w stronę grozy. Jedno się nie zmienia: niezależnie, po której stronie strumienia łowi ryby, zawsze dostajemy bohaterów o wiarygodnych, pogłębionych portretach psychologicznych.

Jonathan Rebeck jest jednym z nich. Od wielu lat żyje na cmentarzu, kryjąc się przed ludźmi; jedzenie przynosi mu zaprzyjaźniony kruk. „Ciężar mortadeli utrudniał krukowi lot" – to zaskakujące i mocno nietypowe zdanie otwiera powieść, kierując nas jednocześnie w krainę smutnej baśni. Rebeck ma swe powody, by się kryć. Przynajmniej tak mu się wydaje. Jest więc żywym wśród umarłych. Ale cóż to za życie? Pytanie o to, co ze swoim życiem robimy i czy przypadkiem nie przydarza nam się – metaforycznie – być martwym już za życia, powróci w tej powieści. A jako że to baśń, fantazja, to i kruk okaże się stworzeniem ważniejszym, niż się nam wydaje, i prawdziwi umarli odegrają w tej historii znaczącą rolę, zwłaszcza że to dziarskie duchy: zmarli niedawno i całkiem energicznie swą obecność manifestują.

„Choć przytulnym miejscem jest mogiła / wątpię, czy ktoś cię tam przytuli, miła" – Beagle opatruje tym mottem swą opowieść, książkę zadziwiająco dojrzałą jak na dzieło 20-letniego debiutanta (oryginalnie ukazała się w 1960 r.). Jest to opowieść o miłości, która ratuje, i zgryzotach, które zabijają. Po latach próbował tak będzie pisać Neil Gaiman, ale na tle nawet tej wczesnej prozy Beagle'a jego cmentarne rozważania wydawać się będą płytsze, bo ze zbyt dużą dozą emocjonalnego szantażu. Beagle jest mistrzem ściszonego głosu. Nie znamy jeszcze wielu jego książek. Czas je poznać. ©℗

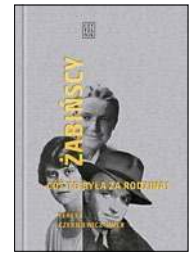


★★★★★★

PETER S. BEAGLE
„PRZYTULNE MIEJSCE"
ZYSK I S-KA 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Cóż to była za rodzina" – zachwyca się autorka w podtytule. Słusznie, dzieje Jana i Antoniny Żabińskich to opowieść o prawdziwych polskich bohaterach. Nie tylko oni godni są pamięci: oto opowieść o wcześniejszych pokoleniach.



TERESA CZERNIEWICZ-UMER
„ŻABIŃSCY"
CZYTELNIK

Historia Imperium Rzymskiego opowiedziana monetami – inskrypcje i obrazy zachowane na denarach i sestercjach są bezcennym źródłem wiedzy. A także opowieść o tajnikach polityki finansowej potężnej rzymskiej machiny.



GARETH HARNEY
„ZŁOTO, SREBRO I KREW"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

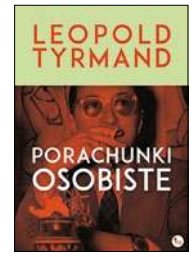
Znawca i tłumacz literatury albańskiej Marek Jeziorski przedstawia subiektywny wybór opowiadań znakomitego pisarza (znanego m.in. z powieści „Generał martwej armii"). To literatura najwyższych lotów.



ISMAIL KADARE
„ZWIASTUN NIESZCZĘŚCIA"
SEDNO

Najbardziej zadziorna i polemiczna książka Tyrmanda, obok „Cywilizacji komunizmu". Bezlitosny portret PRL, życia w komunizmie i głębokiego moralnego upadku tych, którzy uwikłali się w ludobójczy ustrój.

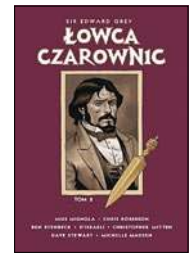
recenzuje Piotr Gociek



LEOPOLD TYRMAND
„PORACHUNKI OSOBISTE"
MG

KOMIKS TYGODNIA:
SIR EDWARD GREY – ŁOWCA CZAROWNIC

Umknął mi tom pierwszy, ale jest okazja nadrobić. Tytułowy Sir Edward Grey to tajny agent od spraw okultystycznych, a akcja rozgrywa się w uniwersum znanym z komiksów o Hellboyu, tyle że jeszcze w czasach królowej Wiktorii. Mike Mignola, który rozsławił Hellboya, tym razem występuje jako scenarzysta, a do tworzenia strony graficznej zaprosił kilku rysowników z różnych stron świata. ***Piotr Gociek***



AUTORZY RÓŻNI
„SIR EDWARD GREY – ŁOWCA CZAROWNIC", T. 2
EGMONT 2026

eprasa.pl 944c8c46b0



Łukasz Warzecha

Krew czy świadomy wybór? Kto w dobie masowych migracji ma prawo nazywać się Polakiem? Rządowa strategia naiwnie odrzuca asymilację na rzecz „integracji". Warto przypomnieć sobie starą prawdę: Polakiem jest ten, kto przyjmuje na siebie polskie obowiązki



Vyera Nguyen Thi Yen Vy, w skrócie Vy, jest Wietnamką, zapewne najpopularniejszą dzisiaj w Polsce za sprawą swoich materiałów w mediach społecznościowych

FOT. VYERA NGUYEN THI YEN VY/FACEBOOK

Kto może być Polakiem?

W swoim najnowszym filmie na Facebooku i Instagramie młoda dziewczyna chwali się różnymi płodami rolnymi. Pokazuje dorodną cukinię, papryczki, kapustę, wyrośnięty słonecznik, ziemniaczki, maliny, agrest. „Kocham polskie lato!" – deklaruje na koniec. W tle powiewa należąca do gospodarstwa biało-czerwona flaga. Nie byłoby w tym nic niezwykłego – film, jakich setki tysięcy w mediach społecznościowych – gdyby nie to, że bohaterka wideo nie ma rysów nie tylko słowiańskich, lecz także europejskich. Jest na pierwszy rzut oka klasyczną Azjatką, skądinąd bardzo urodziwą. Po polsku mówi znakomicie, choć wciąż z lekkim akcentem. Nazywa się Vyera Nguyen Thi Yen Vy, w skrócie Vy, i jest Wietnamką, zapewne najpopularniejszą dzisiaj w Polsce za sprawą swoich materiałów w mediach społecznościowych.

Do Polski przyjechała jako nastolatka, ściągnięta przez rodziców. W jednym z filmów wspominała, jak wpadła niemal w rozpacz, gdy tata powiedział jej: „Vy, ty już tam [do Wietnamu] nie wrócisz". Ogromnym wysiłkiem było zdanie matury, bo przecież konieczne było nauczenie się polskiego. Ale na maturze się nie skończyło – Vy niedawno została magistrem. Jednocześnie ze studiami pracowała, bo razem z rodzicami prowadzi na Śląsku niewielką sieć wietnamskich restauracji. Jest związana z Polakiem. Mieszka w Sosnowcu i tak też się przedstawia: Wietnamka z Sosnowca. Nie tylko mówi bardzo dobrze po polsku, lecz także uczy się śląskiej gwary, którą od czasu do czasu posługuje się w swoich filmikach. Jest też katoliczką – pokazywała chociażby, że bierze udział w procesji Bożego Ciała. Jej młodsza siostra będzie prawdopodobnie mówić po polsku już kompletnie bez obcego akcentu.

KTO MOŻE BYĆ POLAKIEM?

Można by to sprowadzić do internetowej ciekawostki, a jednak warto się nad tym przypadkiem zastanowić, jako że dyskusja o imigrantach – w tym o obecności Ukraińców w Polsce – staje się kluczowa nie tylko dla polskiej bieżącej polityki, lecz także dla strategii budowania naszego państwa w dłuższym okresie. To również ważny wątek po prawej stronie. Kazus sympatycznej Wietnamki ze Śląska jest dobrą ilustracją tych dylematów.

W środowiskach polskiej prawicy są trzy stanowiska, gdy idzie o imigrację.

Jedno, wciąż – jak się zdaje – podtrzymywane przez PiS, aczkolwiek w związku z głębokim kryzysem tej partii trudno powiedzieć, w jakim stopniu nadal aktualne – zakłada, że jest imigracja zła i imigracja dobra. Ta zła to imigracja nielegalna, przede wszystkim spoza zachodniej sfery kulturowej. Ta dobra to imigracja zarobkowa i tutaj nie ma różnicy, skąd napływa. Taką politykę w praktyce realizował rząd Mateusza Morawieckiego, przyjmując do Polski na potęgę imigrantów nawet z państw radykalnie odległych kulturowo albo takich, gdzie wyjątkowo wysokie były wskaźniki przestępczości.

Stanowisko drugie, pośrednie, zakłada oczywiście również sprzeciw wobec imigracji nielegalnej, a także bardzo drobiazgowe przesiewanie chętnych do pracy w Polsce, oparte nie przede wszystkim na potrzebach biznesu, ale na analizie możliwych konsekwencji napływu imigrantów z danego obszaru.

Jest wreszcie stanowisko trzecie, najbardziej radykalne, zakładające praktycznie całkowite wstrzymanie jakiejkolwiek imigracji z obszarów nienależących do Zachodu. Przedstawiciele tej grupy są również zwolennikami jak najdalej idącego zaostrzenia kryteriów nabywania polskiego obywatelstwa (nie należy tego mylić z jego nadaniem, co jest wyłączną kompetencją prezydenta RP, porównywalną np. z prawem łaski).

W tle sporu pomiędzy tymi koncepcjami jest budzące wielkie emocje po prawej stronie pytanie, kto może być Polakiem i czy Polakiem można się stać, urodziwszy się poza Polską z rodziców niebędących Polakami – tak jak to jest w przypadku Vy. W tej sprawie walczą ze sobą dwa poglądy. Pierwszy zakłada, że polskość można wyłącznie nabyć poprzez urodzenie. Kto nie urodził się Polakiem i nie ma w sobie polskiej krwi, ten Polakiem – nie w sensie formalnym, lecz tożsamościowym – nie może zostać. Drugi pogląd mówi, że polskość nie zależy od urodzenia, ale od woli przyjęcia polskiej tożsamości, od znajomości polskich kultury, historii, bycia lojalnym wobec kraju i narodu. Zgodnie z pierwszym stanowiskiem Vy nie mogłaby marzyć o zostaniu Polką. Zgodnie z drugim – jest na bardzo dobrej drodze, aby się nią stać.

Dodatkowo trzeba odróżnić dwa pojęcia, którymi politycy próbują nierzadko manipulować: integracja i asymi-

eprasa.pl 944c8c46b0

lacja. W strategii imigracyjnej obecnego rządu na lata 2025–2030, stworzonej w 2024 r. przez byłego wiceministra spraw wewnętrznych prof. Macieja Duszczyka, specjalistę od migracji, znalazł się następujący passus: „Polska w swojej polityce integracyjnej nie będzie stosowała żadnych instrumentów asymilacyjnych, uznając, że integracja jest wieloetapowym i dwukierunkowym procesem, opartym na budowie prawidłowych relacji pomiędzy imigrantami a społeczeństwem państwa przyjmującego. Celem polityki integracyjnej jest włączenie cudzoziemców do społeczeństwa, co umożliwia pełne wykorzystanie ich potencjału".

To ważna deklaracja i niestety szkodliwa. Integracja, jak zauważa sama strategia, to budowa prawidłowych relacji między imigrantem a krajem przyjmującym. Nic więcej. Prawidłowe relacje zakładają, że imigrant jest w stanie sprawnie funkcjonować w obrębie społeczeństwa, korzystać z instrumentów instytucjonalnych oraz prawnych, przestrzegać norm – ale nic ponadto. Asymilacja to znacznie więcej: to proces przyjmowania tożsamości narodu i jego systemu wartości. Odnosząc te dwa pojęcia do sytuacji historycznej, można przypomnieć, że przed drugą wojną światową w Polsce mieszkało wielu Żydów, którzy byli, owszem, zintegrowani, ale absolutnie nie zasymilowani. Choć byli w stanie sprawnie funkcjonować w polskim organizmie państwowym, to w istocie tworzyli odrębne środowiska, a ich lojalność wobec polskiego państwa nie istniała albo była śladowa. Oczywiście była także niemała grupa Żydów zasymilowanych całkowicie, nawet gubiących już swoją żydowską tożsamość na rzecz polskiej.

Wróćmy do Vy. Jak to jest, że sympatia wobec Ukraińców spada radykalnie, większość badanych nie chce już nawet przyjmowania do Polski uchodźców z Ukrainy, mnożą się sytuacje konfliktów polsko-ukraińskich na naszych ulicach – a tymczasem przedstawicielka wietnamskiej diaspory wywołuje najcieplejsze odczucia, a pod jej materiałami pojawiają się niemal same przychylne komentarze? Wbrew pozorom nie jest to tylko kwestia osobowości czy specyfiki mediów społecznościowych.

Wietnamczyków jest w Polsce ok. 40 tys., Ukraińców prawdopodobnie co najmniej 1,5 mln. Z Ukrainą dzielą nas tragiczne momenty historyczne, z Wietnamem żadnych takich nie mamy. Wietnamczycy są w zbiorowej wyobraźni kojarzeni – skądinąd słusznie – z imigracją ciężko pracującą i praktycznie niekłopotliwą. To ostatnie nie jest do końca prawdą, tyle że działania wietnamskich środowisk przestępczych, jeśli się zdarzały, były skierowane w zasadzie wyłącznie do wewnątrz tej grupy. Inaczej rzecz się ma z przestępczością ukraińską. Przede wszystkim zaś nigdy nie doświadczaliśmy przymusu akceptowania i kochania Wietnamczyków. Co więcej, reprezentanci tej mniejszości często uczestniczą w obchodach polskich świąt narodowych, można ich zobaczyć 3 maja w polskich strojach ludowych albo z polskimi flagami na Marszu Niepodległości. Mniejszość ukraińska demonstruje raczej swoją odrębność tożsamościową.

RÓŻNE POTENCJAŁY

Kluczem do różnicy w podejściu do tych dwóch grup jest w dużej mierze trafne przekonanie o potencjale problemów, jakie jedna i druga grupa może sprawiać. Zapewne gdybyśmy mieli w Polsce milion Wietnamczyków, stosunek do nich również mógłby się pogorszyć, jednak wciąż nie istniałyby inne przesłanki konfliktowe, takie jak zaszłości historyczne.

Wietnamczycy w Polsce przypominają nieco grupę, która na napięciach polsko-ukraińskich traci być może najwięcej: Ukraińców obecnych w Polsce na stałe przed lutym 2022 r. Poza imigracją typowo zarobkową była także grupa, która postanowiła związać się z Polską na stałe. Były to osoby najbardziej podatne na asymilację. Często w Polsce studiowały, nierzadko zawierały z Polakami związki małżeńskie, a jako imigranci były w zasadzie kompletnie niekłopotliwe, szczególnie w zestawieniu z nacjami takimi jak Kolumbijczycy, Gruzini czy Afgańczycy. Dzisiaj odium fatalnych stosunków polsko-ukraińskich uderza również w nich.

Rezygnacja przez polskie państwo z asymilacji jest błędem, choć nie każdy imigrant może zostać zasymilowany i nie w każdym przypadku ma to sens. Powinien to natomiast być cel w przypadku ludzi, którzy chcą w Polsce zostać na zawsze – czy chodzi o Ukraińców, Białorusinów, czy Wietnamczyków.

Z kolei postulat całkowitego zahamowania imigracji nie wydaje się rozsądny. Polska nie jest jeszcze szczęśliwie w sytuacji tak rozpaczliwej jak Szwecja czy Niemcy, gdzie imigracja na masową skalę wyrządziła szkody praktycznie nieodwracalne i nawet całkowite jej zahamowanie niewiele już może pomóc. W naszym przypadku wystarczyłoby nałożenie na nią radykalnych ograniczeń.

POLSKIE OBOWIĄZKI

Kto zaś może być Polakiem? Pogląd o decydującej roli urodzenia i krwi nie ma uzasadnienia. Jest wiele osób urodzonych jako Polacy, którzy z przekonania i ducha Polakami nie są. A mamy w historii przykłady ludzi, którzy Polakami z urodzenia nie będąc lub pochodząc z rodzin, które dawno polskość zarzuciły, jednak Polakami się stali, dowodząc tego w najtrudniejszych momentach. Tu tylko dwa spośród ogromnej liczby przykładów.

Tak było z Arendem Dickmannem, Flamandem, który urodził się w 1572 r. w Delft. Od 1608 r. Gdańszczanin, w 1626 r. wstąpił na polską służbę u króla Zygmunta III Wazy i został głównodowodzącym polską flotą podczas bitwy pod Oliwą. Odniósł tam, jak wiadomo, spektakularne zwycięstwo, ale w ostatniej fazie bitwy niestety zginął, trafiony najpewniej przypadkową szwedzką kulą.

Tak było również z urodzonym w 1838 r. Wojciechem Kętrzyńskim, od którego nazwiska wzięła się nazwa Kętrzyna (dawniej Rastemborku). Pochodził z rodziny o polskich korzeniach, ale jego ojciec używał już wyłącznie nazwiska Winkler. On sam urodził się jako Adalbert von Winkler, a o swoim polskim pochodzeniu dowiedział się w wieku kilkunastu lat z listu od siostry. Polskość wciągnęła go tak dokumentnie, że nie tylko zmienił nazwisko na Kętrzyński, lecz także poświęcił praktycznie całe swoje życie na jej propagowanie i walkę o nią, ponosząc konsekwencje w postaci szykan i uwięzienia przez pruskiego zaborcę. A przecież z jego punktu widzenia znacznie łatwiej byłoby pozostać przy przyjętej przez rodziców niemieckiej tożsamości.

Za wyznacznik polskości powinno służyć najsłynniejsze bodaj zdanie Romana Dmowskiego: jestem Polakiem i mam obowiązki polskie. Kto przyjmuje na siebie owe polskie obowiązki, ten jest Polakiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 944c8c46b0



FOT. ADOBE STOCK, ZDJĘCIE WYGENEROWANE PRZEZ SZTUCZNĄ INTELIGENCJĘ

Czy Kościół schował Chrystusa?



Paweł Chmielewski

Dyskusja wokół Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X przypomina, że w Kościele chodzi o coś więcej niż tylko o humanitaryzm. To dobrze, bo można byłoby pomyśleć, że zbawienie już nikogo nie obchodzi

Niezależnie od tego, jak ocenia się święcenia biskupie w Bractwie, nie da się zanegować ożywczego charakteru dyskusji wokół tej kwestii. Proszę zwrócić choćby uwagę na sam fakt ogłoszenia ekskomuniki. Jeszcze do niedawna słyszeliśmy, że wszystkie religie prowadzą do Pana Boga – ot, klasyczna „mądrość" relatywistyczna, głoszona przez niemal każdego progresistę. Dialogiści opowiadali, że mahometanizm to wspaniała, tradycyjna mądrość inspirowana „świętą księgą" Koranu i mówi tak wiele pięknych rzeczy o Bogu; wysławiali judaizm jako wyraz „ciągłości" Bożego wybrańskiego. Ekumeniści zachwalali protestantyzm, przekonując, że chrześcijaństwo to jeden wielki dom, w którym zmieszczą się wszyscy.

Kiedy jednak Leon XIV poprzez Dykasterię Nauki Wiary ogłosił, że Bractwo Kapłańskie św. Piusa X jest ekskomunikowane – o, wtedy wszyscy ci relatywistyczni liberałowie przypomnieli sobie, że zbawienie jest tylko w Kościele rzymskim. „Wyłączenie z Kościoła" urosło nagle do rangi dramatu, który może skończyć się wiecznym potępieniem – czymś, o czym w Kościele postępu nie słyszano już od dawna. Dobrze, być może ten albo inny pogubiony teolog czy wierny dojdzie w efekcie do wniosku, że z ekumenizmem nie jest wcale tak różowo, jak mu się wydawało: innymi słowy, że to, w co się wierzy, ma jednak znaczenie – i ostateczne konsekwencje.

Ten „efekt" całej sprawy bardzo mnie cieszy – bo mało jest we współczesnym katolicyzmie rzeczy tak niepokojących, jak niemal całkowite zapomnienie o sprawach wiecznych. Kilka numerów temu pisałem w „Do Rzeczy" o najnowszej encyklice papieża Leona XIV „Magnifica humanitas". Bardzo się cieszę, że Ojciec Święty chciał dokonywać katolickich ocen nowoczesnych fenomenów, takich jak „sztuczna inteligencja". Zarazem jednak nie sposób przeoczyć, że dokument Leona był już którymś z kolei wielkim dziełem papieży, opisującym wszystko, tylko nie sprawy najważniejsze dla katolika. Tak samo było z głównymi dziełami Franciszka: ekologia w „Laudato si'", powszechne braterstwo we „Fratelli tutti". Pontyfikat Jorge Maria Bergoglia stanowił jedno wielkie pasmo totalnego społecznego zaangażowania papiestwa. Robert Prevost nieco inaczej rozkłada akcenty, ale – szczerze mówiąc – nie widać naprawdę znaczącej zmiany. Abstrahując od „Magnifica humanitas", przeciętnemu człowiekowi Leon będzie się pewnie najbardziej kojarzył z rozlicznymi apelami o pokój na świecie. Rzecz ważna, nikt temu nie zaprzeczy, ale papieże nie zostali ustanowieni przez Jezusa Chrystusa jako czołowi ziemscy negocjatorzy między mocarstwami politycznymi.

CHRYSTUS POZA CENTRUM

Byłoby jednak fundamentalnym błędem skupiać się w tej krytyce tylko na papieżach. Ostatecznie następcy św. Piotra nie są ani właścicielami Kościoła, ani też tymi, którzy definiują całokształt katolicyzmu. Nie było tak nigdy: ani w starożytności, ani w średniowieczu. Tym bardziej nie jest tak dziś, kiedy katolicki świat stał się niezwykle złożony, choćby z racji na globalną obecność. O kształcie katolicyzmu decydują też inni, np. teologowie. Można tymczasem powiedzieć, że teologia od dłuższego czasu nie poświęca zbyt wiele uwagi temu, co najważniejsze.

eprasa.pl 944c8c46b0

Zwrócił na to ostatnio uwagę człowiek, którego trudno oskarżyć o konserwatyzm. Chodzi o kard. Waltera Kaspera, jednego z najbardziej znanych progresywnych teologów końca XX i początku XXI w. Kasper przed laty napisał wprawdzie całkiem sporą książkę o Jezusie Chrystusie, ale przeszedł do historii z zupełnie innych powodów: walczył o „prerogatywy" Kościoła lokalnego, chcąc „osłabić" Kościół w Rzymie, zabiegał o Komunię Świętą dla rozwodników, położył wielkie zasługi dla późniejszego wprowadzenia w Niemczech swobody udzielania Eucharystii protestantom… Bez Kaspera nie byłoby też najbardziej wybuchowego dokumentu Franciszka, adhortacji „Amoris laetitia", z jej dziwacznym rozumieniem ludzkiego sumienia. Teraz właśnie ten sam Walter Kasper doszedł do wniosku, że katolicka teologia nie zajmuje się w ogóle tym, co trzeba: czyli Jezusem Chrystusem. Co skłoniło Kaspera do takiej refleksji, nie wiem, choć mogę się domyślać. Niemiecki teolog od pewnego czasu patrzy z rosnącym niesmakiem na wysiłki „drogi synodalnej" w swojej ojczyźnie. Nie podoba mu się jej radykalizm. „Droga synodalna" głosi przecież święcenia kobiet, chciałaby likwidacji celibatu, wychwala sodomię, chce zastąpić rządy biskupów rządami świeckich… Cała ta agenda jest Kasperowi dosyć obca; poświęcił życie walce o progresywne postulaty, to prawda, ale… innego rodzaju. Tak czy inaczej, w głośnym za Odrą wywiadzie – czytanym również we Włoszech, gdzie Kasper jest traktowany bardzo poważnie – teolog upomniał się o prawa chrystologii, twierdząc, że współczesna teologia zajmuje się zanadto zmianami strukturalnymi albo innymi drugorzędnymi kwestiami zamiast tym, czego tak naprawdę dotyczy chrześcijaństwo.

To prawda. Kiedy przyjrzymy się największym debatom teologicznym ostatnich lat, zobaczymy, że niezwykle rzadko dotyczą spraw pierwszorzędnych. Od 2021 r. Kościół katolicki brnie w dyskusję o synodalności, czyli o „sposobie bycia" – cokolwiek miałoby to tak właściwie znaczyć. Ten szlak wyznaczył już Sobór Watykański II, skupiając się nie na dogmacie, ale na duszpasterstwie, czyli na „sposobie głoszenia nowym językiem" w dzisiejszym świecie. W efekcie w Stanach Zjednoczonych rozmawia się głównie o homoseksualizmie i migrantach, w Niemczech o homoseksualizmie i ekologii, we Włoszech o homoseksualizmie i restrukturyzacji parafii, a w Polsce o dialogu z Żydami i klerykalizmie. Syn Boży jest w tym wszystkim zasadniczo nieobecny – co najwyżej jakiś wybrany cytat z Ewangelii stanowi argument pomocniczy dla jednej albo drugiej strony tych debat. Chrystus nie jest w centrum.

ZNIECHĘCENIE DO TOMASZA

Dlaczego? Wydaje się, że w jakiejś mierze to pokłosie głębokiego uwiądu filozoficznego. Od czasów Immanuela Kanta rosnąca liczba myślicieli chrześcijańskich porzuca metafizykę. Mało kto chce mówić o tym, co wprawdzie istnieje, ale czego nie widać – bo w paradygmacie scjentystycznym, który – może nieco paradoksalnie – ukształtował się na gruncie kantowskiego „zwrotu kopernikańskiego", klasyczna metafizyka zaczęła uchodzić za niepoważną i quasimitologiczną spekulację. Ten skrajnie racjonalistyczny duch opanował także katolickich teologów. Jeżeli mówi się dziś w ogóle o metafizyce, to tylko wtedy, kiedy chce się ogłosić jej definitywną śmierć. Ostatnio ożywiła się nieco dyskusja o grzechu pierworodnym, ale tylko dlatego, że pewien polski kapłan, odwołując się do współczesnej neuronauki, zanegował istnienie duszy oraz Adama i Ewy, dowodząc, że to wszystko są tylko jakieś kulturowe konstrukty i pobożne opowieści, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością – bo przecież metafizyka została przezwyciężona.

W 1879 r. papież Leon XIII ogłosił encyklikę „Aeterni Patris", w której polecił filozofię św. Tomasza jako pewną podstawę uprawiania teologii w Kościele. W kolejnych dekadach papieże teoretycznie czynią zadość temu wezwaniu, ale z upływem lat jakby z coraz mniejszym zapałem. Dziś jest już zupełnie jasne, że tomizm – pomimo jasno wyrażonej woli, nie tylko jednego Leona XIII – nie jest już wcale podstawowym nauczycielem chrześcijaństwa. W efekcie Kościół katolicki nie ma tak właściwie żadnego wielkiego nauczyciela filozoficznego: stoi bezradny w obliczu rozmaitych prądów, pchany raz tu, raz tam, zależnie od tymczasowych mód albo lokalnych warunków. Zniechęcenie do Tomasza, które ogarnęło niemal wszystkich teologów, teoretycznie jest dobrze uargumentowane: to filozof średniowieczny, odległy od sposobów myślenia współczesnego świata, przez tyle czasu powtarzany i cytowany, że nie ma już nic nowego do powiedzenia… Problem tylko w tym, że geniusz Tomasza nie polega na jakimś jego własnym wynalazku, który byłby rzeczywiście zamknięty w „bańce" minionej epoki. Ten geniusz opiera się przede wszystkim na dokonaniu wyjątkowej syntezy prawd Objawienia chrześcijańskiego z bardzo realistyczną i dzięki temu wiecznotrwałą filozofią arystotelesowską. Można zżymać się na rzekome ograniczenia tomizmu, ale… Czy ktoś zaproponował coś lepszego?

NIESTRAWNY SUBSTYTUT

Do uprawiania teologii synodalnej nie potrzeba w ogóle żadnej filozofii. Wystarczą znajomość procedur demokratycznych i mocne postanowienie, by za wszelką cenę wtłoczyć w nie życie kościelne. Tym może zajmować się nietomaszowa, niemetafizyczna teologia – bo to sprawy, które rozumie każdy liberalny aktywista. Bez rzetelnej filozofii, otwartej na transcendencję, możliwa jest też pseudoteologiczna dekonstrukcja dogmatów. Nie ma duszy, nie ma grzechu, nie ma niczego, czego nie widać. Ot, prostacki materializm, który składa bogactwo Kościoła na ołtarzu scjentyzmu. W tym paradygmacie totalnej dominacji tego, co widzialne, katolicyzm traci swoją wyjątkowość. Staje się tylko jedną z wielkich ludzkich opowieści, mitem, który ubiera w szaty pocieszenia trudną rzeczywistość rodzenia się i umierania. Wtedy naprawdę nie ma już znaczenia, czy jest się katolikiem, luteraninem czy muzułmaninem.

Być może tę nędzę rozumieją podskórnie nawet najbardziej zagorzali liberałowie. Ci właśnie, którzy skonfrontowani z ekskomuniką dla Bractwa św. Piusa X przypomnieli sobie nagle, że więzy jedności z Rzymem są jednak do czegoś potrzebne. Jakby długo sami przed sobą ukrywali, że relatywistyczna papka, w którą zamienili wiarę katolicką, to tylko nędzny substytut prawdziwego chrześcijaństwa.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu Pch24.pl.

eprasa.pl 944c8c46b0



Z dr. inż. Jakubem Chabikiem, prezesem Stowarzyszenia na rzecz Chłopców i Mężczyzn
rozmawia Anna Szczepańska

Męska twarz wykluczenia

FOT. ADOBE STOCK

ANNA SZCZEPAŃSKA: W zeszłym roku media obiegła informacja, że wiceminister nauki chce zwalczać w szkołach Dzień Chłopaka, gdyż rzekomo „dzień chłopaka jest cały rok". Czy takie deklaracje wpisują się w jakiś szerszy kontekst?

DR INŻ. JAKUB CHABIK: Naszym zdaniem w szkole jest miejsce i na Dzień Kobiet, i na Dzień Chłopaka. Nie jest prawdą, że „dzień chłopaka jest codziennie". Jest dokładnie odwrotnie: to chłopcy gorzej radzą sobie z edukacją, zwłaszcza językową, uzyskując gorsze o 8 p.p. wyniki z egzaminu ósmoklasisty z języka polskiego i o 3 p.p. niższe z języka obcego niż dziewczęta. W rezultacie mniej chłopców idzie do szkół maturalnych i zdecydowanie mniej decyduje się podjąć studia. Wreszcie więcej chłopców „wypada" z nauki przed jej ukończeniem. To są systemowe problemy, których polska edukacja nie podejmuje, pomimo że są jej one doskonale znane. W maju 2024 r. Instytut Badań Edukacyjnych MEN poświęcił im całą konferencję. Mówiono o tych problemach, do części podawano rozwiązania, np. wspierające czytelnictwo chłopców. Od tego świadomość zaczęła narastać i MEN zaprosił nas do współpracy. Oby coś z niej wyszło!

Z jakimi innymi, oprócz edukacji, problemami najczęściej zmagają się mężczyźni w Polsce?

Podzieliłbym je na dwie części: jedna to nierówności prawne, druga – nierówności realne, choć nieobecne w prawie. Do pierwszej kategorii należy np. nierówny wiek emerytalny kobiet i mężczyzn. Polska to ostatni kraj, który nie zrównał wieku emerytalnego, a dokładniej: najpierw go zrównał, a potem znowu uczynił nierównym. Inne są normy związane z bezpieczeństwem i higieną pracy. W rezultacie np. kobieta dostanie posiłek regeneracyjny przy pracy, która wynosi ponad 40 proc. jej dziennego zapotrzebowania kalorycznego, mężczyzna przy 80 proc.

Inne jest też traktowanie osadzonych w zakładach zamkniętych. Kobieta ma prawo do kąpieli raz dziennie, mężczyzna – tylko dwa razy na tydzień. I dotyczy to nie tylko skazanych, lecz także zatrzymanych i aresztowanych, czyli osób, którym nie udowodniono żadnego przestępstwa i które być może są niewinne. Kobieta ponadto pójdzie do zakładu półotwartego, nawet jeśli popełniła cięższe przestępstwo, a mężczyzna do zamkniętego, nawet jeśli jego przestępstwo jest mniejsze, a wyrok krótszy.

Mamy też dyskryminację podatkową po 60. roku życia. Kobiety przestają płacić podatki, mężczyźni płacą je dalej…

Czy faktycznie kobiety przestają płacić podatki?

Chodzi o ulgę aktywizacyjną dla seniorów, czyli PIT-0. Obowiązuje on kobiety od 60. roku życia, a mężczyzn od 65. Mężczyzna jest więc podwójnie dyskryminowany: nie dość, że nie przeszedł na emeryturę wtedy, co jego koleżanka w tym samym wieku, to jeszcze płaci wyższy podatek od tego, co zarobi.

Co to znaczy, że wiek emerytalny powinien zostać zrównany? Ma zostać podniesiony dla kobiet czy obniżony dla mężczyzn?

Jaki jest właściwy wiek emerytalny – nie jesteśmy w stanie powiedzieć. Zasady powinny być jednakowe dla obu płci, choć wyobrażam sobie, że mógłby być on uzależniony od faktycznego sprawowania opieki nad jakimś członkiem rodziny (dziećmi, ale także osobą niepełnosprawną czy starszą). Dziś bezdzietna kobieta przejdzie na emeryturę pięć lat wcześniej niż wdowiec, który samotnie wychował dwoje dzieci. Mamy takie osoby w Stowarzyszeniu. To na pewno nie jest sprawiedliwe i żaden inny kraj Unii Europejskiej nie utrzymuje tej nierówności – wszystkie wyrównały albo wyrównują wiek emerytalny.

Na jakie inne, najważniejsze sprawy zwraca jeszcze uwagę Stowarzyszenie?

To np. obowiązki obronne. Tylko niewielka część kobiet (np. te związane z zawodami medycznymi) przechodzi kwalifikację wojskową. Ponadto kwalifikacje przechodzą wszyscy mężczyźni.

To znaczy, że wszystkie kobiety powinny przechodzić kwalifikację czy odwrotnie: tylko część mężczyzn powinna być do tego zobowiązana?

Uważamy, że zasady kwalifikacji i służby powinny być jednakowe dla obu płci. Kraje, które przywracają obowiązkową służbę wojskową, przywracają ją dla obu płci. Wolelibyśmy oczywiście, aby służba pozostała taka, jaka jest, czyli ochotni-

eprasa.pl 944c8c46b0

cza i kontraktowa. Ale wiemy, że żyjemy w niespokojnym czasie, i nikt nie wie, co wydarzy się wkrótce. Równe prawa to równe obowiązki, a dzisiejsze pole walki to nie tylko okopy, broń pancerna, lecz także pilotaż dronów, logistyka, cyberprzestrzeń czy wywiad. O przydatności do służby czy danego rodzaju jej odbywania powinny decydować potrzeby wojska i indywidualne predyspozycje, a nie płeć.

A co rozumie pan pod nazwą, wspomnianych wyżej, „realnych nierówności"?

To nierówności niewynikające z przepisów prawa. Są one mniej widoczne, ale równie dotkliwe. O nierównościach w edukacji i wynikach w nauce już wspominałem. Równie poważne są problemy związane ze zdrowiem. Dla przykładu: jest znacznie mniej programów profilaktycznych kierowanych do mężczyzn, a mężczyźni rzadziej korzystają z tych, które są dostępne. Do ginekologa można pójść bez skierowania, a do urologa nie. Państwo finansuje akcje profilaktyczne związane z nowotworami piersi (i bardzo dobrze, bo zależy nam przecież na zdrowiu naszych żon, matek, sióstr, córek), ale nie ma analogicznych programów skierowanych do mężczyzn. Znana dość dobrze akcja profilaktyczna nowotworów jąder i prostaty „Movember" jest inicjatywą całkowicie oddolną i finansowaną z darowizn.

Mamy ponadto tragiczną statystykę samobójstw. Ponad 80 proc. skutecznych samobójców to mężczyźni. Co roku odbiera sobie życie ponad 4 tys. z nich. I choć w ostatnim roku ta liczba spadła, to jednocześnie na przestrzeni ostatnich 10 lat Polska była jedynym krajem regionu, gdzie ta tragiczna statystyka się nie poprawiała. Mamy też ogromny problem z osobami uzależnionymi, przede wszystkim od alkoholu. Jego spożycie rośnie, a Polska „przoduje" – w negatywnym sensie – w Europie w liczbie zgonów wywołanych jego nadużywaniem.

Dużo częściej niż kiedyś można spotkać się z tezą, że sądy preferencyjnie traktują kobiety, np. przy zasądzaniu opieki nad dzieckiem. Czy tak jest? Czy Stowarzyszenie dysponuje danymi na ten temat?

Traktowanie mężczyzn w sądach w przypadku rozstań jest, sądząc z relacji osób, które z nami się kontaktują, nacechowane stereotypami. Ojciec jest często z góry traktowany jako rodzic drugorzędny. Pieczę rodzicielską najczęściej powierza się matce, a ojciec dostaje możliwość określonej liczby dni w tygodniu i tygodni w roku z dzieckiem. Trudno jest nawet o wiarygodne dane – gdzie nie zapytać, otrzymujemy inne informacje.

Ogromnym problemem pozostaje alienacja rodzicielska. Pomimo orzeczenia sądu o regularnych kontaktach ojcowie są izolowani od swoich dzieci, a dzieci od ojców. Często towarzyszy temu manipulacja psychiką dziecka, aby utraciło więź z drugim rodzicem. Wymiar sprawiedliwości pozostaje bezradny, a ta forma przemocy psychicznej wobec własnego dziecka oraz drugiego rodzica nie jest karana. Europejski Trybunał Praw Człowieka zasądził od Polski odszkodowanie dla alienowanego rodzica – pisaliśmy o tym obszernie w jednym z artykułów na naszym blogu. I choć akurat w tym przypadku chodziło o matkę, a alienującym rodzicem był ojciec, to w większości spraw dotyczy to odwrotnego układu. Polskie państwo i politycy dostrzegli ten problem. Pojawiły się dwa projekty dotyczące pieczy dzielonej i przeciwdziałania alienacji rodzicielskiej: autorem jednego jest rząd, drugi to propozycja Konfederacji.

Czy alienowani ojcowie mają świadomość, że to problem „systemowy"?

Tak. Sami ojcowie powinni się organizować i już się organizują, ale potrzebne są także zmiany w prawie. W centrum trzeba postawić dobro dziecka, a nie jednego czy drugiego rodzica.

Jakie rozwiązania wyżej wymienionych problemów proponuje pana Stowarzyszenie?

Nasze Stowarzyszenie postuluje wprowadzenie rozwodów bez orzekania o winie oraz wprowadzenie tablic alimentacyjnych (na wzór Niemiec czy Danii), uwzględniających koszty utrzymania dzieci w miejsce dotychczasowych „potencjalnych możliwości zarobkowych", które są arbitralne i często dla płacących (nie tylko ojców, lecz także matek) nie do udźwignięcia. Niestety, pierwsza próba ich wprowadzenia, przeprowadzona przez poprzednie kierownictwo Ministerstwa Sprawiedliwości, skończyła się kompromitacją. Jeśli będzie kolejna – to do dialogu trzeba zaprosić organizacje obywatelskie.

Postulujemy także opiekę naprzemienną (pieczę współdzieloną) jako domyślną formę, tak aby dziecko mogło spędzić tyle samo czasu z ojcem, ile z matką, i ograniczenia jej dopiero w sytuacji, gdy np. jedno z rodziców nie radzi sobie z wychowaniem, dopuściło się przemocy lub w inny sposób naruszane jest dobro dziecka. Państwo powinno z jednej strony skuteczniej egzekwować alimenty, ale z drugiej – przestać zamykać do więzienia za ich niepłacenie, gdyż wtedy zamiast niewielkiej kwoty płaconej na dziecko mamy jedynie koszt dla funduszu alimentacyjnego oraz dodatkowego pensjonariusza zakładu karnego do utrzymania.

Ogromnym problemem pozostaje alienacja rodzicielska. Pomimo orzeczenia sądu o regularnych kontaktach ojcowie są izolowani od swoich dzieci, a dzieci od ojców. Często towarzyszy temu manipulacja psychiką dziecka, aby utraciło więź z drugim rodzicem. Wymiar sprawiedliwości pozostaje bezradny, a ta forma przemocy psychicznej wobec własnego dziecka oraz drugiego rodzica nie jest karana

Najlepiej jednak dla dziecka, aby do rozwodów i kłótni rodziców dochodziło jak najrzadziej.

Oczywiście. Jako Stowarzyszenie podkreślamy: lepsze od nawet najbardziej pokojowych rozstań są trwałe i szczęśliwe rodziny. Państwo polskie, paradoksalnie, potrafi wspierać grantami organizacje doradzające przy rozwodach, a jednocześnie nie jest w stanie stworzyć sieci poradni małżeńskich, które pomogłyby parom przezwyciężyć trudności, uratować i utrwalić związek. Na takie

eprasa.pl 944c8c46b0

wsparcie mogą liczyć jedynie osoby wierzące – takie poradnictwa organizują bowiem parafie i diecezje. Dlaczego nie państwo lub samorządy?

Zmieniając temat. Czy mężczyźni muszą mierzyć się ze stereotypami? Jeśli tak, to z jakimi i gdzie jest ich źródło?

Zdecydowanie tak. Najczęstszym jest chyba taki, że mężczyzna musi iść do pracy i zarabiać na byt całej rodziny, choć przecież mężczyzna dbający o dom i wspierający karierę swojej żony jest równie pełnowartościowy. Od mężczyzn wymaga się roli obrońcy. Wiele środowisk uważa, że hasło „moje ciało, moje prawo" dotyczy jedynie kobiet w konkretnej sytuacji. A co z mężczyznami? Oni mogą być np. przymusowo wcielani do wojska i wysyłani do walki. Dodajmy do tego jeszcze pojawiające się często, przy okazji relacjach z konfliktów czy różnego rodzaju wypadków sformułowanie, że „były »jakieś« ofiary, w tym kobiety i dzieci" – tak jakby mężczyźni nie byli pełnowartościowymi ludźmi, a co za tym idzie, nie mieli prawa do życia i ich śmierć była w jakiś sposób mniej dotkliwa i zarazem bardziej społecznie akceptowalna.

Istnieje też stereotyp, że mężczyzna ma nie okazywać emocji, bo to oznacza słabość. Tymczasem tylko wtedy, gdy mężczyźni będą potrafili przeżywać swoje emocje oraz mówić o nich, a także szukać pomocy, kiedy sytuacja ich przerasta, będą mogli poradzić sobie z problemami rodzinnymi, depresją, nałogiem czy chorobą. Konsekwencją nieokazywania słabości może być też to, że mężczyzna nie będzie interesował się własnym zdrowiem. Rezultat jest widoczny. Mniej mężczyzn korzysta z programów profilaktycznych i w rezultacie średnio żyją krócej. Tutaj trzeba dodać, że Narodowy Fundusz Zdrowia to jedna z niewielu instytucji w Polsce, która ten problem dostrzega. Na stronach NFZ można znaleźć informację o profilaktyce, dbaniu o własne zdrowie, diecie, pożytkach z ruchu i aktywności społecznej. Do dialogu zaprosiła nas poprzednia minister zdrowia, Izabela Leszczyna. Nie widzimy niestety, aby ministerstwo pod nowym kierownictwem kontynuowało uzgodnione już działania. Najbardziej bezczynne i obojętne pozostaje Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej – podczas gdy to w jego gestii jest większość problemów mężczyzn: emerytury, bezpieczeństwo pracy, wykluczenie społeczne, bezdomność. Co roku tracimy tysiące wartościowych mężczyzn, w pełni sił – a polityczki i politycy są na to obojętni.

Krajowe polityki równości dotyczą tylko tych obszarów, gdzie wykluczone są kobiety. Tymczasem jednostronna „równość" to równość na niby i mężczyźni dostrzegają to coraz wyraźniej.

A czy nie sądzi pan, że stereotypy są utrwalane np. w reklamach, gdzie mężczyzn pokazuje się jako niezdarnych „dużych chłopców", którym kobieta musi mówić, co robić?

Od czasu do czasu jakaś firma przedstawia mężczyznę jako niezdarę, który nie radzi sobie z niczym albo wprost: jest głupi. Jeden z banków wypuścił polaryzującą kampanię, która wprost obwiniała mężczyzn za to, że szybciej umierają, próbując w ten sposób zachęcić kobiety do inwestycji emerytalnych. Po naszych działaniach i serii protestów bank musiał się jednak z tej reklamy wycofać i postawić na pozytywny przekaz.

Polska to ostatni kraj, który nie zrównał wieku emerytalnego, a dokładniej: najpierw go zrównał, a potem znowu uczynił nierównym

Generalnie – choć czasami zdarza się głupiutka reklama, pokazująca mężczyznę, który z najprostszymi sprawami dzwoni do żony – pozytywnie odbieramy zmiany w wizerunku publicznym mężczyzn. Chcielibyśmy, aby coraz więcej mężczyzn i jak najwięcej par wybierało osobiście, jaki model jest najlepszy dla nich, i nie narzucały im go stereotypy.

Czy możemy zatem mówić o pozytywnym wizerunku mężczyzny w dzisiejszym świecie, w Polsce? Czy zmienił się on w ostatnich latach?

Jesteśmy świadkami potężnej zmiany w wizerunku mężczyzny, a także jego roli społecznej. W miejsce stereotypowego wzorca, czyli mężczyzny, który jest silny, sprawczy, nigdy nie okazuje emocji, pojawiają się bardziej zniuansowane portrety męskie. Największa chyba zmiana dotyczy ojcostwa i nie tylko występuje w kulturze, lecz także obserwowana jest w codziennych zachowaniach. Na przestrzeni ostatnich 20–30 lat nastąpiła prawdziwa rewolucja: widzimy ojca z wózkiem, na placu zabaw, zmieniającego pieluchę albo pozostającego w domu, kiedy matka dziecka realizuje aspiracje zawodowe. Dzisiaj to normalny albo wręcz pożądany obraz. Z badań CBOS wynika, że większość Polaków chce żyć w modelu partnerskim – akceptują to zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Wyłączając ojcostwo, mężczyzn obserwujemy też w niestereotypowych rolach, np. opiekuńczych. To akurat bardzo dobrze pokazał np. francuski film „Nietykalni". Widzimy więc ostatnio więcej mężczyzn okazujących emocje i mówiących o nich.

Zmiana norm kulturowych i stereotypów zależy w pewnym stopniu od samych mężczyzn, ale również od reszty społeczeństwa, w tym działań państwa. Wierzymy, że dobrostan mężczyzn to jedna z tych rzeczy, które powinny łączyć wszystkich i które są w interesie wszystkich, tak jak zdrowie publiczne, infrastruktura czy bezpieczeństwo państwa. Więcej zdrowych, zadbanych, aktywnych – fizycznie, społecznie i obywatelsko, szczęśliwych i realizujących własne aspiracje mężczyzn to szczęśliwsze społeczeństwo, trwalsze rodziny i również – nie oszukujmy się – więcej udanych związków i lepsza demografia. Nasze Stowarzyszenie działa na rzecz takiego pozytywnego, aktywnego i podmiotowego mężczyzny.

Nasze Stowarzyszenie organizuje co roku Kongres Mężczyzn, gdzie mówimy m.in. o męskiej twarzy wykluczenia (m.in. dyskryminacji, bezdomności), nałogach i ich przeciwdziałaniu, a także o mężczyznach w związkach. To dobre miejsce, żeby porozmawiać o „męskich" problemach także z politykami. Zachęcamy do śledzenia naszych działań.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Jakub Chabik – prezes Stowarzyszenia na rzecz Chłopców i Mężczyzn, inżynier informatyk i menedżer, doktor zarządzania, pracownik Politechniki Gdańskiej.

eprasa.pl 944c8c46b0

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SERHIJ RUDENKO:
„ZEŁENSKI. POZA SCENARIUSZEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~751 ZŁ~~

307,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 444 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

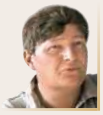
CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

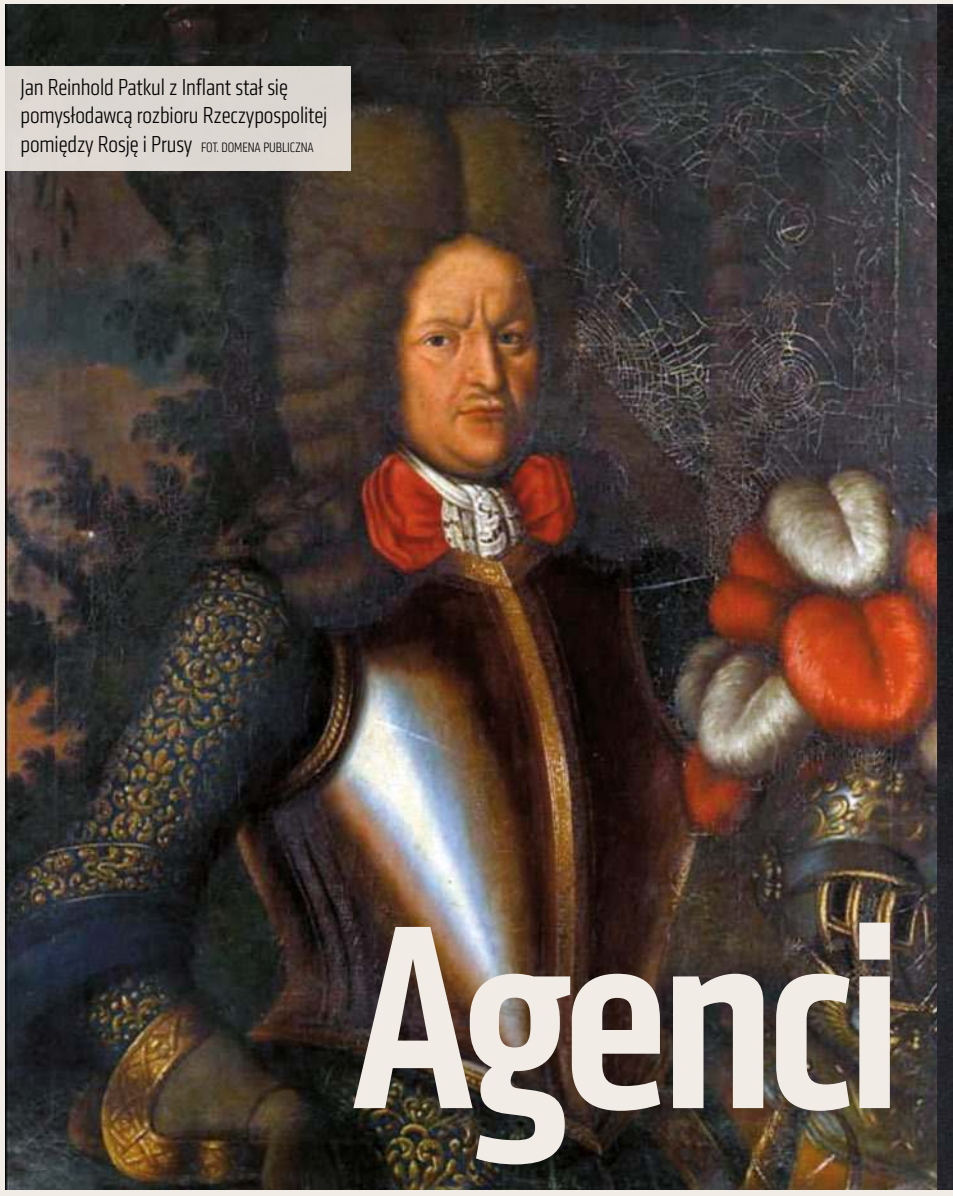
eprasa.pl 944c8c46b0



Jacek Komuda

Agenci

Upadek polityczny Rzeczypospolitej sprawił, że pojawili się awanturnicy i lobbyści, dla których jej rozbiory oznaczały cel i interes życia



Jan Reinhold Patkul z Inflant stał się pomysłodawcą rozbioru Rzeczypospolitej pomiędzy Rosję i Prusy FOT. DOMENA PUBLICZNA

Przez całe wieki XVII i XVIII władcy Europy oraz ich ministrowie korzystali z usług awanturników, spełniających funkcję szpiegów, ambasadorów i specjalnych agentów, którzy często zmieniali służbę, zdradzali i przechodzili do kolejnych panów. W działaniach podobni byli do dzisiejszych lobbystów, którzy podsuwali suwerenom ryzykowne, ale zyskowne plany i spodziewali się uzyskać z tego korzyści. Takim awanturnikiem był choćby uwodziciel Giacomo Casanova, ale też przez jakiś czas po ucieczce z Polski Kazimierz Pułaski. Niespodziewanie jednak pojawili się tacy, którzy zaczęli opracowywać plany okrojenia lub rozbioru Rzeczypospolitej i próbować zainteresować nimi ościennych władców, widząc w tym korzyść dla siebie.

Chociaż idea rozbiorów została zapoczątkowana przez Prusy, to jednak pierwszym pionkiem na politycznej szachownicy europejskiej, który zaproponował częściowy podział Rzeczypospolitej, był Jakub Sobieski, zabiegający o poparcie na elekcji w 1697 r. Oferował dworowi szwedzkiemu oddanie Prus Królewskich i Kurlandii w zamian za uzyskanie korony. Jednak awanturnicza polityka zraziła do niego zarówno cesarza, jak i elektora Brandenburgii Fryderyka I Wilhelma. Wcześniej stracił poparcie szlachty z powodu sporu z matką Marią Kazimierą o spadek po zmarłym królu Janie III. Nikt inny, jak tylko syn zwycięzcy spod Wiednia, rozpoczął niechlubną praktykę kupczeniem ziemiami Rzeczypospolitej w zamian za polityczne poparcie. Nie trzeba było też wiele czasu, aby pojawili się naśladowcy.

Jednym z pierwszych był człowiek, o którym pisałem już w „Do Rzeczy", jednak jego postać warta jest przypomnienia. Jan Reinhold Patkul z Inflant, który usiłował doprowadzić do uniezależnienia tej prowincji od Szwecji. Pojawił się na dworze króla Augusta II Mocnego i zaproponował najpierw… rozbiór Szwecji – wcielenie Inflant do Korony polskiej i podział pozostałych włości między Saksonię, Danię i Brandenburgię – a kiedy ta ostatnia nie wyraziła zainteresowania – Rosję. Patkul przekonał króla do rozpoczęcia wojny ze słabą – jak mówił – Szwecją; obiecywał, że w Inflantach wybuchnie powstanie; bezwzględnie to właśnie on był jednym ze sprawców nieszczęsnej wojny, która przyniosła ruinę Rzeczypospolitej. August mianował go dyplomatą i zawarł za jego pośrednictwem układy z Danią i Rosją w Preobrażenskoje, przewidując uderzenie armii saskiej i rosyjskiej na Szwecję. Jednak plany zawaliły się prawie od razu, gdyż Karol XII pobił kolejno: Duńczyków, Rosjan i wreszcie Augusta II, zajmując pół Rzeczypospolitej. Widząc klęskę patrona, Patkul przeszedł na służbę do cara Piotra I, stając się zarazem zagrożeniem dla króla, gdyż wiedział o jego wielu tajemnicach. Bezczelnie wrócił do Rzeczypospolitej w roli posła carskiego i dowódcy sojuszniczych wojsk rosyjskich. Patkul stał się teraz pomysłodawcą rozbioru Rzeczypospolitej pomiędzy Rosję i Prusy, którym chciał zapłacić za przystąpienie do wojny po stronie sprzymierzonych ziemiami polskimi Prusami Królewskimi i Kurlandią. Jak podaje Urszula Kosińska w „Niezreali-

eprasa.pl 944c8c46b0



Johann August Marschall von Bieberstein. Jak pisze Urszula Kosińska: „Pojawiał się na scenie, zawsze gdy zaczynano mówić o aneksji lub rozbiorze ziem polskich"

FOT. DOMENA PUBLICZNA

rozbiorowi

zowanych projektach rozbioru Rzeczypospolitej w czasach Augusta II", inicjatywa wyszła już w 1703 r. właśnie od Patkula, który usiłował wciągnąć Prusy do wojny. Być może pod jego wpływem Moskwa rozpatrywała możliwość aneksji części Litwy i Ukrainy. Najwięcej zainteresowania budził pas pograniczny po Dźwinę i Dniepr: były to Kurlandia, teren województw połockiego, witebskiego i mścisławskiego, a także polska część Ukrainy.

Niezależnie od tego, kto naprawdę wymyślił, jak zapłacić Prusom za wsparcie, Patkul poszedł za daleko. W nocy z 19 na 20 grudnia 1705 r. z rozkazu Augusta II został aresztowany i osadzony na zamku Sonnenstein nad Pirną. Kiedy rok później król Szwecji Karol XII uderzył na Saksonię, zmusił Augusta nie tylko do zrzeczenia się korony polskiej, lecz także do wydania byłego poddanego. W 1707 r. jako zdrajcę skazano go na łamanie kołem, ścięcie i ćwiartowanie. Wyrok wykonano na łące pod Kazimierzem Biskupim. Dziś miejsce jego egzekucji powinno być pokazywane nie jako ciekawostka, ale lekcja na przyszłość – jak traktować należało podobnych sprzedawczyków.

Kolejni agenci rozbiorowi wyrastali jak grzyby po deszczu. Jednym z nich był Johann August Marschall von Bieberstein, syn saskiego radcy stanu, który w 1700 r. przeszedł na stronę Prus i rozpoczął karierę dyplomaty. Jak pisze Urszula Kosińska: „Pojawiał się na scenie, zawsze gdy zaczynano mówić o aneksji lub rozbiorze ziem polskich". Bieberstein brał udział w rokowaniach rozbiorowych w latach 1703–1705, później, od 1709 r., przygotował co najmniej kilka projektów rozbiorowych, opowiadał się za opiłowaniem Rzeczypospolitej także tuż przed śmiercią Augusta II, w 1732 r.

Jednym z jego większych planów był ten, który przygotował w 1709 r. i przedstawił pozbawionemu tronu Augustowi II Mocnemu, jeszcze przed bitwą pod Połtawą jako swoisty „grand dessein" (wielki plan). Określał on maksymalne granice zainteresowań pruskich. Za cenę uznania Augusta ponownie za króla, wzmocnienia władzy i akceptacji dziedziczności tronu w Polsce Prusy zagarnąć miały Pomorze Gdańskie, Warmię i otrzymać protektorat nad Kurlandią, natomiast Inflanty zostałyby oddane we władanie Stanisławowi Leszczyńskiemu. Dla Augusta pozostawiano resztę terenów Korony i Litwy.

Projekt Biebersteina zawierał jedną ciekawostkę, której nie było w poprzednich próbach rozbiorowych. Zakładał, że w zamian Prusy i – w domyśle – Rosja pomogą Augustowi zreformować Rzeczpospolitą. Oferta sprawiała wrażenie, że jest przygotowana w imię interesów abdykowanego króla Polski; tym samym otwierała możliwość manipulacji – że oto sam August zainteresowany jest oddaniem części terytoriów swego królestwa w zamian za pomoc w narzuceniu Polakom siłą reform absolutystycznych.

August pozbawiony wówczas korony początkowo projekt ów przyjął, domagając się w zamian należącego do Brandenburgii Krosna Odrzańskiego, które miało utworzyć pomost łączący bezpośrednio Saksonię i Polskę. To okazało się z kolei nie do zaakceptowania dla Berlina, w którym działał już kolejny agent rozbiorowy, z pochodzenia Polak, Daniel Ernest Jabłoński, kaznodzieja i zaufany człowiek księcia Fryderyka. Urodzony w Mokrym Dworze na Pomorzu pełnił godność rektora gimnazjum protestanckiego w Lesznie, a w 1707 r. przeniósł się do Prus, stając się zausznikiem księcia, jego nadwornym kaznodzieją i jednym z założycieli akademii nauk. Opracował własny projekt podziału Rzeczypospolitej, a jego suweren

eprasa.pl 944c8c46b0

przedstawił go w 1709 r., w trakcie spotkania w Kwidzynie z Augustem II i Piotrem I. Car jednak odrzucił propozycję. Rozbiory? „Es się nich practicabel" (to niepraktyczne) – miał odpowiedzieć, zawierając z księciem jedynie traktat obronny, a nie zaczepny. Jego słowa są do dziś często cytowane przez historyków.

Berlin jednak nie dawał za wygraną. W 1710 r. złożył projekt rozbiorowy po raz kolejny – wykorzystując znowu plan Biebersteina i nazywając go „Herrensrefform" (męska reforma), czyli próba wzmocnienia władzy. Został przedstawiony najpierw współpracownikom Sasa, a potem także dyplomacji cara Piotra I. Zawierał propozycję wzmocnienia władzy królewskiej w Polsce za „convenable satisfaction" (słuszną satysfakcję) dla Prus w postaci Prus Królewskich, Elbląga, Warmii, Żmudzi, Kurlandii i szwedzkiego Pomorza Zachodniego. Rosji przebiegle zaproponowano Inflanty (które i tak zdobyła) oraz część Litwy.

Rosja nie wykazała zainteresowania propozycjami Prus, natomiast wysunęła własny projekt, proponując, aby Rzeczpospolita została rosyjskim protektoratem bez żadnych zmian ustroju. Oczywiście Polacy musieliby odpowiednio „podziękować" carowi za okazaną łaskę, oddając w zamian województwo mścisławskie i prawobrzeżną Ukrainę. Na szczęście dyplomacja saska zdołała pokrzyżować rozmowy prusko-rosyjskie.

ANTYKRÓL I ROZBIOROWY ANTYCHRYST?

Działalność wspomnianych agentów blednie jednak przy wyczynach człowieka, którego można by chyba najmniej podejrzewać o plany rozbiorów. Był to… król Polski Stanisław Leszczyński, wyniesiony na tron przez Szwedów w 1704 r. i zwany „antykrólem". Władca, który w świadomości współczesnych Polaków i historyków pozostawił wrażenie dobre, w rzeczywistości przez pół życia kupczył prowincjami Rzeczypospolitej. Kiedy jego władza, uzależniona od Szwedów, zaczęła się chwiać i obce mocarstwa rozważały powrót na tron Augusta II, Leszczyński ofiarowywał swemu protektorowi, królowi Karolowi XII, dwie prowincje – Kurlandię, będącą lennem Rzeczypospolitej, i Inflanty polskie. Nie wiadomo też, czy nie zrezygnował z nich już w czasie pierwszego spotkania z Karolem XII, w Heilsbergu, gdzie padła propozycja, aby objął tron. Jak pisze Władysław Konopczyński w książce „Polska a Szwecja. Od pokoju oliwskiego do upadku Rzeczypospolitej": „Zdaje się, że on już w Heilsbergu, przy pamiętnym spotkaniu z Karolem, mógł poznać cele swego protektora i nie okazał oporu".

To zatem Leszczyński, zwany „antykrólem", a nie powszechnie krytykowany dzisiaj August II Mocny, pierwszy zgodził się na okrojenie terytoriów Rzeczypospolitej, które mogło być uznane za jakąś formę rozbioru. Odsłaniał on słabą naturę późniejszego króla Polski wybranego w 1733 r. już na oficjalnej elekcji.

Po bitwie pod Połtawą i powrocie Augusta II odsunięty od tronu Leszczyński rozdawał hojnie ziemie Litwy i Korony w zamian za pomoc Prus w ataku na Rosję – przeprowadzonym – z Pomorza Zachodniego przez armię szwedzką na tereny Korony i Litwy. Popierał wszystkie inicjatywy rozbiorowe, które wychodziły od jego protektora – przegranego króla Szwecji. Karol XII stał się zatem kolejnym rzecznikiem rozbiorów. W 1713 r. przesłał do elektora Prus propozycje, w których w zamian za pomoc w odzyskaniu korony przez Leszczyńskiego oraz wsparcie militarne otrzymać miał biskupstwo warmińskie. Gdyby jednak Fryderyk Wilhelm uznał ten nabytek za niewystarczający, Karol XII gotów był oddać Elbląg, a w ostateczności zgodzić się na połączenie terytoriów pruskich, czyli oddać tereny całych Prus Królewskich. Przyrzekał to w imieniu własnym i Leszczyńskiego, nie informując go o tym. A gdy Leszczyński został w końcu powiadomiony, pokornie zaakceptował plan, twierdząc, że „Polska, która nigdy nie rządziła się prawdziwym interesem własnym, nie może sprzeciwić się projektowi przecież tak zbawiennemu, dzięki któremu Rzeczpospolita może znaleźć ochronę przed wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwami". W swoistym kundlizmie politycznym zapytywał nawet suwerena, co zrobić, aby uzyskać zgodę Polaków na te cesje terytorialne na sejmie, i stwierdzał: „Jeśli dojdzie do tej ostateczności, jestem zdania, że lepiej opłaca się stracić jeden człon aniżeli całe ciało i że trzeba zapobiec gangrenie". Jak pisze Edmund Cieślak: „Powstała paradoksalna sytuacja: król szwedzki dla ratowania swojego królestwa, wobec niepowodzeń w sprawie nakłonienia Turcji do wojny z Rosją, kapitulacji armii Stenbocka w twierdzy Tonningen w Holsztynie, nakłania Prusy do przymierza antyrosyjskiego i wabi je nabytkami terytorialnymi kosztem Polski, nie Szwecji, a plan ten akceptuje Leszczyński jako władca szykujący się do ponownego objęcia panowania w kraju, którego integralność godził się naruszyć. Chodziło mu przy tym o osiągnięcie własnych, egoistycznych celów, a nie o realizację państwowego, zbawiennego dla Rzeczypospolitej planu politycznego". Powyższe działania wystawiają „Lasowi" haniebną kartę i dziwić się można, że w ogóle rozważano jego kandydaturę do tronu po śmierci Augusta II! Okazał się niestety podłym karaluchem płaszczącym się przed i tak przegranym Karolem XII.

PROWOKACJA LEHMANNA

Tymczasem pruska dyplomacja posuwała się coraz dalej. W 1715 r., kiedy Sasi próbowali pozyskać pomoc elektora w odparciu przewidywanej agresji szwedzkiej, minister nowego władcy Prus Fryderyka Wilhelma I, Hans Rudiger von Ilgen, przedstawił jeszcze brutalniejszy plan rozbiorów i ingerencji w sprawy Rzeczypospolitej. Otóż zaproponował, że Prusy mogą wspomóc zbrojnie króla Augusta, aby polską szlachtę dosłownie „zmusić do rozsądku" oraz wprowadzić w Polsce dziedziczny tron i absolutyzm. W zamian za to domagał się Prus Królewskich, Elbląga, Warmii, Żmudzi i praw do Kurlandii. Nowością był fakt, że August otrzymałby jednak jakiś „korytarz" łączący Saksonię i Polskę, a także Inflanty jako odszkodowanie za utratę Pomorza i Gdańska.

Kolejnym krokiem w stronę rozbiorów było stworzenie przez Prusy swoistego majstersztyku dyplomatycznego, prowokacji, która miała utorować drogę ich roszczeniom, a przy okazji osłabić pozycję króla Polski. Wykonawcą był kolejny agent rozbiorowy – żydowski faktor i dostawca dworu saskiego Berendt Lehmann, który w 1721 r. pojawił się w Dreźnie i przedstawił plan nowego rozbioru. Został wysłuchany przez króla, a także przez Flemminga, który go stanowczo odrzucił. Wówczas Lehmann udał się do Berlina i przedstawił ten projekt księciu Fryderykowi Wilhelmowi, dodając bezczelnie, że jest to oficjalna propozycja saska, gdyż August II szuka sojuszników w celu przeprowadzenia

eprasa.pl 944c8c46b0



Król Polski Stanisław Leszczyński przez pół życia kupczył prowincjami Rzeczypospolitej

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

zamachu stanu. Jak pisze Urszula Kosińska: „Nie ma pewności, czy intryga była pomysłem samego Lehmanna czy kogoś innego, ale raczej z kręgów berlińskich niż drezdeńskich, bowiem Drezno próbowało zdusić sprawę w zarodku". Owa prowokacja pojawiła się w niekorzystnym momencie dla elektora, ponieważ Sasi składali właśnie w Petersburgu projekt przymierza z carem, wymierzonego niedwuznacznie w Prusy.

Berlin doniósł carowi o projekcie Lehmanna, czym swoją drogą dał dodatkowe argumenty Piotrowi I. Przedstawił króla polskiego jako słabowitego władcę, który poszukuje sojuszników do walki z własnymi poddanymi i gotów jest zapłacić za to ziemiami Rzeczypospolitej. Dalej było, jak pisze Kosińska: „W pewnym momencie August II […], czegokolwiek by nie zrobił, zostałoby to zinterpretowane na jego niekorzyść. Wygraną (acz nie inicjatorem) w tej sprawie okazała się strona rosyjska: Piotr I bezkarnie mógł odsunąć zdyskredytowanego na arenie międzynarodowej Wettyna od rokowań pokojowych ze Szwecją i wbrew wcześniejszym obietnicom zawrzeć w Nystad pokój bez udziału Rzeczypospolitej". Niebawem pojawiła się też kolejna propozycja rozbiorowa; choć może to szokować, zakładająca zarówno kłamliwą narrację, jak i rozwiązania, które zostały zastosowane przeciwko narodowi polskiemu w czasie drugiej wojny światowej.

GUŁAG DLA SARMATÓW

W chwili, kiedy w Polsce wybuchł tumult przeciwko protestantom w Toruniu, pod koniec 1724 r. pojawił się pruski projekt rozbioru Rzeczypospolitej połączonego ze spacyfikowaniem jej mieszkańców. Zakładał interwencję wojsk pruskich, saskich i angielskich, które miały wylądować nad Wisłą, aby Polskę – stolicę europejskiego ciemnogrodu – „doprowadzić do kwitnącego stanu". Interwencja miała nastąpić w imię dobra samych Polaków, którym najeźdźcy mieli wybudować manufaktury, rozwijać handel, przywrócić tolerancję, a przy okazji zagarnąć niektóre prowincje. Ponurą ciekawostką jest fakt, że przewidywano opór szlachty i społeczeństwa. Autor proponował zatem stworzenie obozów odosobnienia dla przedstawicieli szlacheckiej elity; czegoś na wzór późniejszych sowieckich łagrów i niemieckich obozów koncentracyjnych!

Kto był autorem tego planu? Historycy uważają, że wspominany Daniel Ernest Jabłoński. Szczegóły samej operacji pozostawały jednak w ukryciu, będąc elementem sekretnych negocjacji pruskich, angielskich i holenderskich. Plan ów używany był przez Prusy w negocjacjach o powołanie ligi hanowerskiej wymierzonej przeciwko Habsburgom. Jednak sprawił na Zachodzie wrażenie, że August II może zgodzić się na rozbiór Polski, a co więcej – sam go chce!

Plany rozbiorowe z początku XVIII w. okazały się jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Aż po sam koniec I Rzeczypospolitej składali je agenci Prus i Rosji. W tej ostatniej rzecznikiem podziału Polski i Litwy stał się szef Kolegium Wojskowego, Zachar Czernyszew. Kolejny plan pruski, zwany planem hrabiego Lynara, został na przełomie lat 1768 i 1769 przesłany do Petersburga jako propozycja dyplomatyczna, ale dla bezpieczeństwa – bynajmniej nie jako własna koncepcja Fryderyka. Jednocześnie elektor zaproponował zawarcie trójstronnego sojuszu trzech czarnych orłów. Gorliwymi agentami rozbiorowym byli: Ewald Friedrich von Hertzberg, pruski minister spraw zagranicznych. A także faworyt, a być może mąż carycy Katarzyny, książę Potiomkin, snujący wręcz fantastyczne plany objęcia przez siebie władzy w okrojonej Polsce. Ostatecznie jednak rozbiory przeprowadziła jego bezwzględna kochanka – Katarzyna, skreślając Rzeczpospolitą – na szczęście nieskutecznie – z mapy Europy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

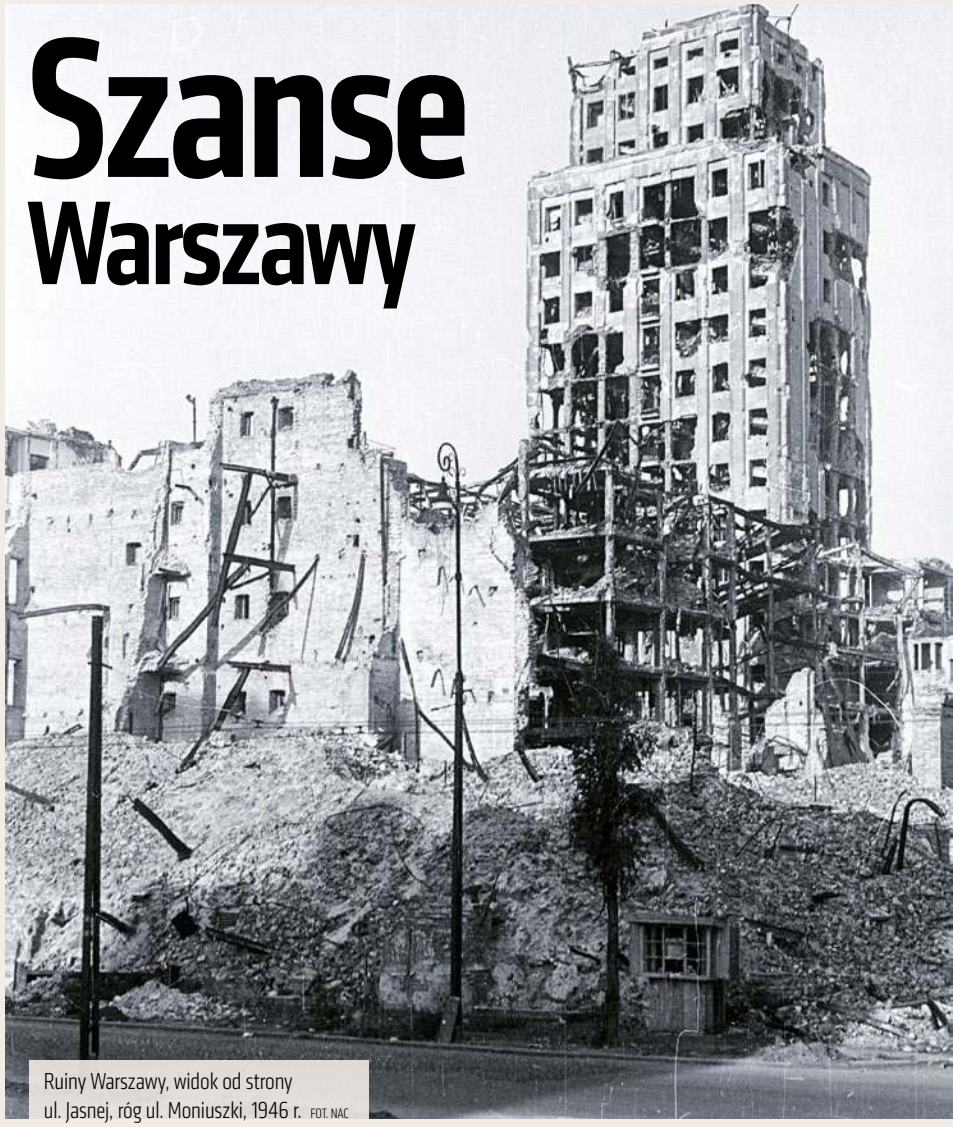
eprasa.pl 944c8c46b0

Szanse Warszawy



Rafał Adamus

Sprawa roszczeń stolicy Polski z powodu metodycznych zniszczeń po powstaniu warszawskim mogłaby zostać „wyjęta" z bardzo trudnego zagadnienia roszczeń państwa polskiego względem Niemiec z tytułu drugiej wojny światowej



Ruiny Warszawy, widok od strony ul. Jasnej, róg ul. Moniuszki, 1946 r. FOT. NAC

Przy okazji kolejnej rocznicy wybuchu powstania warszawskiego warto poruszyć temat odpowiedzialności za jego niektóre tragiczne następstwa. Może to odnosić się wyłącznie do kwestii strat materialnych. Kwestia odpowiedzialności prawnej za masakrę ludności cywilnej w powstaniu warszawskim w zasadzie została przegrana.

Niewątpliwy jest fakt poniesienia bezprecedensowych szkód w miejskim mieniu publicznym przez miasto stołeczne Warszawę w czasie drugiej wojny światowej. Oczywiście niecałe mienie znajdujące się w Warszawie zniszczone w czasie działań wojennych należało do miasta stołecznego: zniszczeniu uległo także mienie ogólnopaństwowe (tzn. niemiejskie), mienie prywatne (osób fizycznych, spółek, spółdzielni), mienie kościelne itp. Czy Warszawa może samodzielnie domagać się od Niemiec naprawienia przynajmniej części wyrządzonych szkód? Sprawa jest trudna, ale warto poddać publicznej debacie następujące argumenty.

SZCZEGÓŁOWY PROJEKT

W planach niemieckich koncepcja zburzenia Warszawy powstała jeszcze przed niemiecką napaścią na Polskę. Die Neue Deutsche Stadt Warschau („Nowe Niemieckie Miasto Warszawa") miało być małym prowincjonalnym niemieckim miasteczkiem na gruzach stolicy Polski. Przygotowany przez niemieckich architektów plan wyburzeń stołecznego miasta, zwany „planem Pabsta", nie był tylko ogólną ideą. Ten w miarę szczegółowy projekt był w dalszych latach aktualizowany.

Sprawa jest też o tyle złożona, że szkody w substancji miasta Warszawy wyrządzano w różnych okresach: w czasie wojny obronnej w 1939 r., w czasie likwidacji getta warszawskiego, w czasie powstania warszawskiego, wreszcie – co wydaje się najłatwiejsze do dochodzenia pod względem prawnym – po powstaniu warszawskim (metodyczne zniszczenia objęły wówczas m.in. budynki administracji komunalnej, komunalne szkoły powszechne, szpitale miejskie, biblioteki miejskie, miejskie instytucje kultury, miejskie mienie komunikacyjne i transportowe, miejskie mienie gospodarcze, komunalne domy czynszowe itp.). Począwszy od, mniej więcej, 1 sierpnia 1944 r., inne były losy lewobrzeżnej i prawobrzeżnej Warszawy. Generalnie sprawcami szkód było państwo niemieckie (choć należy pamiętać o sowieckich bombardowaniach miasta czy zniszczeniach z lat 1944–1945, w czasie walk – w uproszczeniu rzecz ujmując – sowiecko-niemieckich).

Według art. 3 IV konwencji haskiej z 1907 r. dotyczącej praw i zwyczajów wojny lądowej, ratyfikowanej także przez Niemcy, państwo prowadzące wojnę odpowiada za każdy czyn osoby wchodzącej w skład sił zbrojnych tego państwa. Co ważne dla argumentacji, 2 października 1944 r. został zawarty w Ożarowie polsko-niemiecki układ o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie pomiędzy walczącymi stronami. „Upełnomocnionym" sygnatariuszem porozumienia ze strony niemieckiej był dowodzący w obszarze Warszawy SS-obergruppenführer und General der Polizei Erich von dem Bach-Zelewski. „Upełnomocnionymi" osobami ze strony Armii Krajowej byli pułkownicy Kazimierz Iranek-Osmecki (Jarecki)

eprasa.pl 944c8c46b0

i Zygmunt Dobrowolski (Zyndram). Układ stanowił m.in.: „I.1. W dniu 2 X 1944 […] ustają działania wojenne między polskimi oddziałami wojskowymi walczącymi na obszarze miasta Warszawy a oddziałami niemieckimi […]. 10. […] Umożliwi się ewakuowanie przedmiotów posiadających wartość artystyczną, kulturalną i kościelną. Dowództwo niemieckie dołoży starań, by zabezpieczyć pozostałe w mieście mienie publiczne i prywatne". Układ ożarowski został przez stronę polską wykonany.

9 października 1944 r. Reichsführer-SS Heinrich Himmler wydał rozkaz zniszczenia Warszawy: „Miasto ma całkowicie zniknąć z powierzchni ziemi i służyć jedynie jako punkt przeładunkowy dla transportu Wehrmachtu. Kamień na kamieniu nie powinien pozostać. Wszystkie budynki należy zburzyć aż do fundamentów. Pozostaną tylko urządzenia techniczne i budynki kolei żelaznych".

Zatem podsumowując: metodyczne zniszczenie Warszawy było przez Niemców tak czy inaczej planowane. Przeprowadzone zostało w ramach wojny napastniczej, po kapitulacji strony powstańczej w 1944 r., w niebronionym przez nikogo mieście, nie tylko wbrew prawu wojennemu, lecz także wbrew wyraźnym niemieckim gwarancjom z układu ożarowskiego. Zrównanie z ziemią stolicy innego państwa było zdarzeniem bez precedensu w czasie drugiej wojny światowej. Przed drugą wojną światową Warszawa miała własną osobowość prawną. Może zatem występować prawnie jako poszkodowany z tytułu z jednej strony bezprawnego zbrodniczego deliktu i zarazem, z drugiej strony z niewykonania zobowiązania na korzyść osoby trzeciej (układu ożarowskiego). Przesłanką dochodzenia roszczeń odszkodowawczych nie jest potwierdzenie odpowiedzialności państwa sprawcy w traktacie pokojowym.

Miasto – stanowiące część państwa – nie jest samodzielnym podmiotem prawa międzynarodowego (może być jednak poszkodowanym deliktem innego państwa). Warszawa nie mogła być stroną ustaleń międzynarodowych po drugiej wojnie światowej w sprawie reparacji i odszkodowań. Warszawy nie wiązał rozdział IV („Reparacje z Niemiec") układu poczdamskiego z 2 sierpnia 1945 r., który stanowił, że ZSRS ma zaspokoić polskie żądania o odszkodowanie ze swej własnej części odszkodowań. Warszawa nie była stroną zawartej w Moskwie 16 sierpnia 1945 r. bilateralnej umowy między Polską a ZSRS. Na marginesie warto przypomnieć, że ZSRS zobowiązał się do odstąpienia Polsce 15 proc. świadczeń przysługujących tytułem niemieckich reparacji, niemniej… w zamian za dostarczenie przez Polskę od 8 do 13 mln ton „węgla niemieckiego" rocznie po znacznie zaniżonych cenach. Do poszkodowanej Warszawy nie odnosiło się oświadczenie ZSRS z 15 sierpnia 1953 r. o całkowitym zwolnieniu Niemiec z dniem 1 stycznia 1954 r. z zobowiązań reparacyjnych. Dalej można bronić poglądu, że do roszczeń odszkodowawczych Warszawy nie odnosiło się oświadczenie rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z 23 sierpnia 1954 r. w brzmieniu: „[…] rząd PRL – pragnąc wnieść swój dalszy wkład w dzieło uregulowania problemu niemieckiego w duchu pokojowym i demokratycznym oraz zgodnie z interesami narodu polskiego i wszystkich pokój miłujących narodów – powziął decyzję o zrzeczeniu się z dniem 1 stycznia 1954 r. spłaty odszkodowań na rzecz Polski". Sprawa roszczeń Warszawy mogłaby zostać „wyjęta" z bardzo trudnego zagadnienia roszczeń państwa polskiego względem Niemiec z tytułu drugiej wojny światowej.

BYŁY JUŻ PRECEDENSY

Można założyć, że państwo niemieckie w przypadku skierowania pozwu przez Warszawę do polskiego sądu powoła się m.in. na swój immunitet jurysdykcyjny. Po upadku III Rzeszy odpowiedzialność prawna przeszła na jej sukcesora, czyli RFN. W zasadzie sądom państw obcych (państw miejsca zdarzenia) nie przysługuje w stosunku do państwa niemieckiego jurysdykcja w sprawie odpowiedzialności i odszkodowań, gdyż działanie sił zbrojnych III Rzeszy było aktem de iure imperii, a ten objęty jest wspomnianym immunitetem jurysdykcyjnym państwa. Nawet w przypadku wydania orzeczenia przeciwko państwu sprawcy przez sąd państwa zdarzenia nie może być ono wykonane z uwagi na immunitet egzekucyjny państwa sprawcy.

Okoliczności czynu raczej przemawiają za nieuwzględnieniem ewentualnego zarzutu przedawnienia. 26 listopada 1968 r. Zgromadzenie Ogólne ONZ uchwaliło konwencję o niestosowaniu przedawnienia wobec zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości. Roszczenia odszkodowawcze Warszawy nie mogły wygasnąć przez fakt ich niewykonywania (tzw. odwyknięcie, przemilczenie, desuetudo). Nie mogło również dojść do milczącej zgody (acquiescence) w sprawie zrzeczenia się przez Warszawę roszczeń względem Niemiec.

Dodać należy, że były precedensy, w których pewne „świadczenia" były transferowane bezpośrednio do miast. RFN skierowała tzw. gesty zadośćuczynienia (Gesten der Wiedergutmachung) do greckiej miejscowości Distomo w związku z masakrą mieszkańców dokonaną przez Niemców 10 czerwca 1944 r. Liczba ofiar wynosiła 218 mieszkańców. Inna grecka gmina, dotknięta niemieckimi pacyfikacjami, otrzymała wsparcie na sfinansowanie miejsc pamięci (Kalavryta). Podobnie miejscowość Kandanos na Krecie otrzymała środki na odbudowę pomników i sfinansowanie lokalnej infrastruktury. Wspólnym mianownikiem świadczeń pieniężnych dla wyżej wymienionych, a także innych greckich miejscowości było finansowanie infrastruktury użyteczności publicznej czy miejsc pamięci. Były też one z reguły odpowiedzią na kampanie prowadzone przez lokalne społeczności. Strona niemiecka nigdy ich nie określała jako „reparacje" czy „odszkodowania". Masakra mieszkańców była przyczyną wypłaty świadczeń na rzecz wypłaty na rzecz miejscowości włoskich (np. Marzabotto). Szczególny przypadek dotyczył umowy jugosłowiańsko-niemieckiej z 1956 r. (tzw. Globalentschädigung), na mocy której sfinansowano odbudowę infrastruktury miast portowych (np. Rijeka, Split) zniszczonych w czasie drugiej wojny światowej.

Warszawa mimo zniszczeń została odbudowana. Wartościami cenniejszymi nad pieniądze wydają się poczucie pewnej sprawiedliwości, edukacja historyczna, współpraca polsko-niemiecka na gruncie prawdy historycznej. Odpowiedzialność za straty Warszawy w drugiej wojnie światowej można wyrazić w budowie i utrzymaniu odpowiedniej, godnej do okoliczności, infrastruktury, odbudowie niektórych zabytków, aktywnej rewindykacji utraconych dóbr kultury itp.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prawnikiem, profesorem nauk społecznych, wykładowcą Uniwersytetu Opolskiego.

eprasa.pl 944c8c46b0



KOMUCHOŻERCA

Zażarta walka

LESZEK ŻEBROWSKI

Od samego początku, czyli od przyjęcia ustawy o Narodowym Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych (to już 15 lat), trwa z nimi bezpardonowa walka. Wcześniej, od 1944 r., była to walka bezpośrednia, związana z masowymi represjami: obławy, pacyfikacje, jawno- i skrytobójstwa. W ich wyniku życie straciło co najmniej kilkadziesiąt tysięcy ludzi! Żołnierze Wyklęci walkę tę przegrali, wobec olbrzymiej potęgi Sowietów nie mieli szans. Ale wtedy tego nie wiedzieli. Polska miała obiecane na konferencji w Poczdamie (1945 r.) wolne wybory i do nich chcieli dotrwać. Później zostali już sami, bez nadziei, ale wyjść z konspiracji nie mogli, bo to oznaczało dalsze wielkie straty.

Przez cały okres Polski Ludowej (1944–1989) trwała równolegle walka ideologiczna i propagandowa. Oni zaś nie mogli się bronić. I gdy wydawało się, że po 1989 r. zaczniemy wracać do normalności, po kilku pierwszych latach względnego uśpienia i wyciszenia, komuniści (zwani niesłusznie „postkomunistami") przystąpili do walki na nowo. Celem było przede wszystkim zohydzenie ich ofiary i jej zdeprecjonowanie. Rola katów i ofiar odwracała się. Dziś dzieci ubeków i innych filarów stalinowskiego reżimu domagają się… odszkodowań! I mają poparcie w parlamencie. Kto wie, jak się to skończy?

Ale jest coś więcej – nowa ofensywa propagandowa przybiera na sile. Świadkowie tamtych wydarzeń w olbrzymiej większości już wymarli, solidne publikacje nie są czytane (bo za grube i za nudne), więc pole do popisu mają propagandyści. Jak to dziś działa? Przypatrzmy się tylko jednej publikacji. Oto Instytut Narutowicza (który powstał na gruzach poważnego Instytutu Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego) opublikował książeczkę dwóch docentów: socjologa Krzysztofa Jaskułowskiego i kulturoznawcy Piotra Majewskiego: „Polityka pamięci »żołnierzy wyklętych« w Polsce". Żołnierze Wyklęci to nazwa własna, w dodatku ustawowa, pisana zaś małymi literami świadczy o skrajnie ideologicznym podejściu. Obaj docenci mają starannie ukryty dorobek z tego zakresu. Może go wręcz nie mają?

Wystarczy rzut oka i już wszystko jasne: autorzy swych dziwnych rozważań sprowadzą wszystko do rządów PiS, jakby nie istniało olbrzymie zapotrzebowanie Polaków na historię prawdziwą. Dla nich Żołnierze Wyklęci to… „semiotyczny operator". Co więcej, dla nich Żołnierze Wyklęci to figura, która „nie wraca z lasu, lecz zostaje wynaleziona, gotowa, domknięta, wymierzona". W dodatku jest to wynalazek głupi i szkodliwy (ma się rozumieć, dla autorów). Czyli nie było Żołnierzy Wyklętych, a zatem i pamięć o nich jest niepotrzebna. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Jarmark św. Dominika

SŁAWOMIR KOPER

Praktycznie każde miasto czy region odwołuje się do zwyczajów sprzed wieków, urozmaicając w ten sposób ofertę turystyczną. Podobnie jest z Gdańskiem, którego władze z zapałem kultywują tradycję, która narodziła się za panowania najwybitniejszego z książąt wschodniopomorskich, Świętopełka II. 4 sierpnia 1260 r. papież Aleksander IV udzielił bowiem przywileju gdańskim dominikanom, na mocy którego mogli przez jeden dzień raz w roku organizować jarmark.

Tego typu imprezy stanowiły ważny element życia średniowiecznych miast. Handel przekraczał lokalne granice, zjeżdżali się kupcy z towarami trudno dostępnymi na co dzień. Odbywał się również handel hurtowy i miejscowi sprzedawcy zaopatrywali się w zapasy na najbliższe miesiące. W portowych miastach do nabrzeża przybijały statki z dalekich stron, karczmarze i właściciele domów noclegowych liczyli zyski, a strażnicy miejscy starali się zachować czujność.

Jarmarki organizowano w stałych terminach, najczęściej z okazji świąt kościelnych wraz z obchodami ich patrona. W Gdańsku impreza początkowo była połączona z odpustem na cześć św. Dominika (4 sierpnia), a udział w nim zapewniał zwolnienie z czyśćca na okres 100 dni (oczywiście po śmierci). Przedsięwzięcie wpisywało się zatem w średniowieczny obyczaj udzielania odpustów od grzechów, któremu kres położyła dopiero reformacja.

Impreza stopniowo nabierała znaczenia i stragany kupców zaczęły się pojawiać również na innych placach miasta. Obowiązywała też ścisła specjalizacja – stąd wzięły się nazwy miejsc targowych (Plac Solny, Rybny, Drzewny itd.). W czasach Rzeczypospolitej Obojga Narodów Jarmark Dominikański był już znany w całej Europie, podczas jego trwania do gdańskiego portu przybijało ponad 400 jednostek handlowych, a miasto czasami odwiedzał nawet król z dostojnikami. Tradycja przetrwała do drugiej wojny światowej, ponieważ w czasach PRL jarmarków już nie organizowano z powodów ideologicznych. Partyjnym decydentom nie odpowiadały dwie kwestie charakterystyczne dla gdańskiej imprezy: prywatny handel i nazwa pochodząca od imienia świętego. Tradycję przywrócono jednak w pierwszych latach dekady propagandy sukcesu (jako Jarmark Dominikański, a do właściwej nazwy powrócono po upadku komunizmu nad Wisłą) i obecnie jest jedną z wizytówek miasta. Trwa przez trzy tygodnie i uznawany jest za największą imprezę plenerową w kraju. Można ją porównać do słynnego monachijskiego Oktoberfestu, a Gdańszczanie (nie tylko handlowcy) nie wyobrażają sobie letnich miesięcy bez jarmarku. ©℗

eprasa.pl 944c8c46b0



FOT. CBS LA/YOUTUBE

STRASZNIE I CUDOWNIE

Na kamerze w biurze okręgu wodnego Crestline Village w górach San Bernardino (Kalifornia) został nagrany niedźwiedź brunatny. Monitoring uchwycił, jak zwierzę wyważyło drzwi wejściowe i wkroczyło do budynku, w którym przebywali jeszcze pracownicy, ale klientów już nie było. Przyglądający się niedźwiedziowi świadkowie relacjonowali, że było strasznie i zarazem cudownie. Zwierzę zwiedziło gmach, po czym opuściło go, udając się z powrotem do lasu. Nikomu nie stała się krzywda.

PODPALENIE

Takie historie zazwyczaj kończą się po prostu ucieczką sprzed ołtarza. Tym razem stało się inaczej. Dwudziestopięciolatce z Utah postawiono zarzuty podpalenia kościoła, w którym miała wziąć ślub. Użyła do tego zapalniczek skradzionych w sklepie. Kiedy wybuchł pożar, w budynku oprócz winowajczyni byli jeszcze przyszły pan młody oraz członkowie rodziny. Wszyscy przygotowywali kościół na uroczystość. Włączył się alarm przeciwpożarowy. Straty szacowane są na 108 tys. dol.

CHAOS

Awaria ciśnienia wody w Disneylandzie sprawiła, że w słynnym parku rozrywki w Anaheim zapanował chaos. Sytuację wywołały problemy z czterema studniami głębinowymi. Pochodzi z nich ok. 75 proc. wody w mieście. I tak w Disneylandzie zamknięto wszystkie toalety i restauracje, co zaskoczyło gości. Niektórzy z nich zapowiedzieli złożenie do parku rozrywki wniosku o zwrot pieniędzy. Kłopot z dopływem wody to w Kalifornii powtarzający się problem.

SŁOMKI

Dziewiętnastoletni Francuz został ukarany grzywną o równowartości 465 dol. przez sąd w Singapurze za oblizanie słomki w automacie z sokiem pomarańczowym i włożenie jej z powrotem, czym „zakłócił porządek publiczny". Młodzian nagrał naganne zachowanie i zamieścił wideo na Instagramie z podpisem „Miasto nie jest bezpieczne", co wywołało falę oburzenia. Przybyszowi z Europy groziła grzywna równowartości 2 tys. dol. lub trzech miesięcy więzienia. Francuz uznał swoją winę i przeprosił. W automacie wymieniono 500 słomek.

ŚMIAŁEK NA DACHU

Ryzykowne zabawy mogą się skończyć zadarciem z prawem. Tak się stało w przypadku mężczyzny z Arizony, który jechał pociągiem Union Pacific przemierzającym Kolorado. Śmiałek wybił szybę w lokomotywie, by się do niej dostać, i następnie wszedł na jej dach. Tam – będąc nagi i stojąc – kontynuował podróż. Brawura nie uszła mężczyźnie na sucho. Został aresztowany przez policję pod zarzutem popełnienia przestępstwa. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

NATO 3.0. Czas, start!

Pentagon formalnie rozpoczął w ubiegłym tygodniu przegląd sił zbrojnych USA w Europie. Jego rezultatem mają być największe od dekad zmiany we wciąż najpotężniejszym sojuszu obronnym świata. Założenia koncepcji NATO 3.0 są proste: Amerykanie chcą zmusić kraje UE do wzięcia większej odpowiedzialności za odstraszanie i obronę konwencjonalną. Stany Zjednoczone mają zaś wycofać część wojsk ze Starego Kontynentu, przy jednoczesnym zachowaniu amerykańskiego parasola nuklearnego nad europejskimi sojusznikami. „Niektóre kraje sojuszu obleją ten sprawdzian, inne zdadzą go śpiewająco" – zapowiadał kilka tygodni temu w Brukseli szef Pentagonu. Ta strategia już jednak działa. Europejczycy i Kanadyjczycy znacząco zwiększają wydatki na obronność.

Budowa NATO 3.0 może być szansą dla Polski, która dzięki przyjacielskim stosunkom prezydenta Karola Nawrockiego z gospodarzem Białego Domu może zabiegać o wzmocnienie obecności USA na flance wschodniej. Polska – inwestująca fortunę w rozwój zdolności obronnych – ma też okazję, by stać się nie tylko gospodarczym, lecz także polityczno-wojskowym liderem tej części Europy.

Aczy Donald Trump nie wykorzysta przeglądu do zniszczenia NATO? Przez dekady sojusz był korzystny dla USA i nadal służy interesom Ameryki. Z tego powodu wydaje się wątpliwe, aby Trump w niedalekiej przyszłości wyprowadził swój kraj z NATO. Europa musi zaś jak najszybciej porzucić lewicową ideologię i wydawać nie tylko więcej, lecz także mądrzej. Świat z roku na rok staje się coraz bardziej niebezpieczny. Nie ma czasu na błędy. ©℗

eprasa.pl 944c8c46b0

Nowy rywal Zełenskiego



Maciej Pieczyński

Zastał Ukrainę analogową, zostawił cyfrową. Próbował też rozprawić się z korupcją w armii, za co wyleciał z ministerialnego stanowiska. Mychajło Fedorow może być dla Wołodymyra Zełenskiego rywalem nawet groźniejszym niż gen. Wałerij Załużny

Jak wiadomo, Ukraińcy w przeszłości chętnie protestowali przeciwko swoim władzom. I byli w tym bardzo skuteczni, o czym świadczą dwie udane rewolucje na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza. Uliczne życie polityczne z oczywistych względów zamarło po 24 lutego 2022 r. Efekt flagi sprawia, że władzy można więcej wybaczyć. Przed protestami powstrzymuje albo lojalność wobec rządzących w warunkach wojny, albo strach przed konsekwencjami. Są jednak pewne granice. Odkąd wybuchła pełnoskalowa wojna, na Ukrainie doszło jedynie do dwóch fal masowych protestów: w lipcu 2025 i w lipcu 2026 r. Za pierwszym razem powodem była próba ograniczenia niezależności instytucji antykorupcyjnych NABU i SAP. Niemal dokładnie rok później Ukraińcy wyszli na ulice, żeby zaprotestować przeciwko dymisji popularnego ministra obrony Mychajła Fedorowa.

Również w tym drugim wypadku chodziło o korupcję. Co oczywiste, resort obrony ogdrywa kluczową rolę w wysiłku wojennym. Ponadto za tą kluczową rolą idą też ogromne pieniądze, co z kolei w warunkach ukraińskich stwarza dogodne możliwości łapówkarzom. Afery zatopiły m.in. pierwszego wojennego szefa resortu Ołeksija Reznikowa. Do rangi symbolu urosły „złote jajka", czyli zakupy żywności dla armii po zawyżonych cenach w ramach ustawianych przetargów. Wszystko wskazywało na to, że Fedorow zamierzał korupcyjne praktyki ukrócić. Po objęciu stanowiska podjął próbę zmiany systemu realizacji przetargów. Skutecznie ograniczył możliwość uzyskiwania zamówień na podstawie nieformalnych relacji producentów broni z przedstawicielami Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Ukrainy. Generalnie procedura wygląda następująco. Sztab wskazuje zapotrzebowanie na konkretny rodzaj sprzętu. Następnie Agencja Zamówień Obronnych organizuje przetarg. Rocznie do rozdzielenia jest kilkadziesiąt miliardów dolarów. Jak zauważa Krzysztof Nieczypor w raporcie dla Ośrodka Studiów Wschodnich, wiele firm korzystało z nieformalnych kontaktów, by sprzedać swoje produkty o niskiej jakości lub po zawyżonej cenie. W marcu tego roku rola Sztabu Generalnego w zakupach dronów została ograniczona do poziomu ustalania parametrów technicznych, bez możliwości wskazywania konkretnego produktu czy producenta. O wyborze sprzętu decydują osiągnięcia danego modelu odnotowane w cyfrowych systemach koordynacji pola walki. „Zapowiedzi objęcia tymi zmianami pozostałych rodzajów broni i sprzętu spowodowały wzmożenie nacisków grup lobbingowych na zdymisjonowanie niewygodnego ministra" – pisze Nieczypor.

REFORMATOR I MODERNIZATOR

Badania opinii publicznej pokazują, że Ukraińcy traktują korupcję jako zagrożenie dla swojego kraju niemal tak groźne jak inwazja rosyjska. Niezależne od władzy media bardzo szybko po wybuchu wojny zaczęły publikować wyniki dziennikarskich śledztw, jednocześnie apelując do Zełenskiego, aby pomógł rozprawić się z „wrogami wewnętrznymi", okradającymi państwo i biorącymi łapówki. Fedorow stał się uosobieniem takiej rozprawy. Dlatego jedno z najważniejszych haseł podczas protestów w jego obronie brzmiało: „Korupcja zabija". „Prezydent postanowił stanąć w obronie korupcji. Po raz kolejny" – grzmi dyrektor Centrum Przeciwdziałania Korupcji Daria Kaleniuk na swoim blogu na portalu Ukraińska Prawda.

Oficjalnym powodem dymisji popularnego szefa resortu obrony był jego konflikt z naczelnym dowódcą Sił Zbrojnych Ukrainy. To było zderzenie pokoleń. Generał Ołeksandr Syrski, jako oficer starej daty, wykształcony jeszcze w czasach sowieckich, preferował „mięsne szturmy" i niekoniecznie liczył się ze stratami w ludziach. Fedorow, który jako minister cyfryzacji zyskał opinię reformatora i modernizatora, opowiadał się za robotyzacją pola walki, stawiając na nowoczesne rozwiązania. Zełenski bywał arbitrem w sporach tych dwóch najważniejszych osób, zarządzających Siłami Zbrojnymi Ukrainy. Tłumaczył, że nie może zwolnić obu jednocześnie. W końcu jednak stanowisko stracił również Syrski. Zastąpił go 43-letni Mychajło Drapaty, jeden z najmłodszych ukraińskich generałów. Podobnie jak Fedorow stawia na innowacje i jest zwolennikiem inwestowania w drony. Inaczej niż Syrski nie służył w armii sowieckiej. Wielką karierę zaczął robić na froncie wojny z donbaskimi separatystami w 2014 r.

eprasa.pl 944c8c46b0



FOT. TETIANA DZHAFAROVA /AFP/EAST NEWS

Jako dowódca batalionu brał udział w ówczesnych walkach o Mariupol. Otrzymał wówczas zadanie uratowania policjantów otoczonych przez prorosyjskie oddziały. Poprowadził kolumnę czterech bojowych wozów piechoty. Swojemu kierowcy rozkazał z pełną prędkością sforsować barykadę. Nagranie z tej spektakularnej akcji stało się hitem proukraińskiego Internetu, odgrywając istotną rolę w ówczesnej propagandzie wojennej Kijowa. Ostatnio, już po objęciu stanowiska naczelnego wodza, przypomniano wypowiedź gen. Drapatego z 2023 r., kiedy to zasłynął stwierdzeniem: „Rosjanie to naród, który nie ma prawa istnieć". Zyskał w ten sposób poklask Ukraińców, Moskwie zaś dał kolejny argument na rzecz tezy o brunatnej juncie w Kijowie.

STYPENDYSTA ZACHODNICH FUNDACJI

Wróćmy do Fedorowa, bo to dziś najważniejsze i najciekawsze nazwisko ukraińskiej polityki. Polityki, do której, co istotne, wszedł dzięki Zełenskiemu. Rocznik 1991. Pochodzi z Wasyliwki w obwodzie zaporoskim na rosyjskojęzycznym południowym wschodzie kraju. Jego rodzinna miejscowość znajduje się obecnie pod rosyjską okupacją. Mieszkają tam członkowie rodziny Fedorowa i jego żony Anastazji. Absolwent socjologii i zarządzania. Pełnił funkcję „studenckiego mera" swojego miasta, koordynując projekty społeczne i edukacyjne dla młodych mieszkańców. Podczas studiów założył młodzieżowy ruch społeczny Aktyw-Z, największą tego rodzaju organizację w mieście. Wspólnie z amerykańską fundacją USAID realizował projekt, którego celem było wzmocnienie potencjału sektora IT w Zaporożu.

Fedorow ukończył też Wyższą Szkołę Polityczną oraz Szkołę Edukacyjną Przedstawicieli NATO na Ukrainie. Otrzymał stypendium OBWE w ramach projektu, polegającego na monitorowaniu ekologii w obwodzie zaporoskim.

Jak widać, przyszły minister ukraińskiego rządu dość szybko stał się prężnym aktywistą oraz stypendystą zachodnich fundacji czy instytucji. Swoje pierwsze pieniądze zaczął jednak zarabiać dużo wcześniej. Jak opisuje Zoriana Varenia na łamach „Nowej Europy Wschodniej", młody Fedorow pracował u rolników, zbierając z pól pomidory i arbuzy. Próbował też swoich sił w biznesie. Kupował na Krymie tzw. cebulę jałtańską, którą następnie uprawiał w swojej rodzinnej wsi Wasyliwka, by potem sprzedawać ją na straganie w Zaporożu. Wedle opowieści samego Fedorowa, choć na jego pierwszy komputer zrzuciła się cała rodzina, i tak trzeba było dodatkowo jeszcze zaciągnąć kredyt. Ta inwestycja okazała się strzałem w dziesiątkę. To właśnie ze światem wirtualnym młody Mychajło ostatecznie związał swoją karierę. W wieku 24 lat założył agencję digitalową SMMSTUDIO, zajmującą się promocją z wykorzystaniem narzędzi marketingu cyfrowego. Jednym z klientów firmy Fedorowa stał się Kwartał 95, czyli kabaret Wołodymyra Zełenskiego. Przyszłego prezydenta jego przyszły polityczny współpracownik poznał osobiście latem 2018 r. Fedorow pomagał Zełenskiemu opracować stronę internetową dla jednego z projektów biznesowych komika. Pół roku później ich współpraca nabrała już ściśle politycznego charakteru. Zełenski wystartował w wyścigu prezydenckim, a Fedorow pokierował jego kampanią wyborczą w Internecie. Bardzo skutecznie zresztą. I to nie tylko dlatego, że popularny komik sensacyjnie zmiażdżył w walce o głosy urzędującego prezydenta. Wysiłki agencji digitalowej przyszłego ministra cyfryzacji docenili eksperci. Europejskie Stowarzyszenie Doradców Politycznych Polaris Awards nagrodziło wirtualną kampanię Zełenskiego siedmioma wyróżnieniami.

Fedorow został doradcą nowego prezydenta, a następnie – w wieku 28 lat – wicepremierem i szefem nowo powstałego ministerstwa cyfryzacji (oficjalnie: Ministerstwa Transformacji Cyfrowej). Na tym stanowisku osiągnął najwięcej, zyskując zasłużone uznanie Ukraińców. Fedorow w praktyce realizował ogłoszone przez Zełenskiego hasło budowy „państwa w smartfonie". Ministerstwo pod przewodnictwem Fedorowa opracowało i wdrożyło platformę Diia – stronę internetową oraz aplikację mobilną, które umożliwiają obywatelom szybki i łatwy wirtualny dostęp do usług publicznych. To największe osiągnięcie ukraińskiej cyfryzacji. Diia uważana jest za jeden z najbardziej zaawansowanych systemów e-państwa. Przypomina polskiego

eprasa.pl 944c8c46b0

mObywatela, ale ma więcej funkcji. Jeśli mObywatel skupia się przede wszystkim na cyfrowym przechowywaniu tradycyjnych dokumentów, to Diia jest pełnoprawną platformą transakcyjną i administracyjną. Za jej pośrednictwem można zarejestrować jednoosobową firmę bez pośrednictwa urzędnika. Przedsiębiorcy mają możliwość płacenia podatków przez aplikację, bez konieczności przechodzenia do zewnętrznych systemów bankowości. Diia umożliwia też zawarcie ślubu przez Internet. Aplikacja przechowuje dokumenty tożsamości, a także akty urodzenia, akty własności nieruchomości, polisy ubezpieczeniowe pojazdów czy pozwolenia na broń. Wreszcie Ukraina jako pierwsze państwo na świecie zrównała cyfrowy paszport z jego fizycznym odpowiednikiem. Co ciekawe, poprzez Diię Ukraińcy wybierali jurorów oraz reprezentanta na Eurowizji. Największe osiągnięcie cyfryzacji sprawdza się również w warunkach wojny. Poprzez funkcję e-Enemy obywatele zgłaszają zniszczenia mienia czy lokalizację wojsk rosyjskich.

Tuż po wybuchu pełnoskalowej wojny Fedorow, jako minister cyfryzacji, zwrócił się za pośrednictwem Twittera do Elona Muska z prośbą o udostępnienie Starlinków Ukrainie. Poza tym mocno angażował się na rzecz zwiększenia dostępu armii do technologii dronowych. Resort Fedorowa rozwijał platformę crowfundingową UNITED24, za której pośrednictwem zbierano pieniądze na zakup bezzałogowców. We współpracy z prezydentem, sztabem generalnym i ministerstwem obrony resort cyfryzacji wdrożył program „Armia dronów", polegający nie tylko na zakupie sprzętu, lecz także na szkoleniu operatorów, rozwijaniu technologii, obejmujący również integrację bezzałogowych statków powietrznych z systemem obronnym Ukrainy.

Swoje cyfryzacyjne osiągnięcia Fedorow zamierzał kontynuować jako minister obrony. Już w swoim pierwszym wystąpieniu zapowiedział audyt resortu i wojska, który w efekcie wykazał nieuzasadnione wydatki rzędu 300 mld hrywien (ponad 25 mld zł). W ramach walki z korupcją kazał badać urzędników wariografem. Rozwijał system zamówień broni oparty na sztucznej inteligencji, redukując koszty zakupów dla wojska o 20–30 proc.

To oczywiste, że istotnym powodem dymisji Fedorowa była jego popularność. Zełenski widzi w nim potencjalnego rywala. Z tego samego powodu nie usunął go całkowicie ze swojego otoczenia. Chciał postąpić podobnie jak wcześniej z Załużnym i Kyryłem Budanowem. Obaj generałowie zdobywali uznanie Ukraińców, pełniąc eksponowane stanowiska na czele armii i służb. Załużny został więc oddelegowany na placówkę w Londynie, Budanow zaś zamienił mundur na garnitur szefa Biura Prezydenta. Załużnemu, według doniesień Ukraińskiej Prawdy, otoczenie Zełenskiego było gotowe oddać jakiekolwiek stanowisko, byle tylko zrezygnował ze startu w wyborach prezydenckich. Bezskutecznie. Niemniej były głównodowodzący ma tę wadę, że przebywa za granicą, a im więcej czasu upływa, tym bardziej może się zacierać pamięć o jego frontowych zasługach. W warunkach wojny najwięcej zyskują ci, którzy w walczącym kraju pozostali. Fedorowowi Zełenski proponował fotel wicepremiera do spraw innowacji wojskowych. To pokazuje, że jednak prezydent nieco przestraszył się skali społecznego oburzenia. Zarazem nie może sobie pozwolić na niekonsekwencję i okazanie słabości, a tym byłoby przywrócenie Fedorowa na stanowisko, którego sam go pozbawił. Proponowana funkcja z państwowego punktu widzenia byłaby dublowaniem działań resortu obrony. Fedorow odmówił. „Nie zgodzę się na żadne inne stanowisko oprócz ministra obrony" – zadeklarował.

Popularność Fedorowa wynika nie tylko z jego antykorupcyjnych działań i reformatorskiego zacięcia. Ma ona również wymiar praktyczny. Robotyzacja pola walki oznacza, że coraz większą rolę na froncie mają odgrywać drony, coraz mniejszą – ludzie. To z kolei dawałoby nadzieję na ograniczenie mobilizacji. Ukraińcy widzą w Fedorowie nie tylko zbawcę państwa od patologii, lecz także kogoś, kto uchroni ich przed losem mięsa armatniego.

WZROST POPULARNOŚCI

Czy „naczelny modernizator armii ukraińskiej" ma o co walczyć w polityce? Odpowiedzi udziela sondaż przeprowadzony 20–21 lipca przez grupę Rejtynh. Badanie podzielono na trzy kategorie: zaufanie do polityków czy urzędników, ocena konkretnych decyzji personalnych Zełenskiego oraz preferencje wyborcze. W pierwszej kategorii Fedorow zaliczył ogromny postęp. Jeśli na początku lipca ufało mu 35 proc. badanych, to w ostatnim sondażu – już 65 proc. To oczywisty skutek dymisji, za który polityk może podziękować Zełenskiemu. W rankingu zaufania Fedorow ustępuje tylko Załużnemu (70 proc.). W tyle pozostawia Budanowa (62 proc.) i prezydenta (59 proc.). Na pytanie o opinię na temat dymisji ministra obrony 72 proc. respondentów odpowiedziało: „nie popieram". Przeciwnego zdania było jedynie 5 proc.

W pierwszej turze hipotetycznych wyborów prezydenckich najwięcej głosów (22,3 proc.) zdobyłby Zełenski. Drugie miejsce zająłby Załużny (14,9 proc.), trzecie – Fedorow (13,4 proc.). Protesty w obronie zdymisjonowanego ministra prędzej czy później ucichną. W warunkach wojny Majdan jest nierealny. Fedorow sam nie wychodzi na ulicę i nie podburza ludzi – to by zresztą zapewne zadziałało na jego niekorzyść. Niemniej wydaje się, że może być dla Zełenskiego w przyszłości groźniejszym przeciwnikiem niż Załużny czy Budanow. Oni kojarzą się jedynie z prowadzeniem wojny, która kiedyś się skończy. Fedorow ma w zanadrzu więcej zasług, również tych „cywilnych", które w odpowiednim momencie może Ukraińcom przypomnieć. A przy tym również kojarzy się z sukcesami na froncie. Dlatego chcą na niego głosować również ci, którzy wcześniej popierali generałów czy generalnie stworzenie jakiejś siły politycznej na bazie armii. Współpracownicy Zełenskiego twierdzą, że wybuch popularności Fedorowa to zjawisko tymczasowe, które szybko minie. Sam Fedorow na razie politycznych ambicji oficjalnie nie ogłosił. To samo jednak dotyczy zarówno Budanowa, jak i Załużnego. Ukraińska polityka jest dość nieprzewidywalna. Jedno przy tym wydaje się pewne: Fedorow ma potencjał, by na tej scenie namieszać.

Fedorow w praktyce realizował ogłoszone przez Zełenskiego hasło budowy „państwa w smartfonie"

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 944c8c46b0



Teresa Stylińska

Czy Recep Erdoğan zdoła zrealizować swój zamysł – a może nawet ciche marzenie – i da początek dynastii politycznej? Sprawa jest otwarta

Na prezydenckim tronie

Prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan ma powody do zadowolenia. Podczas niedawnego szczytu NATO w Ankarze Donald Trump odnosił się do niego w sposób, jaki nieczęsto bywa udziałem innych sojuszników. – Prezydent Erdoğan – powiedział – to mój przyjaciel. Gdyby nie on, może w ogóle bym tu nie przyjechał.

Trudno dociec, czym Erdoğan zjednał sobie Trumpa. To fakt, że Turcja jest ważnym członkiem sojuszu: jest wielka, dysponuje dużą armią, drugą w NATO po amerykańskiej, kupuje sprzęt wojskowy w USA, a przy tym zajmuje wyjątkowe miejsce między Zachodem a światem islamu. Cieniem na jej pozycji powinien kłaść się fakt, że pod rządami Erdoğana wydatki na cele wojskowe spadły znacząco, w ubiegłym roku do zaledwie 1,9 proc PKB. Aż dziw, że Trump, ciskający gromy na tych, którzy „wożą się w NATO na gapę", przymyka oko na rażące niedociągnięcia sojusznika, zwłaszcza że za rządów kemalistów na cele obronne przeznaczano w Turcji nawet 3 proc. PKB. Prezydent Erdoğan solennie zapewniał, że Turcja osiągnie poziom 3,5 proc., z zastrzeżeniem jednak, że dopiero w 2030 r.

Ciekawe, jak długo Recep Erdoğan będzie się cieszyć przychylnością prezydenta USA, którego opinie na temat innych polityków są wręcz chimeryczne, o czym nikt nie wie lepiej niż premier Włoch Giorgia Meloni. Trump nie szczędzi jej dziś złośliwości, choć jeszcze niedawno wychwalał panią premier pod niebiosa jako „fantastyczną kobietę". Czy Erdoğan też tego doświadczy? Być może. Ma przed sobą już tylko dwa lata rządów, a co będzie później, nie wiadomo.

Na taką perspektywę składają się dwa czynniki. Po pierwsze: Erdoğan chciałby być prezydentem przez trzecią kadencję, trudno jednak powiedzieć, czy uda mu się skutecznie obejść wymogi konstytucji. Po drugie i – jak się zdaje – ważniejsze: ma problemy zdrowotne. U Erdoğana, zdaniem uważnych obserwatorów, widoczne są niedomagania podobne do tych, które były udziałem Joe Bidena: kłopoty z poruszaniem się, brak koncentracji, nieskładne wypowiedzi. To nie wróży dobrze. Może, jak Biden, będzie zmuszony sam się wycofać.

SYN, ZIĘĆ I DWÓCH POLITYKÓW

Nic dziwnego, że coraz częściej w doniesieniach z Turcji pojawia się kwestia sukcesji. Jest kluczowa i dla kraju, i dla samego Recepa Erdoğana, który przez 23 lata sprawowania rządów – 11 lat jako premier, 12 w roli prezydenta – nieustannie poszerzał zakres swojej władzy. Ostatnich osiem lat to rządy niemalże absolutne, bo wprowadzony w 2018 r. system prezydencki daje szefowi państwa pełnię władzy. Trudno sobie wyobrazić, by Erdoğan, nawet gdyby nie zdołał zapewnić sobie kolejnej kadencji, był w stanie bez oporów odejść na polityczną emeryturę i wyrzec się kontroli nad państwem.

Tym ważniejsza jest zatem osoba potencjalnego następcy. Pożądane jest, by był to człowiek bliski prezydentowi, zgodny, może nawet posłuszny, taki, dzięki któremu Erdoğan zachowa wpływy. Wydaje się, że Bilal, młodszy syn Erdoğana – który ma dwóch synów i dwie córki – spełnia te warunki i to on uchodzi za faworyta w wyścigu o prezydenturę. Choć takie słownictwo – faworyt, wyścig – jest ciągle bardzo na wyrost. Wyścig jest przecież w fazie tak wstępnej i tak bardzo dyskretnej, że na razie o przyszłej prezydenturze w ogóle się nie mówi. Najpierw trzeba zrobić pierwszy krok. Mogłoby nim być objęcie przez Bilala (o czym dalej) przywództwa Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), islamistycznego ugrupowania, które 30 lat temu założył jego ojciec.

Problem w tym, że Bilal nie jest jedyny. I w partii, i w rodzinie prezydenta nie brakuje chętnych. Za najgroźniejszego z możliwych rywali uchodzi minister spraw zagranicznych Hakan Fidan. Zanim został ministrem, przez kilkanaście lat stał na czele MIT, tureckiego wywiadu, a to przekłada się na dobrą orientację, pozycję i wpływy. W gronie najbardziej liczących się kandydatów wymieniani są jeszcze dwaj: Numan Kurtulmuş, przewodniczący parlamentu, i Berat Albayrak, mąż Esry, starszej córki prezydenta. Albayrak, w przeciwieństwie do Bilala, ma doświadczenie w rządzeniu, bo zasiadał w rządzie, najpierw jako minister energii, a później finansów. Z kolei Kurtulmuş, stary partyjny towarzysz Erdoğana, nie zdradza głośno swych ambicji, ale musi je mieć, skoro kiedyś miał sugerować, że widziałby siebie nawet na najwyższym stanowisku.

DYPLOM NA CELOWNIKU

Nie przypadkiem w Ankarze przed szczytem NATO i podczas niego obowiązywał rygorystyczny zakaz organizowania zgromadzeń i demonstracji. Chociaż przy tak ważnych okazjach jest to praktyka zwyczajna, to tym razem zakaz, w powszechnym odczuciu, miał na celu także zastraszenie opozycji i – szerzej – przeciwników władz. Takie odczucie spotęgowało zatrzymanie parę dni wcześniej komika Deniza Göktaşa, któremu zarzucono, że w jednym ze swych programów wykpiwa Erdoğana, i przeprowadzenie

eprasa.pl 944c8c46b0

dzień przed szczytem wielogodzinnego przesłuchania Ekrema Imamoğlu.

Imamoğlu, ceniony i popularny burmistrz Stambułu, dziś już były, bo pozbawiony stanowiska, 23 marca ubiegłego roku został wybrany w prawyborach na kandydata opozycji w wyborach prezydenckich, które mają się odbyć w 2028 r. Tego samego dnia został aresztowany pod zarzutem kierowania zorganizowaną w ratuszu kilkusetosobową grupą przestępczą (skąd my to znamy?), która, według oskarżycieli, miała czerpać zyski m.in. z łapówek i ustawiania przetargów.

Imamoğlu jest członkiem Republikańskiej Partii Ludowej (CHP), ugrupowania, które założył sam Mustafa Kemal Atatűrk, twórca republiki. To dominująca siła opozycji, bardzo zróżnicowanej, ale zdolnej do współpracy. Imamoğlu jest jej najpopularniejszym politykiem i wielką nadzieją. Jako pierwszy polityk od wielu, wielu lat pokonał kandydatów AKP, wprawdzie w wyborach lokalnych, ale za to dwa razy (a nawet trzy, bo pierwsze wybory, unieważnione przez władze, powtórzono) i w miejscu zgoła symbolicznym – w Stambule, ukochanym mieście prezydenta Erdoğana. Opozycja liczy na to, że Imamoğlu zdoła powtórzyć ten sukces na najwyższym szczeblu krajowym. Nie przypadkiem przeciwko jego zatrzymaniu protestowano na ulicach w całym kraju nie tylko w Stambule.

Pozornie mało istotny, ale de facto najważniejszy i potencjalnie najbardziej brzemienny w skutki zarzut wobec Imamoğlu dotyczy prawdziwości jego dyplomu, wydanego przez uniwersytet w Stambule. Władze kwestionują bliżej niesprecyzowane błędy i niejasności, wynikłe przy okazji zmiany uczelni. To poważna sprawa, bo brak dyplomu automatycznie wyeliminowałby kandydata opozycji z ubiegania się o prezydenturę, bo ukończenie studiów wyższych stanowi wymóg formalny. Usunięcie konkurenta najgroźniejszego i dla samego Recepa Erdoğana, i być może w przyszłości dla Bilala to na pewno gra warta świeczki.

Na razie jednak nie wiadomo, czy Recep Erdoğan będzie mógł kandydować po raz trzeci (a tak naprawdę czwarty, jeżeli uwzględnić pierwszą kadencję rozpoczętą w 2014 r., gdy obowiązywały dawna konstytucja i dawny system parlamentarny). Ale warto pamiętać, że obecny prezydent wiele już razy pokazał, że z pomocą doradców potrafi skutecznie omijać wszelkie rafy. Tym razem wymyślono rzecz mocno naciąganą i z bardzo słabym uzasadnieniem: należy przyspieszyć wybory. Niedokończona kadencja to tak, jakby jej nie było. Zatem prezydent może raz jeszcze ubiegać się o urząd.

Erdoğan stawia na Bilala, choć nie ma on żadnego doświadczenia w rządzeniu ani w administracji, za to jest obciążony podejrzeniami o korupcję

Na celowniku prezydenta i AKP jest nie tylko Ekrem Imamoğlu, lecz także cała jego partia. Wiosną tego roku sąd unieważnił wybór nowego lidera CHP, Özgűra Özela, dając wiarę oskarżeniom, że w trakcie wewnątrzpartyjnej kampanii kupował głosy. Przywrócono więc poprzedniego lidera, Kemala Kiliçdaroğlu (który w 2023 r. jako wspólny kandydat opozycji przegrał w drugiej turze wyborów z Erdoğanem, acz nieznacznie). W efekcie w CHP panuje zamęt, dwie frakcje ostro się zwalczają. Mówi się nawet o rozłamie i możliwym założeniu nowej partii. Władze zaś, korzystając z okazji, rozważają podobno delegalizację CHP. Atatűrk musi przewracać się w grobie.

OTWARTA DROGA NA SZCZYT

O ewentualnej sukcesji jeszcze się otwarcie w Turcji nie mówi, choć w AKP trwa już podobno cicha rywalizacja. Tak można sądzić z relacji Bloomberga, który w lutym zamieścił obszerny tekst na ten temat.

Plan ma być taki: Recep Erdoğan skutecznie forsuje ideę drugiej kadencji, bierze udział w wyborach i wygrywa. Następnie doprowadza do tego, że kierownictwo AKP obejmuje Bilal. Wówczas – ma takie prawo – powierza mu stanowisko wiceprezydenta. Po jakimś czasie sam ustępuje ze stanowiska. Bilal jako wiceprezydent ma otwartą drogę na szczyt. Co prawda, po 45 dniach muszą się odbyć wybory, ale wtedy już ma uprzywilejowaną pozycję.



Intrygujące jest pytanie, dlaczego właściwie Recep Erdoğan stawia na Bilala, choć nie ma on żadnego doświadczenia w rządzeniu ani w administracji, za to jest obciążony podejrzeniami o korupcję. Gdy parę lat temu po raz pierwszy zaczęto przebąkiwać, że chciałby przekazać rządy któremuś z dzieci, zakładając tym samym dynastię Erdoğanów, sądzono, że wybór padnie na jego młodszą córkę, Sumeyye, współpracownicę i doradczynię ojca. Dlaczego Sumeyye odpadła, nie wiadomo. W tym czasie pojawiało się także nazwisko jej męża, Selcuka Bayraktara, konstruktora słynnych dronów, wywodzącego się z rodziny, do której należą zakłady je produkujące.

Bilal ma 44 lata, skończył studia politologiczne na Uniwersytecie Harvarda i przez parę lat mieszkał z rodziną w USA. Zawodowo udziela się przede wszystkim w kilku fundacjach edukacyjnych, aktywnych zarówno w Turcji, jak i za granicą, gdzie mają wspierać tureckich studentów. Kierował także młodzieżową organizacją AKP. Nie jest więc postacią nieznaną ogółowi. Niestety, niekoniecznie z dobrej strony.

eprasa.pl 944c8c46b0



Recep Tayyip Erdoğan z synem Bilalem
FOT. HANDOUT/ANADOLU/GETTY IMAGES

Problem w tym, że okoliczności, w jakich dowiadywała się o nim opinia publiczna, nie przynoszą mu chluby. To on był bohaterem głośnej afery korupcyjnej, rozpracowywanej przez prokuraturę, w czasach gdy jeszcze było to możliwe wobec ludzi z establishmentu AKP i rządu. Prokuratura dysponowała wówczas nagraniem, z którego jasno wynikało, że Bilal trzyma w domu miliony w gotówce. Słychać, jak Recep Erdoğan, wówczas premier, radzi synowi, by gdzieś je dobrze ukrył. Później utrzymywał, że cała ta sprawa miała go skompromitować, afera pozostała więc bez następstw. Jeśli, to tylko dla prokuratorów, którzy musieli pojąć, gdzie są granice.

A to nie wszystko – i nie tylko w Turcji. Parę lat później dochodzenie wszczęła prokuratura włoska w związku z podejrzeniami, że Bilal jest zamieszany w pranie brudnych pieniędzy. W Szwecji z kolei badano sprawę doniesień, że pewne firmy były gotowe hojnie go wynagrodzić w zamian za zapewnienie im dominującej pozycji na rynku tureckim. Według Agencji Reutera uważano, że przez kontakt z Bilalem można uzyskać dostęp do jego ojca. Bilal wszystkiemu zaprzeczał.

MARZENIE O DYNASTII

Za tym, że właśnie Bilal jest już szykowany na następcę, przemawiają, zdaniem obserwatorów, czytelne wskazówki. Syn prezydenta intensywnie udziela się publicznie, także w mediach, i coraz częściej towarzyszy ojcu w podróżach zagranicznych. W ten sposób nabiera doświadczenia i oswaja się z ewentualnymi obowiązkami, a przy tym pokazuje się ludziom i może zdobyć ich sympatię. Nie jest z tym jednak najlepiej. Z badania opinii, przeprowadzonego na początku tego roku i dotyczącego szans wyborczych AKP, wynika, że większość ankietowanych wybiera opcję „zdecydowanie nie poprze", jeśli na czele partii stanie Bilal Erdoğan. To aż 87,5 proc. ogółu wyborców i 53 proc. – niemało – wśród zwolenników AKP. Szans Bilala w roli prezydenta na razie nikt nie sprawdza.

Co ciekawe, uderzenie w opozycję i przeprowadzone niedawno zmiany w rządzie też są ponoć pomyślane pod kątem przyszłości Bilala. Nowi ministrowie spraw wewnętrznych i sprawiedliwości (tym ostatnim został szef prokuratury ze Stambułu, znany z zajadłości wobec opozycji) mają oczyścić przedpole dla przyszłego prezydenta. I czynią to z należytą gorliwością.

Trudno zatem powiedzieć, czy Recep Erdoğan zdoła zrealizować swój zamysł – a może nawet ciche marzenie – i da początek dynastii politycznej. Sprawa jest otwarta. Nawet gdyby Bilala ominęła sukcesja, w rezerwie pozostają już nie tylko dzieci, lecz także wnuk. Jest tu też pewnie podłoże uczuciowe, bo – według greckiego portalu Parapolitika, który o tym pisze – Omer Tayyip Erdoğan, syn Bilala, jest najbliższy sercu prezydenta. Ma dopiero 18 lat, ale interesuje się sprawami publicznymi i nawet kieruje organizacją, która nosi szumną nazwę Stowarzyszenia Młodych Dyplomatów i ma zachęcać młodych do działania w szerokim świecie. Być może zatem marzenie o dynastii – nie na miarę osmańskiej, ale jednak dynastii – nie musi być stracone.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 944c8c46b0

Norweski model pod lupą



FOT. ADOBE STOCK



Cezary Zawalski

Aż 60 proc. krajowego majątku znajduje się bezpośrednio w rękach państwa, a w europejskim rankingu skali własności publicznej Norwegię wyprzedzają jedynie Białoruś i Rosja. Krytycy tego systemu słusznie zauważają, że zamożność Oslo to nie zasługa genialnych urzędników, lecz unikalnej obfitości surowców energetycznych

Czy małe państwa mogą skutecznie wpływać na politykę międzynarodową? Przykład Norwegii pokazuje, że jest to możliwe. Kraj ten, choć dysponuje stosunkowo niewielką populacją, wypracował pozycję, która pozwala mu odgrywać istotną rolę w globalnej grze o surowce i kapitał. Jednak za fasadą naftowego bogactwa kryje się system głębokiej kontroli państwa.

Fundamentami znaczenia Oslo są specyficzny układ geopolityczny i bogactwa naturalne. Dzisiejsza Norwegia to jeden z kluczowych graczy naftowo-gazowych na świecie. Kraj ten odpowiada obecnie za blisko 15 proc. unijnego importu ropy i aż 30 proc. całkowitego zapotrzebowania Unii Europejskiej na gaz (w segmencie gazu przesyłanego rurociągami jej udział przekracza wręcz 50 proc.). Pozycja ta plasuje Norwegię w roli absolutnego lidera dostaw surowców dla Starego Kontynentu. Dodatkowo Oslo kontroluje infrastrukturę przesyłową na dnie Morza Północnego. W efekcie w dobie zawirowań geopolitycznych to właśnie norweskie dostawy stały się kluczowym elementem stabilizacji energetycznej dla Europy.

WEWNĘTRZNA OCHRONA GOSPODARKI

Wpływy Norwegii wykraczają poza sam sektor wydobywczy. Istotnym narzędziem w strukturze tamtejszej strategii jest Norweski Rządowy Globalny Fundusz Emerytalny (GPFG), który zarządza gigantycznymi aktywami o wartości ok. 2,2 bln dol.

Konstrukcja funduszu zakłada ochronę wewnętrznej gospodarki przed negatywnymi skutkami wahań cen surowców (tzw. chorobą holenderską). Z tego powodu wszystkie zgromadzone środki są lokowane wyłącznie poza granicami kraju. Kapitał ten jest systematycznie dzielony między cztery obszary:

– akcje globalnych przedsiębiorstw,
– stabilne obligacje państwowe,
– nieruchomości na całym świecie,
– infrastrukturę odnawialną.

Największą część portfela stanowią inwestycje giełdowe. Norwegia posiada udziały w tysiącach firm w przeszło 70 krajach, co oznacza, że skandynawski fundusz kontroluje średnio aż 1,5 proc. wszystkich notowanych akcji w obrocie

eprasa.pl 944c8c46b0

międzynarodowym. Wpływ tego giganta widoczny jest również w Polsce – fundusz rozporządza znaczącymi pakietami akcji w kilkudziesięciu czołowych spółkach notowanych na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie.

Zarządzanie tak dużym kapitałem opiera się na sztywnych regułach fiskalnych. Wykorzystanie środków funduszu na bieżące wydatki budżetowe zostało ograniczone do 3 proc. jego wartości rocznie, co w założeniu odpowiada średniej stopie zwrotu z inwestycji. Taki limit ma zapobiegać przedwczesnemu zużywaniu zgromadzonych zasobów, które formalnie mają stanowić zabezpieczenie emerytalne dla przyszłych pokoleń.

Struktura nadzoru jest ściśle określona. Właścicielem funduszu jest państwo, reprezentowane przez Ministerstwo Finansów, które odpowiada za wytyczne inwestycyjne. Rolę kontrolną odgrywa parlament, który powołuje niezależny organ monitorujący w postaci rady nadzorczej; jej zadaniami są publiczny audyt i weryfikacja, czy bank centralny prawidłowo wywiązuje się ze swoich zadań.

Norweski model gospodarczy opiera się na wszechobecności sektora publicznego w kluczowych obszarach. Państwo utrzymuje tam pozycję dominującą poprzez pakiety większościowe, monopole oraz regulacje prawne:

1. Sektor energetyczny: koncern Equinor, w którym państwo posiada 67 proc. udziałów, odpowiada za ok. 70 proc. wydobycia na norweskim szelfie. Z kolei w 100 proc. państwowy Statkraft jest jednym z największych producentów energii odnawialnej w Europie.

2. Finanse i telekomunikacja: rząd posiada 34 proc. udziałów w DNB (największym banku w kraju) oraz 54 proc. akcji operatora Telenor.

3. Przemysł ciężki i obronny: Państwo ma duże udziały w koncernie Norsk Hydro (produkcja aluminium) oraz kontroluje połowę akcji w Kongsberg Gruppen (technologie obronne i kosmiczne).

Taka koncentracja własności w rękach urzędników rodzi poważne zarzuty natury ekonomicznej.

Krytycy tego rozwiązania wskazują na kilka fundamentalnych problemów:

– efekt wypychania prywatnego kapitału: Dominacja państwowych gigantów w naturalny sposób dusi mniejszą, prywatną przedsiębiorczość. Prywatni inwestorzy mają trudniejsze zadanie w konkurowaniu z podmiotami, które posiadają bezpośrednie lub pośrednie oparcie w aparacie państwowym i publicznych funduszach;

– ryzyko nieefektywności politycznej: Choć norweskie spółki skarbu państwa starają się działać na rynkowych zasadach, to praktyka gospodarcza pokazuje, że publiczny właściciel bywa podatny na naciski polityczne czy ideologiczne, które stoją w sprzeczności z czystą efektywnością biznesową;

– problem ukrytego potencjału: Gospodarka oparta na wolnej konkurencji i prywatnej inicjatywie z natury rzeczy generuje najwyższą efektywność.

MIT A RZECZYWISTOŚĆ

Tymczasem na salonach politycznych Europy od lat panuje moda na bezkrytyczne zachwycanie się modelem norweskim. Czas na zderzenie mitu

REKLAMA



eprasa.pl 944c8c46b0

z rzeczywistością: ten rzekomy wzór do naśladowania ma w istocie skrajnie etatystyczne oblicze. Liczby mówią same za siebie. Aż 60 proc. krajowego majątku znajduje się bezpośrednio w rękach państwa, a w europejskim rankingu skali własności publicznej Norwegię wyprzedzają jedynie Białoruś i Rosja. Krytycy tego systemu słusznie zauważają, że zamożność Oslo to nie zasługa genialnych urzędników, lecz unikalnej obfitości surowców energetycznych. W tym miejscu ujawnia się jednak problem ukrytego potencjału. Gdyby te same gigantyczne zasoby naturalne trafiły pod zarząd prywatnego kapitału, mechanizmy rynkowe wymusiłyby zupełnie inną dynamikę innowacji. Zamiast bezpiecznego administrowania naftową rentą przez aparat państwowy kraj zyskałby siłę napędową do rozwoju nowych technologii. Obecny układ, choć stabilny, ogranicza rozwój, który przy pełnej wolności gospodarczej mógłby wznieść Norwegię na jeszcze wyższy poziom.

W świetle tych argumentów norweski model jawi się nie jako uniwersalny przepis na sukces, ale jako ryzykowny eksperyment z obszaru kapitalizmu państwowego. System ten opiera się bowiem na gigantycznych zyskach z państwowego eksportu surowców kopalnych. Właśnie dlatego prawdziwym testem dla tamtejszego modelu staje się obecna polityka klimatyczna Europy, która dąży do eliminacji ropy i gazu. Narzucona przez Unię Europejską przymusowa transformacja energetyczna – oparta na masowej budowie wiatraków i fotowoltaiki – generuje astronomiczne koszty ekonomiczne i społeczne.

Forsowanie niestabilnych, zależnych od pogodowych kaprysów źródeł odnawialnych (OZE) nieuchronnie zderza się z prawami fizyki systemów elektroenergetycznych. Koszty rozbudowy sieci przesyłowych, konieczność stałego bilansowania mocy oraz utrzymywania w gotowości konwencjonalnych elektrowni rezerwowych drastycznie podnoszą ceny prądu i drenują kieszenie podatników.

Co to oznacza dla Norwegii? Kraj ten znalazł się w schizofrenicznej sytuacji. Z jednej strony jego państwowy czempion inwestuje miliardy w modne unijne projekty OZE. Z drugiej jednak strony całe bogactwo i stabilność finansowa Norwegii opierają się na fakcie, że pogrążona w energetycznym kryzysie Europa wciąż rozpaczliwie potrzebuje stabilnych paliw kopalnych – norweskiej ropy i gazu.

Jeśli lewica nie zrewiduje swojego fiskalnego dogmatyzmu, to nadchodzące lata upłyną pod znakiem powolnego demontażu systemu, który przez dekady uchodził za nienaruszalny fundament norweskiej tożsamości

Paradoksalnie to właśnie potężne koszty i systemowa niewydolność wiatraków oraz fotowoltaiki na Starym Kontynencie gwarantują, że popyt na tamtejsze węglowodory nie słabnie. Krótko mówiąc: gdyby zabrakło miliardów ze sprzedaży tych surowców, drogi model państwowego dobrobytu w Oslo bardzo szybko straciłby rację bytu.

PRAWICA DOMAGA SIĘ PRYWATYZACJI

Norweski model kapitalizmu państwowego, przez lata uznawany za wzór gospodarczej stabilności, rzadko kiedy budził tak skrajne emocje jak dziś. Nad fiordami coraz głośniej słychać głosy krytyków, a na politycznym froncie głównymi oponentami obecnego systemu stały się ugrupowania centroprawicowe: Partia Postępu, konserwatyści oraz liberałowie. Ich program? Głęboki demontaż dotychczasowego paradygmatu państwa dobrobytu. Prawica domaga się albo całkowitej prywatyzacji, albo przynajmniej drastycznego ograniczenia roli państwa w rynkowych gigantach, takich jak Equinor, Telenor czy Statkraft.

Kolejnym punktem zapalnym jest fiskalizm. Centroprawica żąda radykalnego ścięcia obciążeń podatkowych, celując przede wszystkim w niezwykle kontrowersyjny podatek od majątku. Debata na ten temat regularnie paraliżuje salę plenarną norweskiego parlamentu (Stortingu). Partie mieszczańskie alarmują, że drastyczne podwyżki tej daniny – przeforsowane przez rządzący od 2021 r. centrolewicowy gabinet Jonasa Gahra Storego – wywołały bezprecedensowy exodus. Najbogatsi obywatele i kluczowi przedsiębiorcy masowo pakują walizki, uciekając m.in. do Szwajcarii. Opozycja stawia sprawę jasno: kraj bezpowrotnie traci strategiczny kapitał inwestycyjny oraz miliardowe wpływy z pozostałych podatków.

Odpowiedź rządu jest jednak nieprzejednana. Ustami premiera lewica przypomina, że podatek majątkowy – wprowadzony w Norwegii już w 1892 r. – to nienaruszalny fundament nordyckiego modelu sprawiedliwości społecznej i najskuteczniejsza broń w walce z rozwarstwieniem klasowym.

Frontów wojny podatkowej jest zresztą więcej. Polityczne bitwy toczą się o daniny od paliw, opłaty klimatyczne czy skomplikowany progresywny podatek dochodowy. Warto zauważyć, że w kraju fiordów obowiązuje aż pięć stawek podatkowych (dla porównania: w Polsce zaledwie dwie). Emocje rozpalają też obciążenia od tzw. renty gruntowej i zysków nadzwyczajnych. Uderzają one nie tylko w opływający w miliardy sektor naftowo-gazowy oraz niezwykle dochodową branżę akwakultury, lecz także w zmagające się z kosztami farmy wiatrowe, co wywołuje sprzeciw inwestorów. Jak dotąd w większości tych starć zwycięsko wychodził blok czerwono-zielony, dysponujący w 169-osobowym Stortingu kruchą, kilkumandatową przewagą nad obozem konserwatywno-liberalnym.

To polityczne status quo zaczyna jednak drżeć w posadach. Seria głośnych afer korupcyjnych, z udziałem prominentnych działaczy Partii Pracy, wywołała tąpnięcie w sondażach. Poparcie dla ugrupowania premiera gwałtownie spadło, oscylując wokół 19–21 proc. W tym samym czasie wiatr w żagle złapała opozycyjna Partia Postępu, której notowania wystrzeliły do rekordowych 28–31 proc. To wyraźny sygnał, że dotychczasowa formuła skandynawskiego welfare state przestaje wystarczać nowemu pokoleniu wyborców.

Choć kadencja Stortingu upływa dopiero w 2029 r., to gabinet Storego stoi w obliczu poważnego kryzysu. Jeśli lewica nie zrewiduje swojego fiskalnego dogmatyzmu, to nadchodzące lata upłyną pod znakiem powolnego demontażu systemu, który przez dekady uchodził za nienaruszalny fundament norweskiej tożsamości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 944c8c46b0



PROSTO ZYGZAKIEM

Czy Morawiecki hipnotyzował PiS?

PIOTR GABRYEL

Już w dniu owego słynnego rozpoczęcia wychodzenia Mateusza Morawieckiego z PiS dało o sobie znać to, co od tamtej pory z każdym dniem przybiera na sile. Czyli coraz powszechniejsze wśród tych polityków PiS, którzy nie należą do jego grupy, odzyskiwanie pamięci, że Morawiecki jako premier jednak popełnił błędy, i to całkiem sporo błędów, i to wcale niemałych, a nawet wręcz ogromnych błędów, i dlatego dobrze, że wreszcie z PiS odszedł, bo razem ze swym odejściem nareszcie uwolnił PiS od odpowiedzialności za owe gigantyczne błędy, które popełnił jego rząd, a właściwie rządy, bo były – tak, tak! – aż trzy takie rządy (licząc z tym kadłubkowym, który nie uzyskał w Sejmie większości w grudniu 2023 r.).

A to, trzeba przyznać, niezwykle odważna intelektualnie koncepcja. Koncepcja wprost zakładająca, że premier Morawiecki, sprawujący urząd szefa rządu Zjednoczonej Prawicy (czyli PiS i Solidarnej, a potem Suwerennej Polski) przez – przypomnijmy – nieprzerwanie ponad 2190 dni i nocy, przez cały ten czas przeforsowywał swoje decyzje nie tylko bez poparcia posłów i senatorów Zjednoczonej Prawicy (PiS i Solidarnej/Suwerennej Polski), lecz być może nawet wbrew nim!

W tej sytuacji niesłychanie ciekawą i wciąż całkowicie nierozwikłaną zagadką pozostaje, w jakiż to sposób Morawiecki radził sobie w tej sytuacji z kierowaniem większością złożoną z posłów i senatorów Zjednoczonej Prawicy (PiS i Solidarnej/Suwerennej Polski). A także prezydentem Dudą. Innymi słowy: Czy przymuszał ich wszystkich do wypełniania swych poleceń siłą czy szantażem? A może wprowadzał ich – w jakiś sposób – w jakiś rodzaj transu (za pomocą hipnozy?) i w ten sposób zapewniał sobie – kosztem ubezwłasnowolnionych przez siebie polityków PiS i Solidarnej/Suwerennej Polski (i prezydenta Dudy) – niepodzielne rządy nad całą Polską?

No bo jeśli wszyscy ówcześni posłowie i senatorowie PiS oraz Solidarnej/Suwerennej Polski – z wyjątkiem czterdziestu jeden, którzy teraz odeszli z PiS wraz z Morawieckim – już wtedy byli przeciwni zmianom narzucanym Polsce przez premiera Morawieckiego, to jak inaczej wytłumaczyć przeforsowanie przez niego przyjęcia przez Sejm, Senat i prezydenta agendy unijnego Zielonego Ładu, z ich gigantyczną podwyżką cen prądu i ogrzewania? Jak inaczej wytłumaczyć przyjęcie przez Sejm, Senat i prezydenta aberracyjnego Polskiego Ładu? Jak inaczej wytłumaczyć zaakceptowanie wyrychtowanych przez ekipę Morawieckiego systemów KSeF i kaucyjnego? A także gigantycznych podwyżek dla medyków, które dziś rozsadzają nasz system ochrony zdrowia? I bezrefleksyjnego oddawania wszystkiego Ukraińcom? ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Nie schrzańcie tego!

ŁUKASZ WARZECHA

Raz tylko zdarzyło się dotąd, że z PiS odeszła istotna grupa działaczy: była to secesja Zbigniewa Ziobry w roku 2011. Trudno to jednak porównywać z obecnym rozpadem (tak należy właściwie nazywać to, co się wydarzyło).

Po pierwsze – waga Ziobry dla wizerunku PiS wtedy była wysoka, ale nie taka, jak waga Morawieckiego – byłego premiera i obiektywnie najbardziej energicznej osoby w partii. Tak naprawdę jedynej, która była w stanie tworzyć jakiekolwiek godne uwagi projekty (nawet jeśli autor tego tekstu z ich linią kompletnie się nie zgadzał).

Po drugie – PiS cieszył się wówczas pozycją niekwestionowanego hegemona, całkiem inaczej niż dzisiaj, gdy w sondażach odnotowuje poparcie nawet niższe niż łączne obu Konfederacji.

Po trzecie – wtedy PiS nie miał za sobą bagażu dwóch kadencji, podczas których naraził się znacznej części własnych wyborców, którzy w rezultacie od niego odeszli.

Po czwarte – Internet odgrywał wówczas znacznie mniejszą rolę niż dzisiaj, a w te akurat klocki Mateusz Morawiecki jest wyjątkowo dobry.

Odejście grupy posłów – a zapewne także członków terenowych struktur – wraz z Mateuszem Morawieckim pokazuje ubóstwo partii, która przez dwie kadencje rządziła Polską. Uświadamiamy sobie bowiem, że ten zawodowy demagog, autor fatalnego polskiego ładu, składający podpisy pod unijnymi dokumentami posuwającymi do przodu Zielony Ład był i tak najlepszym, co PiS obecnie miał. Jego propozycje były prestidigitatorskie, oparte często na manipulacjach, efekciarskie – ale jakiekolwiek. Po jego odejściu PiS zostaje ze starzejącym się prezesem i gwardią wiernych sierżantów, takich jak Marek Suski, Jacek Sasin czy Joanna Lichocka. Oraz Przemysław Czarnek, którego „efekt" może być już tylko podstawą do kabaretowych występów, bo jest chyba mniej widoczny niż odpływy na Bałtyku. Oni mogą być atrakcyjni dla najtwardszej, mającej najmniejsze oczekiwania części wyborców PiS.

Po odejściu Morawieckiego PiS zostaje ze starzejącym się prezesem i gwardią wiernych sierżantów

Ja po PiS płakał nie będę, ale będę uważnie patrzył na ręce tym, przed którymi teraz czas prawdziwej odpowiedzialności. Nowa polska prawica, tym razem autentyczna, nieudawana, dostaje wielkie możliwości, ale tym bardziej powinna rozumieć, jak wiele od niej zależy. Nie schrzańcie tego! ©℗

eprasa.pl 944c8c46b0

Miasto, które nie chce być pocztówką



FOT. ADOBE STOCK

Jacek Pałkiewicz

Samarkanda jest kamieniem wyciągniętym z rzeki historii: z jednej strony wygładzonym przez czas, z drugiej nadal ostrym. Ma w sobie elegancję i brutalność, duchowość i handel, pychę i modlitwę, naukę i zabobon, rekonstrukcję i autentyczność

Do Samarkandy nie jedzie się po zwykły widok. Widok można dziś kupić wszędzie: w albumie, na ekranie telefonu, na pocztówce, w folderze biura podróży, gdzie błękit kopuł jest zawsze czystszy niż niebo, a Plac Registan pusty, jakby przez siedem wieków nikt po nim nie przeszedł, nie splunął w kurz, nie targował się, nie modlił, nie bał się władcy i nie czekał na karawanę. Do Samarkandy jedzie się po coś trudniejszego: po spotkanie z miastem, które było marzeniem wielu pokoleń podróżników, kupców, żołnierzy, uczonych i awanturników. Miastem, które z daleka błyszczy jak obietnica, a z bliska pokazuje także zmarszczki, pęknięcia tynku, zmęczenie ludzi i ciężar historii. UNESCO nazywa Samarkandę skrzyżowaniem kultur; starożytny Afrasiab istniał tu już w VII w. przed Chrystusem, a największy rozkwit miasta przypadł na epokę Timurydów, od XIV do XV w. To prawda, ale takie zdania, choć potrzebne, są martwe dopóty, dopóki człowiek nie stanie w tym świetle i nie poczuje, że „skrzyżowanie kultur” oznaczało kiedyś pot, strach, języki, pieniądze, pył, ambicję i krew.

Pierwsze wrażenie Samarkandy bywa oszukańcze. Człowiek przyjeżdża z głową pełną nazw: Registan, Bibi-Chanum, Szach-i-Zinda, Gur-e Amir. Nazwy brzmią jak zaklęcia z dawnych atlasów. Na początku można nawet poczuć rozczarowanie: Gdzie jest ta legenda? Gdzie jest Samarkanda z opowieści o jedwabnym szlaku? Dopiero po chwili rozumie się, że legenda nie leży na wierzchu. Nie podaje się jej turyście jak herbaty. Trzeba ją wyłuskać z codzienności, tak jak ziarenko sezamu z gorącego placka.

KAMIENNA OPOWIEŚĆ

Najbardziej zdradliwy jest Registan. Widziałem w życiu wiele placów świata, niektóre z nich monumentalne, inne wzruszające, jeszcze inne puste i zimne mimo piękna architektury. Registan należy do tych miejsc, które potrafią człowieka uciszyć. Trzy medresy ustawione wokół placu nie tworzą tylko kompozycji urbanistycznej. Tworzą rodzaj teatru władzy, wiedzy i wiary. Fasady są tak bogate, że oko najpierw odmawia posłuszeństwa. Błękit, turkus, geometria, kaligrafia, wielkie portale, proporcje, które miały podnieść człowieka ku górze i jednocześnie przypomnieć mu, jak jest mały. Ale kiedy człowiek patrzy dłużej, zachwyt zaczyna się komplikować. Za pięknem pojawia się pytanie: Ilu ludzi musiało na to pracować? Ilu rzemieślników spędziło życie nad ornamentem? Ilu poddanych płaciło za ambicję władców? Ilu uczonych przechodziło przez te dziedzińce z prawdziwą pokorą wobec wiedzy? Registan nie jest dekoracją. To kamienna opowieść o tym, że cywilizacja rodziła się zawsze z mieszaniny geniuszu i przemocy.

Samarkanda jest nierozłącznie związana z Timurem, którego Europa znała jako Tamerlan. Nie ma sensu udawać, że był tylko mecenasem sztuki, budowniczym i wizjonerem. Był także zdobywcą bezlitosnym. Po uczynieniu Samarkandy stolicą stworzył ośrodek olśniewający, ale jego imperium rosło przez podboje, których ślady ciągnęły się od Persji po Indie i Bliski Wschód. W tym właśnie tkwi moralny niepokój tego miasta: jego piękno nie jest niewinne. Człowiek stoi przed kopułą,

eprasa.pl 944c8c46b0

podziwia doskonałość mozaiki, a jednocześnie wie, że historia nie była haftowana jedwabną nicią, lecz często rysowana ostrzem szabli. Britannica przypomina, że Samarkanda była już w starożytności znana jako Marakanda i została zdobyta przez Aleksandra Wielkiego w 329 r. przed Chrystusem; później przechodziła przez kolejne epoki, najazdy, odbudowy i ambicje. To miasto ma w sobie pamięć znacznie dłuższą niż turystyczna zachwycona chwila.

W Bibi-Chanum szczególnie mocno czuje się skalę marzenia i klęski. Meczet miał być wielki, większy od życia, godny imperium i jego władcy. Nawet dziś, po zniszczeniach, odbudowach i konserwacjach, zachowuje coś z tej gigantycznej ambicji. Lubię takie miejsca, bo pokazują, że wielkość w architekturze bywa także rodzajem pychy. Człowiek buduje, aby przetrwać śmierć. Wznosi portal, bo wie, że jego ciało zniknie. Układa błękitne płytki, bo pragnie, aby niebo zeszło na ziemię i podpisało się pod jego panowaniem. Ale czas jest bezlitosny. To, co miało być wieczne, pęka, osiada, odpada, wymaga rusztowań, rekonstrukcji i opieki ludzi, którzy nie mają już nic wspólnego z dawnym imperium. W tym sensie Samarkanda jest lekcją pokory. Mówi: nawet najpotężniejszy władca zostawia po sobie w końcu tylko kamień, opowieść i problem dla konserwatorów.

Jedwabny szlak jest dziś hasłem nadużywanym. W folderach brzmi miękko i elegancko: karawany, przyprawy, jedwab, wielbłądy na tle zachodu słońca. Tymczasem dawny szlak nie był romantyczną promenadą. Był przedsięwzięciem ryzykownym, męczącym i niebezpiecznym. Kupiec nie podróżował dla przygody, lecz dla zysku, a zysk wymagał odwagi. Trzeba było przejść przez pustynie, góry, obce księstwa, cła, napady, choroby, zdrady i kaprysy lokalnych władców. Samarkanda była jednym z tych miejsc, gdzie po długiej drodze można było odetchnąć, sprzedać towar, usłyszeć wiadomości z dalekich krain, dowiedzieć się, że gdzieś upadł chanat, gdzieś wybuchła wojna, gdzieś zmieniły się ceny koni, papieru, przypraw, niewolników, barwników. Kiedy patrzymy dziś na jej zabytki, łatwo zapomnieć, że ich tłem był wielki system wymiany, w którym piękno mieszało się z rachunkiem.

Najbardziej osobista Samarkanda zaczyna się o zmierzchu. Wtedy błękit traci dzienną ostrość, a mury nabierają ciepła. Tłumy, jeśli są, stają się mniej natarczywe. Słychać kroki, rozmowy, czasem śmiech, czasem nawoływanie. Światło zachodzącego słońca robi z ornamentu coś żywego: płytki nie są już tylko dekoracją, ale jakby powierzchnią wody, która pamięta niebo. W takich chwilach rozumie się, dlaczego podróżowanie nie może być tylko zaliczaniem miejsc. Zaliczyć Samarkandę można w jeden dzień. Zobaczyć ją – to już trudniejsze. Trzeba pozwolić, aby weszła w człowieka powoli, przez zmęczenie nóg, przez kurz na butach, przez przypadkową rozmowę, przez ciszę na dziedzińcu, przez świadomość, że przed nami byli tu inni, a po nas przyjdą następni, równie pewni swojej wyjątkowości i równie szybko przemijający. Nie chcę pisać o Samarkandzie jak o „perle Orientu", bo to określenie, choć efektowne, odbiera miastu ciężar. Perła jest gładka, zamknięta, doskonała.

Samarkanda taka nie jest. Jest raczej kamieniem wyciągniętym z rzeki historii: z jednej strony wygładzonym przez czas, z drugiej nadal ostrym. Ma w sobie elegancję i brutalność, duchowość i handel, pychę i modlitwę, naukę i zabobon, rekonstrukcję i autentyczność. Są miejsca odnowione tak czysto, że człowiek zaczyna tęsknić za rysą, za śladem starej dłoni, za niedoskonałością. W Azji Środkowej konserwacja bywa czasem walką między pamięcią a reprezentacją państwa. Każda władza chce mieć swoje dziedzictwo piękne, uporządkowane i gotowe do pokazania światu. Ale podróżnik szuka także tego, co wymyka się oficjalnemu kadrowi.

KOREKTA WYOBRAŻEŃ

Dlatego w Samarkandzie warto patrzeć nie tylko na kopuły, lecz także na ziemię. Na kamienie wyślizgane przez buty. Na cień pod łukiem. Na twarze strażników. Na drobny handel wokół miejsc świętych. Na gest ludzi, którzy żyją obok wielkości i z czasem przestają się nią dziwić. Dla przybysza Registan jest objawieniem. Dla kogoś, kto mija go codziennie, może być po prostu częścią drogi do pracy. I to jest naturalne. Nie można wymagać od mieszkańców, aby codziennie żyli w uniesieniu, bo mieszkają w mieście z listy światowego dziedzictwa. Dla nich Samarkanda to także rachunki, szkoła, zdrowie, rodzina, ceny, urzędy, kłopoty. Zabytki są wielkie, ale życie zawsze jest konkretniejsze od zabytków.

Myślę, że największa siła Samarkandy polega na tym, iż zmusza do korekty wyobrażeń. Przyjeżdżamy z Europy z własnym porządkiem historii, często aroganckim, nawet jeśli nieświadomie. Uczono nas, że wielkie centra cywilizacji leżały gdzie indziej. Tymczasem tutaj, w sercu Azji, istniał świat nie prowincjonalny, lecz centralny – tyle że centralny dla innej mapy. Dla kupców, uczonych i władców dawnych epok Samarkanda nie była odległym marginesem. Była punktem, do którego się zmierzało, o którym się słyszało, który budził pożądanie. Miasto miało swoją wagę, swoje pieniądze, swoje warsztaty, swoje biblioteki, swoje ambicje. Zmieniały się imperia, ale nazwa „Samarkanda" nadal brzmiała jak obietnica.

Kiedy opuszcza się to miasto, nie pamięta się tylko błękitu. Pamięta się raczej pewien rodzaj napięcia. Między pięknem a przemocą. Między legendą a codziennością. Między Wschodem wymyślonym przez cudzoziemców a Wschodem realnym, który ma prawo nie odpowiadać naszym marzeniom. Samarkanda nie jest po to, aby nas utwierdzać w pocztówkowych zachwytach. Jest po to, aby przypomnieć, że świat był zawsze bardziej złożony, niż chcą tego przewodniki. I że podróż ma sens dopiero wtedy, gdy nie przywozimy z niej tylko zdjęcia, ale także pewien niepokój.

Bo są miasta, które się ogląda, i są miasta, które patrzą na nas. Samarkanda należy do tych drugich. Stoisz na placu, pod wielką bramą medresy, wśród błękitów, które miały udawać niebo, i nagle masz wrażenie, że to nie ty oceniasz miasto, lecz miasto ocenia ciebie. Pyta, z czym przyjechałeś: z ciekawością czy tylko z aparatem? Z pokorą czy z gotową opinią? Z pragnieniem spotkania czy z potrzebą posiadania kolejnego miejsca w prywatnym katalogu podróży? Samarkanda nie daje łatwej odpowiedzi. Ale właśnie dlatego warto do niej jechać. Nie po folderowy zachwyt. Po rozmowę z historią, która jest piękna, okrutna, wielojęzyczna i nadal, mimo wszystko, żywa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest odkrywcą źródeł Amazonki, survivalowym guru. Uczył kosmonautów i jednostki antyterrorystyczne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach.

eprasa.pl 944c8c46b0



JACEK KOMUDA

POCZET POLSKICH WODZÓW

Potocki herbu Pilawa

Potocki Piotr, herbu Pilawa, był synem nieszczęsnego hetmana wielkiego Mikołaja, który poniósł haniebną klęskę z rąk Kozaków i Tatarów pod Korsuniem. W przeciwieństwie do ojca, jako starosta kamieniecki, latyczowski i czerkaski, a na koniec wojewoda bracławski, zasłynął dwoma wielkimi czynami. Pierwszym była szarża na tabor kozacki pod Kumejkami w grudniu 1637 r., w czasie walk z buntownikami pod wodzą Pawluka. Potocki dowodził chorągwią kozacką, walczącą bez pancerzy i zbroi, jazdą lekką, której hetman Mikołaj Potocki nakazał „rwać tabor", to znaczy rozerwać linie wozów, za którymi chronili się Zaporożcy strzelający z rusznic i arkebuzów. Jak pisał Szymon Okolski: chorągiew Potockiego dosłownie uderzyła piersiami koni o kozackie kolasy, usiłując je przewrócić lub zepchnąć i tym samym otworzyć sobie drogę do wnętrza taboru. Syn hetmana mężnie „chorągiew po kilkakroć przewodził i odwodził, dokąd z innymi chorągwiami [...] taboru [...] nie rozerwał". Trzy razy atakował ruchome umocnienia kozaków i wycofywał się. Za trzecim razem kozacy i wspierający ich husarze wpadli do wnętrza obozu, rozbili kozaków Pawluka, rozdzielając ich na kilka grup.

Chorągiew kozacka Potockiego straciła w boju pięciu zabitych i dziewięciu rannych towarzyszy i pocztowych. Nie jest to duża liczba, ale w boju padło łącznie 137 koni, a 190 było rannych. Była to ogromna strata, zapewne wyłączająca na jakiś czas oddział z działań wojennych. Być może dlatego Potocki pojawił się ponownie na polu chwały dopiero w sierpniu 1638 r., w czasie oblężenia nowego przywódcy kozaków, Dymitra Huni, na uroczysku Starzec, u ujścia Suły



FOT. DOMENA PUBLICZNA

do Dniepru. Hetman Mikołaj Potocki wysłał go wówczas na pomoc grupie chorągwi jazdy odpierającej odsiecz Zaporożców Filonenki, chcącego przerwać oblężenie głównego obozu.

Kolejne wielkie dzieła Potockiego związane są z obroną Kamieńca Podolskiego, którego starostą został ok. 1643 r. Jednocześnie Potocki był rotmistrzem chorągwi kozackiej w wojsku kwarcianym, która została rozbita w bitwie pod Korsuniem w 1648 r., w czasie powstania Chmielnickiego. Sam nie brał udziału w walkach, gdyż zajął się przygotowaniem do obrony Kamieńca.

Piotrowi Potockiemu zawdzięczamy to, że kilkakrotnie atakowana twierdza w Kamieńcu nie wpadła w łapy Chmielnickiego, Tatarów i Moskwy. W dodatku jej komendant nie ograniczał się do samej obrony, ale dokonywał niespodziewanych wypadów i najazdów na przeciwnika. W lutym 1649 r. zdobył Bar, co wywołało wściekłość kozackiego hetmana. Z zemsty Chmielnicki odmówił wówczas wydania posłowi Adamowi Kisielowi jeńców polskich wziętych do niewoli w Kudaku.

W roku 1651 Potocki prowadził korespondencję z hospodarami: wołoskim Mateuszem Basarabą i mołdawskim Bazylim Lupulem; przesyłał ojcu nowiny z Turcji i o wydarzeniach na Ukrainie. Jako komendant pozostał w Kamieńcu w czasie kampanii letniej w 1651 r., choć jego kolejna chorągiew kozacka uczestniczyła w wyprawie hetmana polnego Marcina Kalinowskiego na Podole i Bracławszczyznę. Jak pisał o nim Mikołaj Jemiołowski: „Dzielność i wrodzona temu domowi cnota bez wszelkiej przesady zawsze sama przez się tego godna była". Potocki był na niesławnym sejmie marcowym w 1652 r. i potępiał Władysława Sicińskiego, który zerwał obrady. W tym czasie został też rotmistrzem dwóch chorągwi wołoskich.

Piotr Potocki w 1652 r. był wymieniany jako jeden z konkurentów do ręki Rozandy, córki hospodara mołdawskiego Bazylego Lupula, co miało pokrzyżować plany Chmielnickiego wydania za nią swego syna, Tymoszka. Rozpuszczano nawet plotki, że Rozanda wzięła już potajemnie ślub z Potockim. Po okropnej klęsce pod Batohem Potocki obronił Kamieniec przed atakami Kozaków i Tatarów, którzy przez tydzień oblegali twierdzę. Kolejny raz bronił jej w 1655 r., przed Chmielnickim i sprzymierzonymi z nim Moskalami Wasyla Buturlina, którzy ok. 10 sierpnia rozpoczęli kolejne oblężenie, przeprowadzając kilka szturmów i ostatecznie odchodząc dopiero 3 września.

Potocki nie zdradził króla Jana Kazimierza w czasie potopu szwedzkiego; przeciwnie: wydawał uniwersały do szlachty, nawołując ją do wierności. Jako jeden z pierwszych wezwał do łączenia się z ordą w celu walki ze Szwedami. Zręcznie wykorzystał wysłany doń jarłyk chana Mehmeta Gereja, wzywający szlachtę do wierności polskiemu królowi i obiecujący pomoc ordy. Zmarł w początkach maja 1657 r. Tak naprawdę, ze względu na wielokrotną obronę twierdzy, to właśnie Piotr Potocki, który nigdy jej nie stracił, a nie Wołodyjowski, powinien być nazywany Hektorem kamienieckim. ©℗

eprasa.pl 944c8c46b0



FOT. JAP

MITSUBISHI GRANDIS 1.3 MHEV

Testowany model to dynamicznie wyglądający crossover z segmentu C-SUV z charakterystyczną osłoną chłodnicy Dynamic Shield i napędem z miękką hybrydą. Grandis to bliźniak modelu Symbioz, a więc kolejny model znanej japońskiej marki, który powstał w ramach współpracy z Renault. Jak jeździ i czy ma szansę odeprzeć coraz mocniejszy atak konkurentów z Chin?

Do testów otrzymaliśmy najbogatszy dostępny wariant z 19-calowymi felgami ze stopów lekkich, skórzaną tapicerką, wbudowanym systemem Google (co oznacza dostęp do map, asystenta głosowego i sklepu z aplikacjami) oraz panoramicznym dachem z technologią elektrochromatyczną, dzięki której błyskawicznie można wpuścić do środka więcej naturalnego światła lub zmniejszyć przezroczystość konkretnego panelu, aby chronić siebie lub pasażerów przed rażącym słońcem.

Auto napędza turbodoładowany silnik o pojemności 1,3 l o mocy 140 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 245 Nm. Klasyczną jednostkę benzynową wspiera malutki silniczek elektryczny. Japońsko-francuski samochód pewnie się prowadzi (istotnie lepiej niż wiele modeli z Państwa Środka), a dwusprzęgłowa skrzynia DCT nie ociąga się ze zmianą biegów. Średnie spalanie w trasie wynosi ok. 5 l/100 km, na autostradzie apetyt na paliwo rośnie do 7 l/100 km, ale już w miejskich korkach auto spala ok. 8 l/100 km.

Grandisem podróżuje się komfortowo, a przestrzeni nie brakuje ani z przodu, ani na tylnej kanapie. Na klasycznej desce rozdzielczej w oczy rzuca się duży, pionowo umieszczony ekran z grafiką o wysokiej rozdzielczości. Zastosowane materiały są na przyzwoitym poziomie, a wzornictwo spodoba się zwolennikom minimalizmu.

Grandis ma co prawda nieco mniejszy cyfrowy wyświetlacz od francuskiego bliźniaka, ale ma jednocześnie kilka cech, które dają mu istotną przewagę nad kuzynem ze znaczkiem Renault. Po pierwsze: występuje w większej liczbie wariantów, więc łatwiej dostosować go do swoich oczekiwań. Po drugie: japoński model może być tańszy niż Symbioz. Po trzecie: Mitsubishi oferuje lepsze warunki gwarancji niż Renault (pięcioletnią lub ośmioletnią).

Pojemność bagażnika (liczona wraz ze schowkiem pod podłogą) wynosi 576 l. W razie potrzeby kufer można powiększyć do 708 l, przesuwając tylną kanapę w przód o kilkanaście centymetrów. Po złożeniu tylnych siedzeń przestrzeń załadunkowa rośnie zaś do 1682 l.

Grandis ma też, niestety, kilka zaskakujących wad. Brakuje w nim np. klasycznego, wygodnego podłokietnika. Koszmarnie słaba jest też jakość obrazu z kamery cofania. Poza tym jest jednak porządnym crossoverem.

Za najtańszy wariant z miękką hybrydą 1.3 i sześciobiegową skrzynią manualną w promocji zapłacić trzeba 119,9 tys. zł. Wersja z automatyczną skrzynią zaczyna się od 129,9 tys. zł. Wersja Intense to wydatek rzędu 138,9 tys. zł, a za testowany wariant Instyle trzeba zapłacić 150,9 tys. zł. ©℗

SHOKZ OPENDOTS 2



Lekka, kompaktowa konstrukcja, komfort użytkowania, obsługa Dolby Audio, dobra jakość dźwięku, długi czas pracy na jednym ładowaniu, wodoodporność oraz intuicyjna obsługa – to największe zalety słuchawek otwartych chińskiej firmy Shokz.

Testowany model przeznaczony jest dla osób, które słuchając muzyki, chcą mieć pełną świadomość tego, co się dzieje w ich otoczeniu, czyli dla miłośników miejskiego joggingu, rowerzystów etc.

Największą zaletą OpenDots 2 jest wysoki komfort użytkowania nawet podczas długich sesji treningowych. Niewielkie i bardzo lekkie słuchawki (jedna waży zaledwie 6,4 g) znakomicie trzymają się ucha. Nie trzeba się więc obawiać, że wypadną podczas biegania czy jazdy na rowerze. Nie ma też potrzeby, aby je nieustannie poprawiać. Mocowanie jest tak stabilne, że słuchawki dobrze się trzymają nawet podczas bardziej zamaszystych ćwiczeń. Słuchawki nie kolidują też z zausznikami okularów. Warto jednak zachować ostrożność podczas podróży zatłoczonym autobusem lub metrem – współpasażer niefortunnym ruchem ręki może wytrącić słuchawkę z ucha.

Jakość dźwięku jest dobra zarówno podczas słuchania muzyki, jak i podczas rozmów telefonicznych. Brzmienie jest łagodne. Dzięki Dolby Audio wyraźnie słychać nie tylko bas, lecz także wokale czy wysokie tony. Nie jest to jednak model, który warto wybrać właśnie ze względu na jakość dźwięku. Wygodne słuchawki obsługują tylko kodeki SBC i AAC (w tej cenie przydałoby się więcej).

Plusem jest długi czas działania. Na jednym ładowaniu słuchawki grają przez ok. 10 godzin. Niewielkie etui (ważące tylko 38,8 g) dobrze mieści się w kieszeni spodenek i jest dość odporne na warunki atmosferyczne (klasa IP54). Służy nie tylko do przenoszenia słuchawek, lecz także odgrywa rolę podręcznego magazynu energii. Można je ładować przez USB-C lub bezprzewodowo. Wraz z etui czas pracy na jednym ładowaniu wzrasta do 40 godzin.

Zaletą tego modelu jest też czytelna aplikacja z korektorem dźwięku i możliwością personalizacji systemu sterowania.

A wady? Po pierwsze: wysoka cena. Po drugie: system sterowania nie zawsze działa tak, jakby się chciało. Po trzecie: próżno tu szukać systemu aktywnego tłumienia hałasu (ANC). Nie jest to jednak minus tego konkretnego modelu, lecz po prostu cecha tego typu słuchawek. W głośnym środowisku muzyka może być więc słabiej słyszalna.

Cena: 849 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 944c8c46b0



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Smaki włoskich wakacji

Pieczone krążki cukinii obtoczone w parmezanie to klasyczny smak lata na naszym stole podawany w sierpniu. Przygotowujemy je dość często, bo są lekkie i doskonale smakują ze świeżą sałatką z zielonego ogórka, ale nie tylko. Dzięki temu, że dodajemy do parmezanu oregano, przypominają przekąskę kuchni śródziemnomorskiej. Cukinia jest lekkostrawna i niskokaloryczna, doskonale pasuje na lekki obiad czy późną kolację. Teraz w sierpniu, aż do późnej jesieni, cukinia jest najsmaczniejsza i w dobrej cenie. Podajemy to danie koniecznie na ciepło, bo tak smakuje najlepiej. Cukinia to wspaniałe warzywo wszechstronne, bo można z niej zrobić placuszki, faszerować ją mięsem mielonym czy właśnie zrobić przekąski, nie wspominając o wyśmienitej zupie krem. Świetnie sprawdzi się do zapiekanek czy dodana do warzywnego leczo. Co ważne, zawiera dużo wody, a także witaminę C oraz potas, idealna jest zatem na upały. No i oczywiście wpiera odchudzanie dzięki dużej zawartości błonnika. Nic innego nie pozostaje, jak tylko korzystać z niej do woli. Takie właśnie danie jedliśmy, pierwszy raz będąc na wakacjach we Włoszech; podano nam tam smażone talarki cukinii w parmezanie jako przystawkę. Smak był wyśmienity na tyle, że już tylko chodziliśmy do tej restauracji na tę właśnie przystawkę. Kuchnia śródziemnomorska ma ogrom wartości i zalet, szczególnie smakowych, dlatego stoi na pierwszym miejscu w naszym rankingu kuchni świata. Polecamy spróbować, bo na pewno się państwo nie zawiodą.

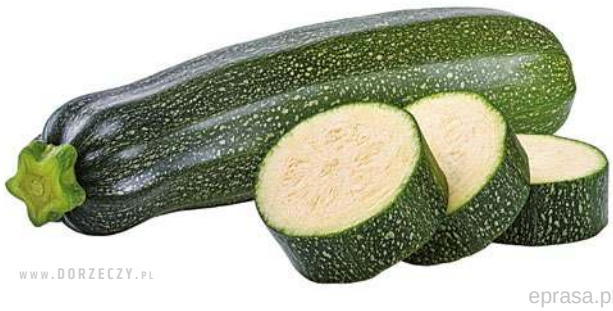
Pieczone krążki cukinii obtoczone w parmezanie

• 4 sztuki dojrzałej cukinii, dobrze umyć, nie obierać i pokroić na dość spore krążki ok. 1 cm

Panierka:

• parmezan tarty, ok. 150 g • sól • czerwona słodka papryka • oregano • pieprz • oliwa z oliwek lub dobry olej

Z sera i przypraw robimy mieszankę i obtaczamy w niej kolejno krążki. Układamy na blaszce wyłożonej papierem do pieczenia i pieczemy w nagrzanym piekarniku 20 min w 200 st. C. Możemy też przygotować sos na bazie jogurtu, czosnku, soli i podawać razem z cukinią. ©℗



FOT. ADOBE STOCK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Pocztówka z Kuźnicy

Kilka lat życia spędziłam na quasiemigracji na dwóch półkulach, nad różnymi morzami. Atlantyk, Pacyfik, Morze Karaibskie, które wcale nie jest szmaragdowe, Zatoka Meksykańska, brzydkie plaże Zatoki Perskiej. Emigracja skończyła się, czego nie żałuję, wróciliśmy nad Bałtyk.

W moim domu nie było mowy, żeby pojechać na wybrzeże zachodnie.

– Ustka piękna – mówiła mama – ale za daleko i nie chcę czuć tej niemczyzny.

Jeździliśmy więc na Hel. I przy tym zostałam. Jeździliśmy z naszymi dziećmi, teraz jeździmy z wnukami. Nie do luksusowej Juraty ani do zatłoczonej Jastarni, nie do impreziarskich Chałup. Do Kuźnicy na Helu, najskromniejszej wioski na półwyspie.

O tym, że była kiedyś wioską rybacką, świadczą kutry zacumowane nad Zatoką Pucką. Ale połowy to już przeszłość, Bałtyk przełowiony.

Masowa turystyka tu nie dotarła. Matki z dziećmi i surferzy, dobrze tu wieje i od morza, i od Zatoki. Domki upychają się ciasno na malutkich działkach, bo układ urbanistyczny Kuźnicy nie dopuszcza wysokiej zabudowy. Domów wczasowych brak. Wszyscy są prywatni. Przeważają nowe domy, niełądne, ale i tak w sezonie wszystko wynajęte. Kto raz tu przyjechał, wraca.

Kurort ma swoje prawa. Pizza, kebab, lody – to wszystko musi być na deptaku. Każde dziecko musi przez to przejść, a i niektórzy dorośli. Postój przy budce z tymi dobrami to rytuał popołudniowego spaceru albo porannego szwendania, gdy pada deszcz. Wędzona ryba jeszcze się ostała; gdy chce się zjeść coś lepszego, jest kilka lokali, które pozwalają oderwać się od tekturowej tacki i plastikowego widelca.

Czasy się zmieniły, ale plażowy rytuał nie zmienił się od kilkudziesięciu lat. Na plaże przychodzi się późno, taszcząc rynsztunek, prowadząc za rękę dzieci, na smyczy psy. Niektórzy niosą okrągłe półnamiociki chroniące przed wiatrem, przypinane do ziemi śledziami. Można tam wsadzić dorosłą głowę albo roczne dziecko w całości, z nadzieją, że zaśnie.

Kopie się grajdoł, na górze rozwija się parawan. Dementuję plotki o zaśmiecającym piękne plaże parawaningu. To nie majorka – tu rozbić stanowisko wypada w przyzwoitej odległości od sąsiada. Dzieci kopią, niektóre budują, do prac włączają się tatusiowie.

Nie ma koszy do śmieci, ale plaża nie jest zaśmiecona, śmieci zabiera się ze sobą. Po sztormie szuka się bursztynów.

Do zimnej wody należy wejść, a potem prychając i machając rękami, triumfalnie z niej wyskoczyć. Kąpiel dla zdrowotności, bo dla przyjemności to nie.

I w zasadzie po tych trochę nudnych wakacjach już można wracać do domu. ©℗

eprasa.pl 944c8c46b0



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Bitwa o szyny

Miłośnicy filmu wiedzą, że to tytuł francuskiego obrazu René Clémenta o bohaterskich francuskich kolejarzach, którzy sabotowali niemieckie linie zaopatrzeniowe podczas drugiej wojny światowej. Na pierwszym festiwalu filmowym w Cannes (1946) film otrzymał drugą nagrodę, a Clément wyróżnienie dla najlepszego reżysera. Świat się zmienia, ale bitwa o szyny toczy się dalej, tyle że od 1995 r. i we Włoszech. Konkretnie chodzi o linię Turyn – Lyon dla Kolei Dużych Prędkości (TAV). Jest budowana od 2005 r. przy wsparciu Unii Europejskiej, a kontestowana już od 1995 r. przez organizację No TAV.

Do dziś co roku, a bywa, że częściej, zorganizowane grupy kontestatorów usiłują wedrzeć się na teren budowy chroniony przez policję. Atakowani są również pracownicy drążący tunel. Wielu zostało rannych. Dochodzi do sabotażu i podpaleń. Na ten festiwal zazwyczaj bezkarnej destrukcji i przemocy zjeżdżają anarchiści, nihiliści i ekoterroryści z całej Italii, a także liczni goście z zagranicy. Można śmiało podejrzewać, że pierwotny cel tych protestów już dawno poszedł w zapomnienie (budowa jest na ukończeniu), a wielkie bitwy z policją stały się jedynym celem i elementem lokalnego folkloru, okazją do upustu adrenaliny.

W tym roku w sobotę 25 lipca w obronie przed bojówkami „antagonistów", jak grzecznie mówią we Włoszech o tych zideologizowanych bandytach, rannych zostało ponad 200 policjantów, co daje wyobrażenie o rozmiarach starć. Antagoniści posiadali własny system komunikacji, strukturę dowodzenia, miotacze śrub i kamieni, a także bomby zapalające: butelki z benzyną i mydłem. Po co mydło? Żeby ogień „przykleił się" do ciała lub ubrania. Spalone zostały cztery pojazdy policyjne, a wyrządzone celowo szkody szacowane są na ponad milion euro. Jak się okazało, do Piemontu lać się z policją przybyło kilkuset młodzieńców z Francji. Trudno się dziwić. We Francji nikt przeciw linii TAV Turyn – Lyon nie protestuje, a francuska policja z agresywnymi kontestatorami nie patyczkuje się tak jak włoska. Jeśli zaś chodzi o włoskich „antagonistów" z tzw. centrów socjalnych w squatach, to polityczny parasol rozpina nad nimi lewica, nierzadko wspierając ich finansowo.

Na koniec o innym szaleństwie – brytyjskim. W Pałacu Westminsterskim wręczono właśnie Brytyjską Nagrodę Obywatelską młodej muzułmance Khadiji Patel, założycielce Krimmz Girls Youth Club w Manchesterze, za osiągnięcia na drodze emancypacji młodych kobiet poprzez sport. Laureatka odebrała nagrodę w czarnym nikabie na głowie z otworem na oczy. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Nie ma tego złego

Wszędzie o tym PiS. Jedni triumfują, drudzy – ubolewają. Inni to mają odłożone nie jako fakt polityczny, ale aksjologiczny dowód, że pycha i trzymanie się tych samych, nienajdroższych chwytów przy zmiennych okolicznościach prowadzą do upadku. Ale mnie zainteresował pewien wątek, który chcę „pociągnąć".

Otóż redaktor Lisicki w swoim wideoblogu wydobył pewną nieoczywistą konsekwencję rozłamu w PiS. Uważa on, że to wydarzenie, bez względu na efekt czy to upadku, czy tylko znacznego zredukowania partii Kaczyńskiego, doprowadzi w sumie do uzdrowienia prawicy, gdyż zacznie się w niej tak konieczna koncyliacyjność. Skończy się bowiem to gaworzenie, że PiS jest „całą prawicą", że na prawo nie ma nic. Partia Kaczyńskiego przegrzała, bo odwlekała po prostu wyciągnięcie oczywistych wniosków z wyborów prezydenckich, które dały zwycięstwo jej kandydatowi poprzez głosy jednak kogoś „bardziej na prawo" od PiS.

Z kolei Robert Winnicki wróży, że po felonii Morawieckiego prawica może i wygra, ale będzie to trudne zwycięstwo, gdyż przy w miarę zrównoważonych siłach kilku podmiotów prawicowych dojdzie tam do, do dziś jeszcze przykrytych poprzez dominujący PiS, wielkich walk i wysypu wojenek. I nawet jeśli się skleci jakiś rząd w wyniku następnych wyborów, to będzie tam buzowało codziennie i w wielu miejscach.

Może będzie i tak, i tak. Po prostu prawica zacznie żyć życiem do tej pory jej nieznanym. Do dziś nie było takiej możliwości, gdyż postawa PiS ustawiała konkurentów po tej stronie nie jako ewentualnych koalicjantów, lecz także najgroźniejszych konkurentów. Tak, konkurentów, a właściwie element groźny, gdyż rozbijający wygodnicki układ dwójpolówki plemiennej wojny polsko-polskiej. A ponieważ i PiS, i KO byli w tej wojnie ostrzelani jak nikt inny, układ się sam bronił przed przyjściem innych „plemion".

I moim zdaniem, jeśli się zacznie „życie na prawicy", to nie tylko będziemy mieli niepewny tego wynik. Ziści się równolegle jedno z moich większych marzeń: niknie paliwo do manichejskiej wojny polsko-polskiej, która zabija debatę o Polsce i wkłada wszystkie zjawiska do jednego wora z jedną tylko przegródką. I pomyśleć, że okazuje się, iż ta wojna zniknie nie jak któreś z plemion ją wygra, tylko jak któreś dostanie lekcję pokory. Od wyborców. Skończy się bowiem to odwieczne pytanie mainstreamowych wyborców: „Jeśli nie jesteś ani za PiS, ani za Tuskiem, to za kim jesteś?". I pomyśleć, że takie cudo, końca tego koszmaru, będziemy zawdzięczać bankierowi globaliście.

Jak to czasami „Bóg prosto pisze po liniach krzywych"… ©℗

eprasa.pl 944c8c46b0



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Sposób na „gadzie języki”

Ciekawymi przemyśleniami podzielił się z opinią publiczną były wiceminister spraw zagranicznych w rządzie Mateusza Morawieckiego, poseł Paweł Jabłoński. Ogłosił on właśnie, że w otoczeniu Jarosława Kaczyńskiego ujawniło się nowe, zaskakujące niebezpieczeństwo. „Tych języków gadzich niestety jest wokół pana prezesa bardzo dużo. Pan prezes potrafi, z mojego doświadczenia, dość skutecznie się bronić przed różnymi złymi podszeptami, ale też żaden człowiek nie jest w 100 proc. na takie rzeczy odporny”.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Kim są „gadzie języki”, które ujawniły się wokół polskiego przywódcy? Dla 4 proc. obywateli USA, którzy przyznają się do wiary w istnienie „reptilian”, odpowiedź jest oczywista. W swej „naturalnej”, nieprzeznaczonej dla ludzkich oczu postaci, „reptilianie” wyglądają następująco: „Wysoka humanoidalna sylwetka, nawet do 2,4 m wzrostu, skóra pokryta łuskami, stożkowata czaszka z wąskimi źrenicami, brak uszu, trójpalczaste ręce, czasem ogon” – opisują przebiegłe jaszczurki amerykańscy badacze. O bycie „reptilianami” podejrzewano wielu światowych polityków – Hillary Clinton, Georga Busha, Donalda Rumsfelda i premiera Nowej Zelandii – Johna Keya. Ten ostatni wydał nawet oświadczenie, mówiące: „Byłem u lekarza, ale i u weterynarza, obaj zgodnie stwierdzili, że nie jestem gadem. Nigdy nie byłem na pokładzie statku kosmicznego ani w przestrzeni kosmicznej, a mój język jest naturalnej długości”.

Czy w odpowiedzi na rewelacje wiceministra Jabłońskiego prezes Jarosław Kaczyński zarządzi wśród członków PiS obowiązkowe badania weterynaryjne i lekarskie? Od przynajmniej kilku tygodni posłowie tej partii publicznie pokazują sobie języki, więc rozpoznanie tych z rozdwojonymi na końcu nie powinno sprawiać problemów.

Inne przyczyny partyjnych podziałów wskazał poseł PiS Krzysztof Lipiec. W ostatnich wypowiedziach Jacka Kurskiego widzi on „podpowiedzi szatańskie”, którym ulegać ma były prezes TVP. Remedium na takie groźby zaproponował były wicepremier, poseł Piotr Gliński. Doradza on swoim kolegom modlitwę: „Jest tyle nieszczęść, bólu, cierpienia, zła na świecie, i w Polsce… I w związku z tym tyle pracy do zrobienia i tyle wysiłku do podjęcia, żeby zrozumieć drugiego człowieka, rozróżnić dobro od zła… Koleżanki i koledzy, a także drogie media, idźcie się pomodlić i nie wracajcie dopóty, dopóki nie otrzeźwiejecie” – zachęca prof. Gliński. Efektów poselskich modlitw też na razie nie widać.

Tam, gdzie bezsilne okazują się nauka i wiara, skuteczne bywają zabiegi medycyny ludowej. Do niedawna w dziedzinie tej doradzała Jarosławowi Kaczyńskiemu, określana jako „partyjna szamanka”, doświadczona działaczka i beneficjentka lukratywnych państwowych synekur Janina Goss. Dostarczała ona przywódcy specjalne ziołowe mikstury i suszone odpowiednio kasztany, które neutralizować miały szkodliwe promieniowanie i złe wpływy. Niestety, z powodu długotrwałego niepłacenia partyjnych składek pani Janina Goss została, w czerwcu 2026 r., usunięta z partyjnych szeregów. Na efekty nie trzeba było długo czekać.

W tradycyjnych wierzeniach ludowych uniwersalnym amuletem, służącym do odwracania uroków i odpędzania złych wpływów, jest czosnek. Główki czosnku wieszano do niedawna nad drzwiami wiejskiej chaty, obory i stajni. Czosnek kładziono też obok łóżka, wkładano w powijaki niemowląt i zaszywano w ubraniach dorosłych. W obliczu wiszących nad rozłamowcami w PiS zagrożeń o dobroczynnym działaniu czosnku powinni sobie politycy prawicy szybko przypomnieć. Przyprawa ta, wyczuwalnym aromatem otulająca posłów oraz działaczy stowarzyszenia Rozwój Plus, odpędzałaby od nich szkodliwe moce, a politycznych sojuszników zachęcała, dyskretnie, do współpracy. W dzisiejszej sytuacji politycznej, szczególnie międzynarodowej, taka „czosnkowa tarcza” mogłaby się ugrupowaniu Mateusza Morawieckiego mocno, a może nawet rozstrzygająco przysłużyć. ©℗

eprasa.pl 944c8c46b0



GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Powrót tercios i zagadka

Był czas, gdy Europę – od Niderlandów po Italię – przemierzały i siały w niej postrach zwarte formacje hiszpańskiej piechoty – tercios. Niemal przez półtora wieku, od XVI do połowy XVII stulecia, tercios uważani byli za niezwyciężonych. Od Mediolanu do Niderlandów ciągnął się wtedy zwarty pas posiadłości Korony hiszpańskiej, tzw. Droga Królewska (Camino Real), po której na teatr działań wojennych we Francji, Niderlandach lub w państwach niemieckich (wojna trzydziestoletnia) zdążały kolumny tercios i ich logistyczne zaplecze.

Przerwanie tej Camino Español było strategicznym celem polityki francuskiej. Kolejni królowie Francji i ich ministrowie – na czele z najwybitniejszym z nich, kard. Richelieu – całkiem słusznie uważali, że bez uczynienia wyłomu w hiszpańskiej „drodze królewskiej" nie uda się wyjść z „okrążenia", w którym znalazła się Francja, gdy na początku XVI w. władzę w Hiszpanii przejęła dynastia Habsburgów. Francja obawiała się „uduszenia".

W historii politycznej tercios nie udało się osiągnąć tego celu. Ostatecznie w czasie wojny trzydziestoletniej kard. Richelieu rozerwał ciągłość „drogi królewskiej". Jednak tercios powrócili w naszych czasach i na oczach całego świata skutecznie „udusili" Francję, która aż do starcia z hiszpańską formacją szła od zwycięstwa do zwycięstwa.

Tym razem oczywiście nie chodziło o starcie militarne. Półfinał mundialu Francja – Hiszpania można porównać do „zaduszenia" Francuzów przez Hiszpanię – bezlitosną w swojej wdzięcznej dla oka dyscyplinie taktycznej i dysponującą godną podziwu skutecznością. Camino Real reprezentacji Hiszpanii rozpoczęła się od Wysp Zielonego Przylądka (jedyna reprezentacja, która nie przegrała na tym mundialu z przyszłymi mistrzami świata!), a zakończyła na Argentynie.

Droga była „królewska", choć w składzie Hiszpanii nie było zawodników Realu Madryt (Marc Cucurella zacznie grać u „Królewskich" dopiero od nowego sezonu). Siłą dawnych tercios była ich zwartość. Tak jak obecnej hiszpańskiej drużyny, pozbawionej „megagwiazd", ale mającej w osobach Cubarsiego, Porro czy Rodriego „kapitanów", którzy niezwykle skutecznie utrzymywali ku rozpaczy i frustracji przeciwników (vide: chamskie faule Argentyńczyków w finale) zwartość całej hiszpańskiej formacji.

„Księciem Albą" współczesnych tercios jest trener Luis de La Fuente, który rozpoczął swoją „królewską drogę" od objęcia posady selekcjonera hiszpańskiej młodzieżówki (przeczytał ogłoszenie w prasie, że federacja poszukuje trenera). Zdobył z nią wszystkie możliwe trofea, a gdy pod koniec 2022 r. został trenerem reprezentacji narodowej (większość Hiszpanów zadawała sobie wtedy pytanie: A kto to, do cholery, jest Louis de La Fuente?), jej rdzeń utworzyli jego dawni podopieczni z juniorskiego składu (m.in. Olmo i Yamal). W 2024 r. zdobyli w Niemczech mistrzostwo Europy, po drodze skutecznie „dusząc" gospodarzy turnieju. W 2026 r. na mundialu rozgrywanym po obu stronach Rio Grande zostali mistrzami świata.

Mówi się, że wielkie pieniądze rządzą wielką piłką. Patrząc na to, co zrobił z mundialem prezes FIFA Gianni Infantino (już chyba kwestią czasu jest, gdy na mundialu grać będzie 128 zespołów), trudno nie zgodzić się z tą opinią. Oczywiście można pytać: Co znaczy „wielkie pieniądze"? Według informacji podawanych w internetach „książę Alba" współczesnych tercios w chwili rozpoczęcia mundialu miał uposażenie trzykrotnie mniejsze od niemieckiego trenera Anglików i aż czterokrotnie mniejsze od włoskiego trenera Brazylijczyków.

À propos tych ostatnich, czas na wakacyjny coming out. Od 20 lat regularnie kibicuję Canarinhos i regularnie od 2006 r. przekonuję się, że kibicuję swoim wspomnieniom, nadziejom na to, że w jakiś magiczny sposób na nowo kanarkowy trykot przywdzieją artyści futbolu – jakiś nowy Socrates, nowy Eder czy nowy Zico. Jak ślepo i nieszczęśliwie zakochany nie chciałem zauważać, nie przyjmowałem do wiadomości sygnałów świadczących o tym, że ukochana Brazylia jest po prostu średniakiem z pięcioma gwiazdkami. I wypieram z głowy odpowiedź na pytanie, które pojawiło się w czasie tego mundialu: Co łączy Brazylię z Curaçao?

Niech to będzie wakacyjna zagadka dla was, drodzy czytelnicy. ©℗

Mówi się, że wielkie pieniądze rządzą wielką piłką. Patrząc na to, co zrobił z mundialem prezes FIFA Gianni Infantino, trudno nie zgodzić się z tą opinią

eprasa.pl 944c8c46b0

EXIT



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOŚNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Działacze PiS zaczynają mówić publicznie, że trzeba wyjść z Unii. To ogromny postęp. Ten temat dotychczas nie był omawiany na poważnie.

Ja uważam, że z Unii należy uciekać, bo Unia jest dla Polski rozwiązaniem złym. No ale ja to ja – bezpartyjny świr. Traktowano moje argumenty jak mrzonki dziwaka i fantasty. W porządku, tylko że poza gronem fantastów dyskusja o przynależności lub odejściu z Unii powinna się toczyć stale. Kto UE popiera, niech jej broni w debacie na argumenty. Przy uchwalaniu każdego budżetu czy nowego prawa, które „dostosowuje przepisy RP do unijnych", przy każdej takiej okazji powinny padać pytania, CZY TEN INTERES NADAL NAM SIĘ OPŁACA. Ja uważam, że nigdy się nie opłacał. I możemy o tym dyskutować.

***

Ten ważny temat należy regularnie omawiać. Tak samo, jak omawia się chemioterapię ze swoim lekarzem – na każdym etapie, stale omawia się i sprawdza efekty. Być może pojawiły się jakieś nowe elementy, nowe argumenty, nowe objawy. Uważam, że zamiast lekceważyć temat polexitu jako nierealny i dyskwalifikować, „bo to niewykonalne, zbyt głęboko weszliśmy, aby teraz wyjść…", lepiej polexit rozważać jako jedną z dostępnych opcji. Z rozważań może przecież wynikać, że jednak warto zostać.

Politycy obawiają się rozmów na ten temat, bo chyba wiedzą, że argumenty za Unią stale znikają oraz wciąż pojawiają się nowe argumenty przeciw. Oni to widzą. Tak jak komuniści zdawali sobie sprawę, że system sowiecki pada. Znali objawy, czuli to w kościach, ale gadać o tym publicznie nie chcieli. Temat tabu.

***

Komisja Europejska grozi Polsce wszczęciem procedury karnej, jeśli nie otworzymy granicy na wszystkie produkty rolne z Ukrainy. Czyli zamiast reprezentować interesy państwa członkowskiego, UE staje po stronie państwa spoza UE i szantażem wymusza na Polsce działania szkodliwe wobec naszego rolnictwa. W tej sytuacji wybieram POLEXIT.

Rząd Tuska zgodził się na nową umowę handlową UE-Ukraina. Ukraina może eksportować do nas produkty zawierające zakazane w UE opryski chemiczne. To oznacza nierówną konkurencję, w której polski rolnik przegra, oraz mamy do czynienia z zagrożeniem dla zdrowia polskich obywateli. POLEXIT.

Od 7 lipca każdy nowy samochód sprzedawany w UE musi mieć kamerę monitorującą twarz kierowcy. Ja tak nie chcę żyć – będą mnie śledzić we własnym aucie! POLEXIT.

Od września uczniowie będą jeść „gulasz" z fasoli zamiast mięsa. Dieta planetarna wchodzi do szkół. Wprowadzenie tej diety to nie dyrektywa unijna, ale sam pomysł to realizacja unijnej polityki likwidowania mięsa i wsadzania w to miejsce przecieru z robaków. Przepraszam, oni mówią „z owadów", bo to brzmi lepiej niż „żarcie z robactwa". Mniej smażonego i więcej warzyw w stołówce, to się może rodzicom wydawać dobre, ale przecież dzieci i młodzież w okresie wzrostu MUSZĄ jeść mięso. Homo sapiens to DRAPIEŻNIK. Mamy kły, mamy oczy z przodu głowy, mamy pazury. Dzieci muszą dużo spać i jeść mięso. Bez tego będą chore, krzywe, skarlałe, słabe, niedorozwinięte. Mózg bez mięsa się psuje, zamiast rozwijać. POLEXIT.

Unijny Zielony Ład – produkcja przemysłowa Europy ma być wygaszona. Wygaszona ma być też hodowla zwierząt do jedzenia (drób, świnie, krowy), produkcja kiełbasy i jaj, i serów z krowiego mleka, bo skoro należy wygasić krowy, to razem z nimi wygaszamy sery i masło. Wszystko, co emituje CO_2, ma być wygaszone. UE „zeroemisyjna". Wygaszają produkcję w Europie i zaczynają wszytko kupować z krajów Mercosur, z Chin i Ukrainy – tam emisja CO_2 ich nie boli. POLEXIT.

Będąc w Unii, nie da się zablokować imigracji i deportować z Polski imigrantów. Czyli jedynym wyjściem z sytuacji jest POLEXIT. Austria już się poddała przed islamem – prezydent tego kraju ogłosił, że w ramach walki z islamofobią wszystkie kobiety w Austrii powinny nosić hijab. Od takiej Austrii należy się trzymać jak najdalej. POLEXIT.

***

A komu zawdzięczamy to, że przedstawiciele partii PiS zaczynają otwarcie rozważać wyjście z Unii? Należy dziękować Mateuszowi Morawieckiemu. Gdyby się nie wypiął na Prezesa Kaczyńskiego, temat polexitu nadal byłby tabu. Morawiecki przez przypadek sprowokował dyskusję na bardzo ważny temat.

***

M. Morawiecki ma teraz nowe pomysły i woła: „Chodźcie za mną". Ja pamiętam jeden jego pomysł i to mi wystarczy, aby gościa skreślić na zawsze: zakaz wstępu do lasu w czasach COVID. Było tego więcej, ale ten konkretny – zakaz wstępu do lasu – powinno się wytykać przy każdej okazji. Nawet jeżeli ktoś głupi lub przerażony uwierzył w pandemię, to zakaz wstępu do lasu nie da się obronić naukowo ani logicznie, ani nijak. Ten pomysł był z każdej strony głupi. A dodatkowo był to pomysł wredny.

Zakaz wstępu do lasu skreśla wszystkich, którzy to wprowadzali lub popierali, z listy rozumnych, roztropnych, mądrych… normalnych.

A w dodatku Morawiecki te swoje pomysły i zarządzenia ogłaszał, występując w czarnej masce na twarzy. Mówił do kamery. Kamera ze szkła i plastiku, oddalona o kilka metrów od niego, a mimo to Morawiecki miał na twarzy maskę. Uważał, że nas zarazi przez ekran, czy bał się, że sam się zarazi od nas przez ekran? Odgrywał teatr i tyle. Nie chcemy takich w polityce. Tak, wiem, innych nie ma lub prawie nie ma, ale nadal nie chcemy takich graczy politycznych.

Słowo „gracz" oznacza, że oni grają, czyli nie są prawdziwi i szczerzy oraz toczą gierki – pomiędzy sobą i z nami, z narodem. Być może temat polexitu to też jest jakaś ich nowa gierka. Mimo to warto korzystać z okazji niezależnie od tego, z jakiego powodu oni wprowadzili ten temat do poważnej debaty publicznej. ©℗

eprasa.pl 944c8c46b0

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKI

JACEK GNIADEK:
„EKONOMIA BOŻA I LUDZKA”,
HANS HERMANN HOPPE:
„KRÓTKA HISTORIA CZŁOWIEKA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1069~~ ZŁ

518,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 551 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 944c8c46b0

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 944c8c46b0